

SIECI



**TYLKO U NAS
MICHAŁ
KUCZMIEROWSKI**
O PRZEŚLADOWANIACH
ZE STRONY
BODNAROWCÓW

**ROKITA
OSTRO
O WULGARNEJ
WOJNIE NOWACKIEJ
Z RELIGIĄ**



**POWRÓT ZARAŻY?
OSTRZEGAMY PRZED
STARYMI
BŁĘDAMI**

**POLSKIE ZŁOTO
W NIEMIECKIE RĘCE,
CZYLI DRUGIE DNO
PRZYJĘCIA EURO**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

36 (614) 2024

2-8 września 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

**MICHAŁ
ADAMCZYK**

WRACAJĄ!

ODWAŻNI DZIENNIKARZE

W NOWEJ TELEWIZJI

**MAGDALENA
OGÓREK**

w Polsce

24

CO ZAPROONUJĄ WIDZOM?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269403

Numer w sprzedaży do 9 IX 2024 r.

Nowa telewizja informacyjna.

wPolsce 24

Tu jest Polska.



Oglądaj nas na pozycjach:

196

polsat box

192

netia

32



825

vectra

339

dekoder
Mediabox

PLAY

121

dekodery
KAON i Horizon

dawniej UPC

ZNAJDŹ NAS NA KANALE

52

TELEWIZJI NAZIEMNEJ

Czy może istnieć demokracja bez opozycji? Nie. Ale Donaldowi Tuskowi to nie przeszkadza. Jemu nie zależy już na demokracji. Chce władzy – absolutnej, niezależnej od nikogo, której nikt mu już nigdy nie odbierze. Z zapędami wschodnich dyktatorów i metodami ich reżimów chce anihilować polityczną konkurencję.

Po wykreowaniu odpowiedniego składu Państwowej Komisji Wyborczej i zorganizowaniu bezprecedensowych nacisków na ten organ pan premier z wrednym uśmieszkiem zaciera ręce na fakt, że PiS może stracić 50, a nawet 90 mln zł. Nigdy wcześniej żadna partia nie została pozbawiona tak wielkich środków.

Nigdy żadne sprawozdanie finansowe komitetu wyborczego nie było tak wnikliwie kontrolowane.

Nigdy nie mieliśmy takiej niezgodności opinii wśród członków PKW. Fakt, że tylko 5 na 9 – i to tych powołanych przez nową większość sejmową – opowiedziało się za odrzuceniem sprawozdania, pokazuje, jak głęboko polityczna była to decyzja. Dla przykładu: czy taki członek Maciej Kłis mógł podjąć inną decyzję, skoro jednocześnie zasiada w zarządzie państwowego BGK? Czy można sobie wyobrazić, by zawiódł oczekiwania ekipy, która wstawiła go na państwową, bankową synekurę? Można, ale po co?

Szarańcza Tuska



Nigdy nie było takiej nierówności w traktowaniu komitetów wyborczych. Jeśli bowiem PKW kwestionuje nieuprawnioną pomoc w kampanii płynącą do partii ze struktur rządowych (np. pikniki 800+), nie sposób zrozumieć, dlaczego zaakceptowała rozliczne przypadki wspierania PO środkami z samorządów czy nawet z zagranicy (a finansowany m.in. przez Niemcy radykalnie polityczny Campus Polska Przyszłości był przecież miejscem twardej agitacji wyborczej).

Pamiętaj państwo: „Jeszcze jedna bitwa, dorzniemy watahy, wygramy tę batalię” Sikorskiego? Albo Schetynowe: „Musimy strząsnąć ze zdrowego drzewa naszego państwa PiS-owską szarańczę”? Ekipa Tuska po latach wypełnia te abominacyjne terminy treścią.

Robi to metodami niemającymi nic wspólnego ze standardami ustroju, który rzekomo u nas obowiązuje. Szef PKW Sylwester Marciniak słusznie zastrzegł przed zeszłotygodniowym posiedzeniem: „Mam nadzieję, że członkowie PKW są świadomi, iż ich decyzja będzie miała olbrzymi wpływ na stan demokracji w Polsce”. Tak, ta decyzja będzie mieć wpływ – tragiczny – na naszą demokrację, która w ciągu kilku miesięcy została totalnie przetrzebiona. Niczym pole zboża po przejściu szarańczy.

Marek Pyza

Budżet niemieckiego panowania i polskiej biedy

W tym tygodniu poznaliśmy pierwszy autorski budżet rządu Donalda Tuska – na 2025 r. Poprzedni, na br., w dużym stopniu odziedziczył po dobrych rządach PiS. Dlatego zabezpieczono w nim pieniądze na cele społeczne, inwestycyjne, dlatego spływały jeszcze należne państwu podatki. Choć już w trakcie roku zaczęło się źle dziać, np. spadają wpływy z podatku VAT.

Teraz koalicja 13 grudnia odsłania własną propozycję dla Polski. Wylania się z niej ponura perspektywa. Zaplanowano najwyższy w historii deficyt – 289 mld zł. Tyle Polska zamierza pożyczyć w przyszłym roku. Dla porównania w 2023 r. było to 85,6 mld zł, w 2022 r. – 12,4 mld, a w 2021 r. – 26,3 mld. Nawet w ciężkim roku pandemii, 2020, deficyt wyniósł 85 mld. Trzy razy mniej niż ma wynieść w przyszłym roku.

Kto kupi polskie papiery dłużne? Biedniejsi Polacy już nie będą w stanie. To zmusi rząd do zaciągania długu w walutach obcych, co oznacza wzięcie na siebie ryzyka walutowego.

Władza tłumaczy tę gigantyczną dziurę komasowaniem funduszy, które za PiS były poza budżetem. Ale to nieprawda, bo Bank Gospodarstwa Krajowego pozostaje wydzielony, dalej będzie emitował obligacje, będzie „równoległym budżetem”.

Co ważne, przyjęte parametry i tak są mocno podkreślone. Wzrost gospodarczy ma rzekomo wynieść 3,9 proc., a więc niemal 1 proc. więcej niż dotychczas przyjmowane prognozy. Wysoka ma być też inflacja – aż 5 proc. Cel inflacyjny NBP to 2,5 proc. I robi to ekipa, która kłamliwie oskarżała poprzedników o celowe używanie inflacji do podkreślania budżetu! Cudownie mają wzrosnąć – aż o 50 mld zł – przychody z VAT. Te same, które teraz dramatycznie spadają!

Jednocześnie ludzie władzy wierają otwartą presję na NBP, by obniżył stopy procentowe. Taka to „tro-



ska” o niezależność banku centralnego.

Wedle planu dług sektora instytucji rządowych i samorządowych ma sięgnąć 59,8 proc. O włos od granicy 60 proc., za którą konstytucja nakazuje przedstawienie budżetu zrównoważonego, a więc bez żadnego długu! To

będzie oznaczało narodową katastrofę, drastyczne cięcia emerytur, masową wyprzedaż majątku narodowego. Słowem – to, co spotkało kiedyś Grecję.

Czy nie właśnie o to w tym wszystkim chodzi? Wylania się z tego cyniczny polityczny plan: wygrać jeszcze wybory prezydenckie, a potem przykręcić Polakom śrubę tak mocno, że się nie pozbierają. I wyprzedać Polskę, by nic już nie przeszkadzało niemieckiemu nadzorowi.

Zaden odpowiedzialny polski rząd nie przedstawiłby czegoś takiego. Wszystko wskazuje, że zaplanowano to i wyliczono w Berlinie.

Michał Karnowski



34

Polityka pływania
Dariusz Matuszak



43

Dziwny przypadek
Pawła Durowa
Marek Budzisz



56

Karaiby Europy
Piotr Ostrowski

NA POZĄTEK

- 5 URWANE ŻYCIORYSY**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 CAMPUSTAKI**
Krzysztof Feusette
- 9 NIE USTĘPOWAĆ IMPERIALIZMOWI**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 STO KONKRETÓW
= JEDEN WIELKI BAJZEL**
Jan Pietrzak
- 12 GORĄCA JESIEŃ**
Samuel Pereira
- 14 WALIZKA ELISABETH VON KÜSTER**
Michał Korsun
- 16 DOROBIEK KULTUROWY**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 17 Z MICHAŁEM ADAMCZYKIEM**
rozmawia Marek Pyza

KRAJ

- 21 GNICIE I ROZKŁAD
ZAMIAST REPRESJI**
Jan Rokita
- 24 ALERGIA NA PANDEMIE**
Konrad Kołodziejski
- 28 Z MICHAŁEM KUĆMIEROWSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski
- 31 POLSKIE ZŁOTO PO RAZ TRZECI**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 34 POLITYKA PŁYWANIA**
Dariusz Matuszak
- 36 KLĄTWA PRZEGRANEGO**
Stanisław Janeczek
- 38 Z PRZEMYSŁAWEM CZARNKIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

OPINIE

- 40 UŚMIERCANA WOLNOŚĆ**
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

- 43 DZIWNY PRZYPADEK PAWŁA DUROWA**
Marek Budzisz
- 46 PATRIARCHAT MOSKIEWSKI
JAK PAŃSTWO ISLAMSKIE**
Grzegorz Górny

**48 NÓŻ JAKO ZWIASTUN UPADKU
CYWILIZACYJNEGO**

Aleksandra Rybińska

HISTORIA

**51 SIERPIEŃ 1980 OCZAMI
NAMIESTNIKÓW**

Stanisław Płuźański

NA WAKACJE

56 KARAIBY EUROPY

Piotr Ostrowski

SIECI KULTURY

59 DALEKO OD WARSZAWY

Jolanta Gajda-Zadworna

62 GRZECH OSOCZEM KULTURY

Robert Tekieli

63 WOJNA CYWILIZACJI

Robert Tekieli

64 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY

Maciej Walaszczyk

NATURA DLA LUDZI

66 BANANOWIEC W NOWEJ HUCIE

Przemysław Barszcz

KUCHNIA

**68 MOJE SMAKI: MAŁGORZATA
OSTROWSKA**

Jolanta Gajda-Zadworna

69 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 PRÓBA CHARAKTERÓW

Wojciech Reszczyński

71 OGNIEM NA WPROST

Andrzej Rafał Potocki

72 DO JAKIEJ SZKOŁY?

Aleksander Nalaskowski

**73 BERLIN I MOSKWA:
WSPÓLNOTA „KOKSU”**

Ryszard Czarniecki

74 NA ULICY SZEROKIEJ W TORUNIU

Andrzej Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Urwane życiorysy

Filmowe adaptacje „Znachora” tak jak ich powieściowy pierwowzór kończą się happy endem. Obejrzałem ostatnią z nich, w której finał był szczególnie optymistyczny, bo twórcy do zamążpójścia panny Wilczurówny dodali jeszcze małżeństwo jej ojca. Ostatnia scena to taniec cudownie odnalezionych bohaterów: ojca i córki na tarasie wiejskiej chaty, gdzie odbywa się weselisko.

Oglądam oddalające się, malarsko stylizowane ujęcie bawiących się mieszkańców polskiej wsi i nie potrafię cieszyć się razem z nimi. Wiem przecież więcej, wiem więcej niż autor powieści Tadeusz Dołęga-Mostowicz, który opublikował ją w 1937 r. i zakończenie fabuły osadził w tym okresie. Jej kontynuacja: „Profesor Wilczur” ukazała się dwa lata później, ale pisarz nie miał już czasu cieszyć się sukcesem. Zginął 20 września na granicy polsko-rumuńskiej od sowieckich kul.

A co stało się z bohaterami „Znachora”, którym wydawało się, że ze wszystko co najgorsze jest już za nimi? Pomińmy kontynuację losów Wilczura i innych postaci „Znachora”, które Dołęga-Mostowicz opisał w dwóch kolejnych poświęconych im powieściach. Zatrzymajmy się na letnim weselu.

Zmobilizowany we wrześniu hrabia Leszek Czyński zostaje wzięty do niewoli przez Sowietów. Trafia do Starobielska. Jego żona Maria z roczną córeczką niepokoi się, bo od ostatniego listu w marcu 1940 r. mąż zamilkł. Poszukiwania nie przynoszą rezultatów, a ujawnienie zbrodni katyńskiej staje się potwierdzeniem najgorszych obaw.

Prof. Wilczur ginie, zajmując się rannymi w powstaniu warszawskim. Wtedy również zostaje zabita jego żona Zofia. Rodzina Rosensteinów wywieziona do getta ginie najprawdopodobniej w Treblince.

W dramatycznej sytuacji życiowej Maria zgadza się poślubić Zenka Wojdyłę. Ten po wkroczeniu Sowietów zapisuje się do partii komunistycznej, a swoją odsiadkę za spowodowanie wypadku Marii i Leszka przedstawia jako represję polityczną. Dynamiczną karierę przerywa sąsiedzki donos, który ujawnia jego burżuazyjne pochodzenie – Wojdyła prezentował się jako małorolny. Zostaje wyrzucony z partii i trafia do więzienia. Wychodzi w czasie odwilży, zostaje przywrócony do PZPR i awansuje aż do Komitetu Wojewódzkiego.

Na pozór dobrze odnajduje się w nowych warunkach prof. Jerzy Dobraniecki. Zapisuje się do partii i zostaje ordynatorem szpitala. Czas dzieli między medycynę i aktywność polityczną. Nie potrafi jednak odbudować życia osobistego. Jego żona schwytana w łapance zginęła w Oświęcimiu.

A może było inaczej? Może Dobraniecki także nie przeżył wojny, może nie przeżyła jej Maria? Może wraz z córką zginęła w czasie pacyfikacji Radoliszek, które spalone zostały za

pomoc partyzantom, albo umarła na tyfus? Może Leszkowi Czyńskiemu zesłanemu w głąb Związku Sowieckiego udało się dostać do armii Andersa, przejść z nią szlak bojowy i resztę życia spędzić w Anglii, albo gdzie indziej?

Nie znamy dalszych losów postaci „Znachora”. Nieruchomieją dla nas dwa lata przed wojną i PRL, który z wojny wyrósł. Wiemy, jak epoka ta przeorała losy mieszkańców Polski. Bohaterowie „Znachora” mogli ją przeżyć, ale na pewno utracili kogoś ze swoich bliskich, a wojna i PRL na zawsze naznaczyły ich psychikę. Mogli urządzić się w komunistycznym systemie, ale nie mogli nie ponieść tego konsekwencji.

Kiedy patrzymy na bawiących się w trakcie podwójnego wesela bohaterów, wiemy, jak niewiele zostało im owej prywatnej beztroski czy choćby prywatnych dramatów. Uznajmy sobie, że niepełne 20 lat II RP było tylko dziejowym prześwitem, który mignął, aby pograć życie Polaków w odmętach wojny i komunizmu. Historia zdruzgotała ich plany i nadzieje oraz udowodniła, jaką fikcją było wyobrażenie, że niezależnie kształtują swoje losy i przeżywają je indywidualnie.

Potrzebę tlenu uświadamiamy sobie, kiedy zaczyna go brakować. Dotyczy to wszystkich zjawisk, które czynią życie możliwym. Również narodowej wspólnoty. Katastrofa, która na nią spada, staje się udziałem każdego i przekłada się na tragedię osobiste. Można próbować dezertować, ale nawet tak rzadko udane ucieczki nigdy nie są ostateczne i zawsze pozostawiają nie do końca zabliźnione rany.

Trudno mieć za złe weselnikom „Znachora”, że koncentrują się na swoim życiu, a wspólnotę postrzegają w wymiarze rodziny, środowiska czy sąsiedzkiej zbiorowości. Mało kto na co dzień myśli o narodzie. Ale w niczym nie zmienia to wagi przynależności do niego. Oznacza ona również wymiar tragiczny, który w narodowym kataklizmie już wkrótce pochłonie tańczących.

Mamy bez porównania większe szczęście niż nasi ojcowie i dziadowie z międzywojnia. Żyjemy w pokoju i mimo wszystko wolności – bo jeśli rezygnujemy z niej, to na własne życzenie – już prawie dwa razy dłużej niż trwała II RP. Niczym specjalnym sobie na to nie zasłużyliśmy, ale przywykliśmy zrządzenie losu traktować jako stan naturalny.

Oby historia gwałtownie nie obudziła nas z tego snu. 



Sygnalista nadaje

W związku z decyzją PKW o odrzuceniu sprawozdania finansowego komitetu wyborczego Prawa i Sprawiedliwości ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego zwróciło się do swoich wyborców i sympatyków z apelem oraz prośbą o wsparcie. „Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy Twojej pomocy! Koalicja 13 grudnia zrobi wszystko, aby zniszczyć w Polsce praworządność i demokrację. Tylko dzięki Twojej pomocy będziemy mogli dalej walczyć o Polskę godną, suwerenną i praworządną. Wesprzyj nasze działania!” – czytamy w komunikacie. Podano również numer konta: 88 1020 1026 0000 1602 0100 6204. Tytuł przelewu: „Darowizna – imię i nazwisko (wplacającego) PESEL (wplacającego)”. Dane odbiorcy: Prawo i Sprawiedliwość, 02-018 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/86. Stawka jest wysoka: prawo Polaków do swobodnego wyboru swojego losu.

Szef Klubu PiS **Mariusz Błaszczak** skomentował odebranie subwencji następująco: „Państwowa Komisja Wyborcza głosami nominatów koalicji 13 grudnia zmieniła nazwę na Partyną Komisja Wyborcza. Tusk zamienia się w Łukaszenkę, ale my się nie poddamy. Żaden reżim nie trwa wiecznie”. Beata Szydło dodała: „PKW swoją obudowaną medialnymi przeciekami decyzją pokazała, że wpisuje się w działania kliki Tuska mające na celu całkowite zawłaszczenie polskiego państwa”. To prawda. Zbliżamy się do punktu krytycznego, i to dużo szybciej, niż wielu sądziło. Albo pojawi się nadzieja, albo Polska demokracja spadnie w przepaść. Bo jeśli teraz wycięli tak ordynarny numer, to wybory też spróbują skrócić.

Przez pierwsze sześć miesięcy 2024 r. w Kancelarii Sejmu wypłacono dużo wyższe nagrody niż w analogicznym czasie rok temu za czasów PiS. „Fakt” podał liczby: w pierwszych sześciu miesiącach 2023 r., gdy marszałkiem Sejmu była Elżbieta Witek, urzędnikom przyznano tylko 57 premii na łączną kwotę 167,4 tys. zł. Marszałek Szymon Hołownia nie ma hamulców. W ciągu pół roku wypłacono 514 nagród na łączną kwotę brutto 3 mln 602 tys. zł. Średnia wartość nagrody wyniosła 7 tys. zł brutto. I tak wszędzie, gdzie nie spojrzysz. Robią to, za co atakowali PiS, tylko w skali podniesionej do potęgi. Czy Polacy w końcu to dostrzegą?

Zbigniew Ziobro ocenia, że „decyzja o finansowym zagłodzeniu opozycji to realizacja polityki ośmiu gwiazdek”, realizacja tego, co „wyręczano na Campusie”. Były minister sprawiedliwości pyta: „A co z milionami wydanych w trakcie kampanii parlamentarnej na Campus, w trakcie którego wprost agitowano na kogo głosować? Co z wartymi milionami billboardami Wielkiej Orkiestry Owsiana promującymi hasła zbieżne z kampanią partii Donalda Tuska? Co ze spotem Trzaskowskiego o otwarciu kładki na Wiśle podczas wyborów samorządowych? Bandzie Tuska wydaje się, że wolno im już wszystko, ale przyjdzie czas, że za to odpowiedzą”. Polska co najmniej od 1992 r. nie stała na takim rozstaju. Brutalność ekipy Tuska sprawiła, że zagrożone jest wszystko. Ale także wszystko stało się możliwe.

Mateusz Morawiecki ocenia, że zabranie subwencji ma związek z przyszlórocznymi wyborami prezydenckimi. „Obecna władza chce nas osłabić, bo obawia się przegranej. Przecież wszyscy pamiętają, że w 2023 roku Platforma Obywatelska wcale nie wygrała wyborów, przegrała je o ponad milion głosów. Nie możesz ich pokonać? To ich zlikwiduj. Nie możemy na to pozwolić, całe nasze środowisko musi się zjednoczyć w obliczu tego ataku!”. Rzeczywiście, decyzja PKW potwierdza, że Tusk będzie kandydował na prezydenta. On wie, że w wolnej Polsce nie wygra. Jego szansą jest białorutenizacja naszego kraju. I twardo idzie w tę stronę.

Komentarze władzy są cyniczne. Tusk: „PiS poznaje prawdziwe znaczenie słów prawo i sprawiedliwość”.

Bodnar: „Jawność i transparentność finansowania kampanii wyborczych to fundament demokratycznego państwa prawa. Dzisiejsza decyzja PKW potwierdza, że te standardy wróciły”. Pod rządami koalicji 13 grudnia wszystko jest na opak. W obronie wolności słowa likwidują pluralizm medialny, w obronie „demokratycznego państwa prawa” uderzają w materialne fundamenty najsilniejszej, w istocie jedynej liczącej się partii opozycyjnej. A gdy tylko pojawi się okazja, zamykają polityków opozycji. To reżim, i to już coraz mniej miękki.

🔊 Są też elementy znęcania się nad ofiarami. Sąd Okręgowy w Warszawie o kolejne trzy miesiące przedłużył areszt ks. Michałowi Olszewskiemu. „Sąd uważa, że prokuratura powinna mieć jeszcze czas” – relacjonował obrońca księdza Krzysztof Wąsowski. Tu nie chodzi o czas, ale sygnał, że z każdym, nawet z szanowanym duchownym, władza może zrobić, co tylko zechce. Wyszło też na jaw, że Ministerstwo Sprawiedliwości w przeprowadzanych przez siebie konkursach nie wymaga, by fundacja miała w statucie precyzyjny zapis dotyczący podejmowanej działalności, wystarczy, że statut nie wyklucza np. prowadzenia ośrodka. Czyli zarzuty wobec ks. Olszewskiego są całkowicie lipne, nawet w optyce bodnarowców. Standard godny putinowskiej Rosji.

🔊 Dmytro Kuleba, szef ukraińskiego MSZ, został zapytany przez młodą uczestniczkę Campusu Polska Przyszłości o ekshumację ofiar rzezi wołyńskiej, które Kijów faktycznie blokuje. Kuleba odpowiedział tak: „Zdaje sobie pani sprawę czym była operacja »Wisła« i wie pani, że ci wszyscy Ukraińcy zostali przymusowo wygnani z terytoriów ukraińskich, żeby zamieszkać m.in. w Olsztynie? Ale nie mówię o tym. Gdybyśmy dzisiaj zaczęli grzebać w historii, to jakość rozmowy byłaby zupełnie inna i moglibyśmy pójść bardzo głęboko w historię i wypominać sobie te złe rzeczy, które Polacy uczynili Ukraińcom i Ukraińcy Polakom”. Symetryzm w sprawie win obu stron jest nie do przyjęcia. A słowa o „terytoriach ukraińskich”, odnoszące się do dużej części Małopolski, Podkarpacia i Lubelszczyzny są skandalem. Cóż, przykre to wszystko. Jedyne pocieszenie jest takie, że polskiej winy w tym bardzo niewiele.

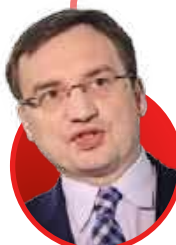
🔊 W czasie Campusu błysnął też organizator, czyli Rafał Trzaskowski. „Chciałem zwrócić uwagę na pewien paradoks. Najtragiczniejsze jest to, że gdy zagrożenie jest gdzie indziej, to oni ciągle straszą zachodnim sąsiadem. W momencie, kiedy Niemcy są słabe, kiedy nie ma żadnego niemieckiego przywództwa, kiedy nie widać ich w polityce europejskiej, wciąż straszą Berlinem. To Polska

rozdać karty. Niemcy są – jeśli chodzi o politykę – najsłabsze w historii i ciągle to my musimy ich upominać, by wzięli się za robotę w kwestii bezpieczeństwa i przestali się wahać, czy pomagać Ukrainie”. Jeśli Polacy uwierzą w tę bzdurę, to upadną naprawdę nisko. Ofiara, która nie widzi, że podlega opresji, jest już ostatecznie zniewolona.

🔊 Tegoroczny Campus przejdzie jednak do historii za sprawą wulgarnego piosenki okraszanej ośmiogwiazdkowym refrenem, którą chóralnie śpiewali uczestnicy wieczornej zabawy, dyrygowani przez ministrów Nitrasa i Szląpkę. Wśród komentatorów incydentu wyróżnił się europoseł Lewicy Krzysztof Śmiszek. Najpierw próbował bagatelizować hejterski bluzg, podkreślając, że to było „zamknięte spotkanie”, a „młodość ma swoje prawa”, a następnie uznał piosenkę za część „dorobku kulturowego”. Potem stwierdził, że „jest mocnym wolnościowcem”. Wniosek z tego, że skandowanie pięciu gwiazdek i skrótu LGBT+ też by mu nie przeszkadzało. Wcześniej czy później ktoś skorzysta z tak jasnego zaproszenia.

🔊 Donald Tusk kontrasygnował postanowienie prezydenta, na mocy którego sędzia Krzysztof Wesołowski został wyznaczony na przewodniczącego zgromadzenia Izby Cywilnej SN. Gdy jednak betonowy elektorat PO zawył z wściekłości, Tusk stwierdził, że było to „błąd”. Jak mówił, zadaniem premiera jest podpisywanie setek dokumentów, czasami kilkudziesięciu dziennie. „One się dzielą na dokumenty bardziej techniczne i bardziej merytoryczne. Urzędnik odpowiedzialny za przygotowanie do podpisywania nie dostrzegł polityczności dokumentu, który stanowił o nominacji dla neosędziego przez prezydenta” – przekonywał Tusk. Pytanie retoryczne: co by się działo, gdyby np. premier Morawiecki coś podpisał, a później tłumaczył, że nie czytał dokumentu? Rząd PiS maszerował przez medialne piekło. Rząd Tuska śpi na puchu.

🔊 Były minister sportu i turystyki Witold Bańka zdementował medialne pogłoski o tym, jakoby miał być jednym z rozważanych przez Prawo i Sprawiedliwość kandydatów tej partii w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. „To wielki honor i zaszczyt, ale tak jak ogłosiłem na początku tego roku, w 2025 r. zamierzam ubiegać się o kolejną kadencję Prezydenta Światowej Agencji Antydopingowej. Moją misją w najbliższych latach jest walka o czysty sport” – ogłosił, potwierdzając tym samym, że jest w gronie kandydatów. Propozycja bardzo ciekawa, przynajmniej na papierze. By wygrać tak wielką rzecz, trzeba jednak chcieć. Trzeba bardzo mocno chcieć. 



Campustaki



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Halo, panie prezydencie, prezes z tej strony...

Trzaskowski: J...bać PiS! J...bać PiS! Przepraszam, ale słabo słyszę! Na kampusie jestem! Z młodzieżą! Sławku, przejmij stery, bo jakiś idiota dzwoni w czasie imprezy... Halo?!

Tusk: Prezes z tej strony...

Trzaskowski: J...bać PiS! Słyszysz mnie, populistę?! Sławku, ty wiesz, kto do nas dzwoni?

Tusk: Prezes Rady Ministrów, głąbie! Rafale, czy ty w ogóle możesz rozmawiać?

Trzaskowski: Oczywiście! Przestań, k...a.

Tusk: Słucham?

Trzaskowski: A, nic, do Szłapki mówię, bo mnie gilgocze. Machaj szłapkami! Halo?

Tusk: Rafale, ja muszę zadać to pytanie: co tam się u was dzieje? Dopóki byłem na miejscu, było grzecznie i apolitycznie...

Trzaskowski: Nie przesadzałbym z tą niezależną opinią. Przecież nikt nas nie nagrywa... Raz, raz... Prawdę mówiąc, to nie wiedziałem, że te nasze młodzieżówki to są takie lemparty! Oni aż się rwą do rozliczeń. A „Konia” to kochają i nienawidzą jednocześnie.

Tusk: Mogą mu na siodło naskoczyć, ma immunitet, a do tego armię takich zombie, że twoje małolaty w słuchawkach to są grzeczne misie. Nie o to chodzi. Co innego bluzg w internecie, który jako taki jest dozwolony, o ile idzie we właściwym kierunku, a co innego publiczna impreza, o której wszyscy wiedzą, że jest dziełem Platformy Obywatelskiej. Co żeście na tej dyskotekę krzyczeli?

Trzaskowski: Nic takiego. To znaczy to, co zawsze. Żeby j...bać, no.

Tusk: Kogo?!

Trzaskowski: No przecież nie Tuska, PiS, oczywiście.

Tusk: To dlaczego mówicie z Nitrasem, że od razu zareagowaliście, prosząc o wyłączenie?

Trzaskowski: Ale to dla naszych mediów tylko. Te głupki wszystko lykna.

Tusk: Aha. Bo już myślałem, że wam by to podważało wasze kompetencje prezydenckie.

Trzaskowski: Mnie się nie podoba? Jak ja nic innego nie nucę. Tylko ten numer Cypisa!

Tusk: O czym to jest tak ogólnie?

Trzaskowski: No właśnie o tym, żeby j...bać PiS. 38 razy to pada. Zaj...biste, nie?

Tusk: To może by Basia Nowacka do lektur go wpisała? Np. zamiast Baczyńskiego?

Trzaskowski: Nie bardzo. Bo on ma tylko jeden taki kulturalny, pozostałe to jest jeden wielki bluzg, zboczenia i hard porno w tekstach.

Tusk: To fajnego sobie wieszczą znaleźliście. W sam raz na obóz...

Trzaskowski: My mówimy „campus”, bo sponsorzy mówią „ferienlager”. „Obóz” to się jednak źle kojarzy. Np. z harcerskim. My tu nikogo nie uczymy rozpalać ognia. Zresztą jak tu patrzeć na niektórych, to prędzej by campus z dymem puścili.

Tusk: Aż tak? A podobno robiliście weryfikację członków?

Trzaskowski: Członków to nie. Uczestników. No, ale nie robiliśmy naboru do szkoły przetrwania, tylko normalnie, z poglądów politycznych.

Tusk: Trudne były pytania?

Trzaskowski: Jak dla kogo. Ja praktycznie prawie wszystkie rozwiązałem. Było na przykład: „Rozszyfruj napis osiem gwiazdek i napisz, jak praktycznie możesz pomóc”.

Tusk: I co napisałeś?

Trzaskowski: Nie, ja nie rozwiązywałem, gdyż jestem organizatorem.

Tusk: A gdybyś musiał?

Trzaskowski: To bym napisał, że mogę pomóc tak, że zostanę prezydentem.

Tusk: Mało oryginalne. Ja też mogę tak napisać.

Trzaskowski: Jak to? Przecież ty nie startujesz! Obiecywałeś... obiecywałeś... No tak, obiecywałeś, czyli...

Tusk: Czyli nic nie wiadomo. Za to wiadomo, że najlepszy byłby jeden kandydat. Jak jest jeden, to wybór jest prostszy.

Trzaskowski: Czyli go nie ma.

Tusk: Nie maż mi się tu teraz, bo nic nie jest przesądzone. Ale wiesz, że PSL nie poprze cię za krzyże. Lewica chce zgłosić swoją kandydatkę, Hołownia płacze nocami, a za rogiem czai się no kto?

Trzaskowski: PiS?

Tusk: J...bać PiS! Za rogiem czają się prawo i sprawiedliwość, a wiesz, co by dla nas oznaczało, gdyby, nie daj Bóg, powrócili?

Trzaskowski: Białoruś?

Tusk: Ja akurat wolę Peru, ale ty możesz lecieć, gdzie chcesz. Więc zapytam cię po raz pierwszy i ostatni: czy jesteś gotów na to, co dla „Bobasa” jest najważniejsze?

Trzaskowski: Na zagrychę?

Tusk: Na służbę! I poświęcenie! Jeżeli partia nasza mać zdecydować, iż jej kandydatem w wyborach prezydenckich nie będzie twoja nieskromna osoba, tylko ktoś inny, to co zrobisz?

Trzaskowski: Pójdę się upić. A potem, oczywiście, j...bać PiS. Ale młodzi tego nie rozumieją!

Tusk: J...bać młodych. Wyp...laj. Widzisz? Już załapałem. //

Nie ustępować imperializmowi

I września minęła 85. rocznica wybuchu II wojny światowej. Rocznicą rozpoczęcia potwornej, zaplanowanej z zimną krwią zagłady Polaków, Żydów i przedstawicieli innych narodowości, za którą tylko nieliczni z tysięcy bezlitosnych oprawców ponieśli konsekwencje. Zrównana, ograbiona Polska, z milionami ofiar niemieckich i rosyjskich zbrodni, ze zrównaną z ziemią stolicą na kolejne półwiecze została zepchnięta pod wpływem totalitarnego Związku Radzieckiego.

Dziś Europę trawi wojna na Ukrainie, nieustannie prowadzony konflikt hybrydowy, który ma osłabić zdolności percepcyjne społeczeństw i stępić możliwości obronne poszczególnych państw. Od wielu miesięcy co pewien czas słuchać informację o planowanych rozmowach pokojowych dotyczących przyszłości Kijowa. Padają słowa o tym, że w imię pokoju Ukraina powinna zgodzić się na oddanie Rosji okupowanych terytoriów. Wszelkie podejmowane dotąd inicjatywy okazują się bezskuteczne, a na pierwszy plan wybija się deklaracja Niemiec o zaprzestaniu wspierania zdolności militarnych Ukrainy. Wiele zachodnich firm wciąż prowadzi działalność gospodarczą w Rosji, a sankcje są omijane. Pojawiają się opinie, że czynione są starania o kolejny reset stosunków z państwem Putina.

W ten scenariusz idealnie wpisuje się sformułowane w ostatnim czasie przez byłego szefa BND oskarżenie pod adresem Polski o odpowiedzialność za wysadzenie wraz z Ukraińcami rurociągu Nord Stream i w ślad za tym szkicowane już roszczenia o odszkodowanie. W polskim MSZ pracuje urzędnik ds. stosunków polsko-niemieckich, uprzednio zatrudniony w jednej z fundacji, która opracowała raport dotyczący potencjalnej odpowiedzialności Polaków za niemieckie mienie, które pozostało w Polsce po zakończeniu II wojny światowej. W polskich szkołach od nowego roku młodzież ma się uczyć z polsko-niemieckiego podręcznika historii, w którym cierpienie ofiar wojny jest uniwersalizowane, czas niemieckiej okupacji przedstawia się przez pryzmat funkcjonujących kawiarni i sal kinowych. Autorzy podręcznika chcą, by młodzi ludzie odpowiedzieli na pytanie, czy warto stawiać opór najeźdźcom, czy może jednak lepiej z nimi kolaborować. Z opisu niemal sielskiej rzeczywistości można by wywnioskować, że powodów do stawiania oporu brak, skoro zapewnione są kawa i kino. Reasumując, promujemy mentalność poddańczą, zgodnie z którą imperializmowi należy ustępować.

Tysiącletnia historia Polski obfitująca w nierzadko tragiczne wydarzenia okupione krwią i cierpieniem wielu wspaniałych pokoleń patriotów czarno na białym ukazuje, że nasza ojczyzna trwa dzięki temu, że jesteśmy narodem ceniącym sobie wolność ponad wszystko, a drogowskazem zapewniającym nam skuteczność (jakkolwiek górnołotnie i archaicznie by to nie zabrzmiało) jest hasło: „Bóg, Honor, Ojczyzna”.

W obliczu kolejnych planowanych rozmów pokojowych dotyczących Ukrainy, widma kolejnego resetu państw zachod-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

nich z Rosją (choć pierwszy zaowocował wojną na Ukrainie) warto wrócić do słów wypowiedzianych przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego w 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej. W obecności szefów rządów Federacji Rosyjskiej i Niemiec przypomniano o Westerplatte, symbolu bohaterskiego oporu przeciwko silniejszemu przeciwnikowi, i o Wieluniu – mieście, na które spadły pierwsze bomby w Polsce, zabijając ponad 1 tys. osób. Prezydent Lech Kaczyński, zwracając się do 20 szefów rządów, wśród których byli Władimir Putin i Angela Merkel, przypomniał o porozumieniu zawartym podczas konferencji w Monachium.

Kraje zachodnie zgodziły się na przyłączenie części ziem Czechosłowacji do III Rzeszy, mając nadzieję, że w ten sposób unikną wojny. Winston Churchill powiedział wtedy: „Anglia miała wybór pomiędzy wojną i hańbą. Wybrała hańbę, ale będzie miała wojnę”. Lech Kaczyński nawiązał do słów premiera Wielkiej Brytanii i przypomniał, że nie udało się uniknąć konfliktu. „Z Monachium trzeba wyciągnąć wnioski, które sięgają czasu współczesnego, imperializmowi nie wolno ustępować” – podkreślił.

REKLAMA



Kalejdoskop historyczny

Marcin Bąk
poniedziałek, godz. 20.00

**Radio 106.2
Warszawa**
niezłoty głos

3/0824/F

W kampanii przed zwycięskimi wyborami parlamentarnymi Partia Pracy obiecała obniżenie czynnego prawa wyborczego do 16 roku życia. Teraz jednak nie spieszy się z realizacją tej obietnicy. Prawdopodobnie dlatego, że – jak wskazują badania – najmłodszy Brytyjczycy są skłonni poprzeć prawicę spod znaku Nigela Farage’a i jego partii Reform UK.

Pomysły obniżenia wieku uprawniającego do głosowania krążą na brytyjskiej lewicy od wielu lat. Nabrały szczególnej siły podczas referendum w sprawie brexitu. Eksponowano wtedy najmłodszych zwolenników Unii, którzy oburzali się, że gdy oni sami nie uzyskali jeszcze prawa głosu, inni zdecydowali o ich przyszłości. Dlatego w Partii Pracy pojawił się pomysł, aby obniżyć czynne prawo wyborcze w Wielkiej Brytanii do 16 roku życia (dziś tak jak w Polsce wynosi ono 18 lat). Argumentowano, że gdyby prawo głosu miały 16-latkowie, to zapewne nie doszłoby do brexitu. Laburzyści uważali przy tym, że większość nastolatków sympatyzuje z lewicą, więc obniżając czynne prawo wyborcze, można będzie zyskać więcej głosów w wyborach.

Okazuje się jednak, że te rachuby były nieco na wyrost. Podczas lipcowej



Farage przyciąga młodych

Wielka Brytania

kampanii wyborczej w Wielkiej Brytanii pracownia J.L. Partners przeprowadziła ankietę wśród młodzieży w wieku 16–17 lat i okazało się, że 23 proc. tej grupy gotowa jest oddać głos na prawicową formację Nigela Farage’a. Wśród chłopców ten wynik był jeszcze wyższy i wyniósł 35 proc. Z kolei ci nastoletni ankietowani, którzy pozostali wierni lewicy, coraz chętniej wybierają Zielonych (18 proc.), a więc nawet w tej grupie Partia Pracy nie może liczyć na pełne poparcie. Zdaniem cytowanej przez portal „Politico” szefowej firmy J.L. Partners brytyjska młodzież „odwraca się od głównego nurtu polityki partyjnej w stronę tego, co można nazwać polityką bardziej populistyczną”.

Nic więc dziwnego, że zapal do obniżenia czynnego prawa wyborczego wśród laburzystów wyraźnie przygasł.

Wśród 40 projektów ustaw przedstawionych przez rząd Keira Starmera zabrakło propozycji obniżenia wieku wyborczego. Przewodnicząca Izby Gmin Lucy Powell z Partii Pracy stwierdziła zaś jedynie, że „ma nadzieję”, iż nastolatki będą mogły zagłosować w kolejnych wyborach parlamentarnych.

Nic przeciwko temu nie miałyby zapewne Nigel Farage, który od kilku lat konsekwentnie buduje swoją pozycję wśród najmłodszych wyborców, występując w popularnych programach telewizyjnych oraz udzielając się w mediach społecznościowych, gdzie przedstawia się jako polityk spoza głównego nurtu. Liczba ponad 900 tys. obserwujących go na TikToku wskazuje, że młodzi Brytyjczycy mają najwyraźniej dość obecnej sceny politycznej.

Konrad Kolodziejski

P przed październikowymi wyborami w Gruzji rozgorzał kolejny spór między władzą a opozycją. Tym razem w centrum kontrowersji znalazło się osiem baobabów, które sprowadził z Kenii miliarder Bidzina Iwaniszwili, założyciel i honorowy przewodniczący rządzącej partii Gruzińskie Marzenie.

Afrykańskie drzewa miały być jedną z głównych atrakcji w parku dendrologicznym we wsi Szekwetili nad Morzem Czarnym. Ta licząca 60 ha posiadłość należy do wspomnianego oligarchy, który wiele razy powtarzał, że wolałby być ogrodnikiem niż politykiem. Po przewiezieniu do Gruzji baobaby jednak uschły, a Iwaniszwili obwiniał za to opozycję. Jego zdaniem Zjednoczony Ruch Narodowy zorganizował kampanię fałszywych donosów i skarg do władz Kenii, co opóźniło eksport drzew. W rezultacie baobaby, które wyrwano z ziemi w 2021 r., trafiły do Szekwetili dopiero w październiku 2023 r. i po 10 miesiącach od ponownego zasadzenia obumarły. Według miliardera gdyby nie stracono cennego czasu na walkę

z przeszkodami biurokratycznymi, mnożonymi za sprawą opozycji, cenne okazy udałoby się uratować.

Oponenci krytykują z kolei Iwaniszwilę za wykorzystywanie funduszy państwowych do prywatnych celów. W ostatnich latach wybudowano bowiem nowe drogi, linie kolejowe i sieci energetyczne prowadzące do parku botanicznego, który opozycja nazywa kaprysem miliardera. Sprowadził tam dziesiątki egzotycznych roślin z całego świata, które stanowią schronienie dla 60 gatunków ptaków.

Niektórzy komentatorzy widzą w tych wydarzeniach znaczenie symboliczne, zwłaszcza przed zbliżającymi się wyborami.

W tej optyce lider Gruzińskiego Marzenia chciałby przekształcić cały kraj w swój prywatny park, gdzie mógłby dowolnie przesuwac ludzkie pionki na planszy, tak jak przesadza się drzewa. Nie da się jednak wykorzenić ludzi, tak jak nie da się wyrwać z gleby i utrzymać przy życiu niektórych drzew. Najtwardsi stawiają opór. Nawet jeśli to porównanie nieco naciągane, idealnie wpisuje się w klimat polityczny obecnej kampanii.

Grzegorz Górny

Marzenie oligarchy

Gruzja



Amazonia płonie, celebryci milczą

Od kilku miesięcy płonie puszcza amazońska. Jej duża część na terenie Brazylii spowita jest chmurą toksycznego dymu, a mieszkańcy skarżą się, że nie mogą oddychać, cierpią na ataki astmy i uszkodzenia układu oddechowego.

Tylko w sierpniu brazylijski Narodowy Instytut Badań Kosmicznych (INPE) udokumentował 1540 aktywnych pożarów w całym kraju. W lutym odnotowano 3 tys. pożarów, co stanowiło wzrost o 298 proc. w porównaniu z 2023 r. Od początku roku było ich natomiast niemal 90 tys. co oznacza skok o ponad 61 proc. Gorzej było jedynie w latach 2004, 2007 i 2010.

Oprócz suszy powodem pożarów jest nielegalne wypalanie lasu w celu uzyskania ziemi pod produkcję rolną. W efekcie Amazonia notuje rekordowo wysoki poziom wylesiania, który zagraża żywotności tego jednego z największych ekosystemów na świecie. Osłabia to także możliwości pochłaniania dwutlenku węgla przez puszcze, wzmacniając tym samym proces ocieplania klimatu.

Nie jest to dobra wiadomość dla lewicowego prezydenta Luliza Inácia Luli da Silvya. Jak się bowiem okazuje, większość pożarów wybuchła na terenach będących własnością rządu federalnego, a sam Lula zobowiązał się do położenia kresu nielegalnemu wylesianiu Amazonii do 2030 r.

Na swoje szczęście Lula jest ulubieńcem zachodniej lewicy. Dlatego mimo rekordowo wysokiej liczby pożarów i ich katastrofalnych skutków międzynarodowi aktywiści ekologiczni nie podjęli w br. żadnych kampanii wymierzonych we władzę Brazylii. Zupełnie inaczej niż w czasie, gdy rządy sprawował konserwatywny prezydent Jair Bolsonaro. W 2019 r. gwiazdy takie jak Leonardo DiCaprio, Mark Ruffalo i Madonna umieszczały w mediach społecznościowych pełne pasji apele – często opatrzone dramatycznymi zdjęciami, które, jak się później okazało, pokazywały pożary z poprzednich lat – aby świat potępił Bolsonaro za pożary w amazońskiej dżungli. Ale nie tylko celebryci – także Joe Biden, wówczas kandydat na najwyższy urząd w USA, zagroził zniszczeniem brazylijskiej gospodarki sankcjami, jeśli Bolsonaro nie „zaprzestanie wycinania lasów”. W podobnym tonie wypowiadał się również Emmanuel Macron.

Jak widać, pożary tropikalnych lasów, podobnie jak w Polsce zatrucia rzek i wycinka drzew, to po prostu pretekst do prowadzenia demagogicznych kampanii politycznych. Gdy rządzi prawica, są apokaliptyczną katastrofą, ale gdy u władzy jest liberalny establishment, stają się niewidoczne i mało ważne. 

Maciej Walaszczyk

Strach dyktatora

Niezależny nikaraguański portal Confidencial ujawnił, że Rosjanie zarządzają centrum wywiadu elektro-nicznego zajmującym się również podsłuchiwaniem opozycji, które znajduje się w bazie wojskowej Mokoron w stolicy kraju Managui. Prócz tego Daniel Ortega, sprawujący od 2007 r. urząd prezydenta, zawarł porozumienie z Moskwą, na mocy którego Rosjanie założą ośrodek szkolenia policji i agentów wywiadu.

Związki z Moskwą świadczą o izolacji oraz narastającej paranoi Ortegi i jego żony Rosario Murillo, pełniącej funkcję wiceprezydenta. Ich kontakty z Kremlen nasiliły się po stłumieniu buntu ludowego w 2018 r., który o mały włos nie doprowadził do obalenia reżimu sandinistów. Represje i bieda skłoniły do emigracji ponad 1,2 mln Nikaraguańczyków, czyli 22 proc. populacji kraju.

W ostatnich tygodniach starzejąca się (78 i 73 lata) dyktatorska para zaczęła się pozbywać lojalnych do tej pory funkcjonariuszy reżimu. Ofiarą czystki padł nawet gen. Humberto, rodzony brat Ortegi, który formalnie stał na czele sił zbrojnych. W maju jego dom otoczyła policja, a sam generał z objawami ataku serca znalazł się w szpitalu. W październiku 2023 r. Ortega i Murillo czyścili wymiar sprawiedliwości, usuwając z pracy 10 proc. sędziów i innych urzędników, w tym najstarszego syna prezydenta. Z kolei kilka tygodni temu policja przeprowadziła rewizję w domu urzędującego ministra finansów Ivána Acosty, który został zmuszony do rezygnacji, a na początku sierpnia Ortega zwolnił gen. Alberta Acuña, swojego szefa ochrony.

W opinii obserwatorów para dyktatorska szykuje w ten sposób grunt pod przejęcie władzy przez jednego z ich młodszych synów, Laureana Ortegę Murillo. W grudniu ub.r. został on mianowany specjalnym doradcą inwestycyjnym swojego ojca, a także „reprezentantem” sekretarza generalnego rządzącej partii FSLN. Jednak próba ustanowienia dynastii nie wzbudziła aplauzu towarzyszy partyjnych, stąd czystka wśród przedstawicieli reżimu. Zdaniem opozycji władza Ortegi staje się coraz słabsza, a to może oznaczać zarówno przybliżającą się perspektywę upadku, jak i rosnące uzależnienie od sił zewnętrznych, takich jak Rosja czy Chiny. 

Marek Budzisz



Nikaragua



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Sto konkretów = jeden wielki bajzel

Ministerka Nowacka obiecuje, że zadba o świeckich katechetów. Pomoże im pewnie w przekwalifikowaniu na katechetów brukselskich w tęczowych majtkach. Takie decyzje to jakieś fanaberie wyprawiane przez osoby kompletnie nieprzygotowane do rządzenia państwem polskim. Tu od 1 tys. lat mieszkają chrześcijanie i nie potrzebują żadnych ekscentrycznych eksperymentów. Odlotowe pomysły i czarujące niekompetencje kosztują Polskę 300 mln dziennie, co wyliczyli rachmistrzowie z pokolenia, które było uczone algebry. Uwaga! Po zredukowaniu historii, języka polskiego i religii w szkołach funkcjonalni analfabeci z MEN mogą się dobrać do matematyki! Precyzyjne myślenie nie jest domeną obecnej administracji Polski. Logarytmów od algorytmów raczej nie odróżniają. Jeżeli coś nimi kieruje, to jedynie teoria chaosu. Ze sztandarowego hasła „100 konkretów” zrobił się jeden wielki bajzel. Nie wykluczam, że celowo.

Mamy władzę, której nie przeszkadza okradanie Polaków. Wsparła nawet ten trend, przywracając VAT na żywność. To niby nie jest dużo – 5 proc., ale żywność sprzedaje się codziennie, wszędzie! Jeżeli nie było wpływów z VAT, nie było jak kraść metodą luki VAT-owskiej. A był to kokosowy interes dawnych ekip. Nie odchodząc od służbowego biurka,



**Jan
Pietrzak**

dość państwo jak rodzinną krasulę! Mało kto by się nie skusił, ale nie każdy ma klucz dostępu do kompa, tradycyjnie mówiąc – do cycka.

Inna ciekawa sprawa – tej władzy nie przeszkadza bezkarnie wlatujące na nasze terytorium wojskowe urządzenia ze wschodu. Po raz kolejny mieszkańcy jakiejś gminy meldują, że coś im lata nad głowami, a struktury administracyjno-policyjno-wojskowe są bardzo zaskoczone, że nie zostały wcześniej uprzedzone. Wojskowi panicznie boją się wydania rozkazu strzelania do napastników. Doczekaliśmy się armii wystraszonych pacyfistów pod komendą spłoszonego wiecznie ministra znanego pod kryptonimem KO-KA. To o tyle dziwne,

że powszechnie wiadomo o intensywnym szkoleniu agresywnych bojówek na kampusie nienawiści. To samo środowisko, które jest niechętnie obronie granic przed wschodnimi natchodźcami, na krajowym podwórku poluje na wrogów, których zamierza „je...bać” na wszelkie sposoby. Niezły bajzel...

Ale co to za problem dla premiera? Jak to nieraz powtarzał: nikt go nie ogra! Na początek akcji podziwu i poparcia dla rządu, 1 t ryb z jeziora Dzierżno w geście solidarności z ministerką klimatu oddała życie za Zielony Ład i złote algi. Następną ustawiają się w kolejce.

Gorąca jesień

Te wakacje to była dopiero rozgrzewka. Obronność, gospodarka, bezpieczeństwo, zaostrzenie języka debaty i niespełnione obietnice – tym żyliśmy tego lata, a już teraz zaczyna się okres, który z kilku powodów okaże się kluczowy dla politycznej przyszłości Polski.

Strona rządowa trzyma się mocno i mimo wewnętrznych sporów nic nie wskazuje na rozsypanie się koalicji. Trzeszczy w niej coraz częściej, ale jeśli spełni się marzenie Donalda Tuska o jednym wspólnym kandydacie obozu władzy na prezydenta Polski, to każda różnica zdań między Platformą Obywatelską, Polskim Stronnictwem Ludowym, Polską 2050 i Lewicą będzie dużo większym obciążeniem niż do tej pory.

Uwaga opinii publicznej jest równie mocno skupiona na obozie opozycyjnym z naciskiem na Zjednoczoną Prawicę, która od kilku miesięcy wybiera swojego kandydata na prezydenta. To, kto nim będzie, okaże się kluczowe dla szans wyborczych największej partii opozycyjnej, a więc decydujące dla odpowiedzi na pytanie, kto zastąpi Andrzeja Dudę w pałacu prezydenckim. Dziś rola prezydenta jest dużo większa niż do grudnia 2023 r., bo to właśnie głowa państwa

okazała się najsilniejszym „bezpiecznikiem” dla systemu demokratycznego w Polsce. Władza się wścieka, że prezydent Duda jest hamulcowym, mimo iż od początku wykazuje się on dużym zrozumieniem, a ręka wyciągnięta do porozumienia była już wielokrotnie odrzucana.

Powód jest prosty i sprowadza się do celów, jakie sobie wyznaczył Donald Tusk i jego patroni, tj. władzy absolutnej za wszelką cenę. Ta polityka po trupach do celu – czy „eksperyment”, jak opisywały działania nowych władz Niemcy, odbywa się kosztem konstytucji RP i dobrych standardów. Wystarczy jednak, że w pałacu prezydenckim przez pięć lat będzie rządzić polityk koalicji i uśmiechnięty quasi-autorytaryzm ostatnich miesięcy będzie tylko wstępem do totalnego domknięcia systemu. Dlatego tak ważne są media, które mają odwagę postawić się zapędowi koalicji 13 grudnia, bo gdyby nie one, szanse na uratowanie demokracji byłyby bliskie zera. Nie pozwólmy ich zabrać obywatelom.



**Samuel
Pereira**

Familijne urodziny

Z Karolem Strasburgerem, aktorem, prowadzącym program „Familiada”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Dobrze się pan czuje na czerwonym dywanie?

Karol Strasburger: Zwłaszcza tak zaprojektowanym. Jestem mocno i pozytywnie zaszokowany tym, co tutaj zastałem. Nowy budynek [na terenie TVP, zaprezentowano w nim jesienną ramówkę – przyp. red.], zainstalowany na stałe czerwony dywan, z nowoczesnymi – chyba tak je można nazwać – łukami. Prawie jak w Hollywood albo lepiej.

Rzeka gwiazd popłynęła do nowoczesnych wnętrz. Pana w nich też nie zabrakło, bo przecież jest pan gwiazdą?

Nie. Zawsze odpowiadam, że gwiazdą była Sophia Loren albo Gary Cooper... O, i Włodzimierz Szaranowicz, który nas właśnie mija – to jest wielka komentatorska gwiazda sportu. Ja się do gwiazdor-

stwa nie poczuwam. Uważam, że jesteśmy lokalsami. Znają nas może w Czechach. Trochę. I w sąsiednich wioskach, ale poza tym jestem ciężko pracującym na swoim stanowisku człowiekiem. I tyle. A to, że mnie akurat rozpoznają – mogę powiedzieć, że jestem popularny, ale do gwiazdorstwa bym się nie przyznawał.

Familiada to dziś najdłużej nagrywany program?

30 lat [minie 17 września – przyp. red.], ale nie planujemy jakichś hucznych urodzin.

Czy po takim czasie coś jeszcze może pana zaskoczyć, poruszyć?

Sporo się zdarzyło przez te lata. Było wiele emocji, sytuacji zabawnych, ale nie tylko. Widzom się wydaje, że ludzie przychodzą do tego programu dla zabawy, dla zgrywy,



ale przyjeżdżają też z poważniejszymi intencjami. Chcą np. zarobić pieniądze, żeby komuś pomóc. Czasami także by uratować życie. Miałem taką sytuację. To byli młodzi ludzie, mocno zdenerwowani. Kiedy się okazało, że jest szansa na wygranie finału, a było niewiele punktów do zwycięstwa, to patrzę, a goście się nogi uginają i mdleje. Nie wiedzieliśmy z jakiego powodu. A potem się okazało, że oni właśnie zbierali pieniądze na leczenie dla ciężko chorej dziewczyny.

Udało się?

Na szczęście. Doszedł do siebie i wygrał. To było dla nas bardzo wzruszające. 

Fot. Jan Bogacz TVP

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl



Walizka

Elisabeth von Küster

właścicielki pałacu Łomnica



Jako mała dziewczynka jeździłam z rodzicami do Polski na wakacje. Pamiętam wspaniałe mleczne koktajle z jagodami, ale tym, co mnie szczególnie ujęło i Kocham do dziś, jest uśmiech, optymizm, spontaniczność i emocjonalność Polaków. Macie serce na dłoni, Niemcy są raczej zamknięci i chłodni. Pamiętam, że podczas stanu wojennego płakałam, bo nie mogłam jeździć do Polski. Gdy przeprowadziliśmy się do Berlina Zachodniego, często odwiedzali nas polscy przyjaciele, którzy mieli u nas azyl. Na początku lat 90. jako maturzystka przyjechałam do Łomnicy ze swoim chłopakiem, żeby zobaczyć wystawiony na sprzedaż zrujnowany budynek po PGR. Dla mojego przyszłego męża miał dużą sentymentalną wartość, bowiem przed wojną był to pałac należący do jego rodziny von Küster. Ponieważ właśnie upadł mur berliński, oboje mieliśmy sporo polskich przyjaciół i byliśmy... szaleni, postanowiliśmy go kupić i odbudować. Żeby było ciekawiej, nie mieliśmy pieniędzy na remont, a nasi znajomi, słysząc o pomysły, pukali się w czoło. Ale tym, co nas mile zaskoczyło i bardzo pomogło, to udzielane od samego początku wsparcie od lokalnego konserwatora z Jeleniej Góry oraz Elżbiety Zakrzewskiej, wójta gminy Mysłakowice.

Przez pierwsze lata mieszkaliśmy w namiocie, potem w pomieszczeniach pałacu, ale bez prądu, ogrzewania i ciepłej wody. Wielokrotnie zakładaliśmy na noc narciarskie stroje. Ponieważ postępy przy odbudowie były widoczne, pozyskiwaliśmy coraz więcej środków finansowych. I tak po 33 latach, oprócz wyremontowanego pałacu, w którym znajduje się muzeum, do kompleksu należy Mały Pałac, w którym mieści się hotel, Dom Modlitwy, dwie restauracje, sklep folwarczny z piekarnią, Lniany Dom Towarowy, a wszystko na terenie pięknego parku. Dbamy nie tylko o historyczną architekturę, lecz także o mieszkańców okolicznych miejscowości, dla których organizujemy festyny, jarmarki i koncerty.



KOPERTÓWKA

Jestem minimalistką i zawsze chodzę w prostych, sportowych ubraniach. Ale może się zdarzyć zaproszenie na jakąś kolację, dlatego na wyjazd zabieram zestaw wieczorny: eleganckie buty, szal, modną (nie cenną) biżuterię i kopertówkę, które uszlachetnią nawet prosty t-shirt.



NOTATNIK, METRÓWKA, DŁUGOPIS

Mam kilka notatników – jeden jest tutaj, drugi w samochodzie, trzeci w Berlinie. Ciągłe szukam inspiracji, ciekawych przedmiotów i rozwiązań. Najpierw je fotografuję, potem mierzę, następnie notuję. Najlepsze koncepcje implementuję w pałacu Łomnica.



LEKTURY

Książki poruszają zagadnienie znaczenia różnorodności dla egzystencji ludzi, to, jak można tworzyć ogrody przyjazne dla przyrody i jak delikatny jest ekosystem lasów, które są czymś więcej niż biologią.



PORTFEL

Duży portfel to najlepszy format, bo trzymam w nim złotówki, euro i wszystkie dokumenty.



PERFUMY

Od lat te same, tej samej marki – Guerlain. Kocham arkadyjskie klimaty, dlatego są tutaj nuty pomarańczowy, mandarynki, cytryny, a także drzewa sandałowego, ambry i cedru. W każdej obcej przestrzeni, w której nocuję z tym zapachem, robi się przyjaźnie. Nawet w zatłoczonym pociągu – wystarczy spryskanie szala i jestem u siebie.



SZALE

Mam ich prawie setkę: na chłodne wieczory (zamiast kurtki), na popołudniowy aperol spritz i na eleganckie wyjścia. Mój mąż żartuje, że na wyjazdy zabieram całe walizki szalików i tylko jeden t-shirt.



TORBA

Ponieważ nie lubię za dużo bagażu, taka torba czasami mi wystarcza na weekendową podróż do Berlina. Ktoś powie, że mam styl hipisa, ale ja tak się właśnie czuję.



MINERAŁY

Uwielbiam je kolekcjonować... Dają mi radość, siłę i inspirację, często noszę jeden malutki w kieszeni.



„NOC NA ŚNIEŻCE. THEODOR FONTANE I JEGO KARKONOSZE”

To zbiór opowiadań XIX-wiecznego niemieckiego pisarza zafascynowanego krajobrazem Karkonoszy, ludźmi i historią. Opowiadania przetłumaczyła i wzbogaciła o obszerne komentarze na temat autora Grażyna Prawda, moja koleżanka. Tak na marginesie – Fontane był dalekim krewnym w rodzinie mojego męża.



„MARZENIE O ARKADIACH”

Album o życiu w barokowych pałacach de plaisance. Zafascynowała mnie ta lekkość, radość i bogactwo. Ta książka była jednym ze *spiritus movens* do pracy przy podnoszeniu z ruiny pałacu Łomnica.



PRA, PRA, PRA..... PRACIOCIA

Pochodzę ze starej baronowskiej rodziny Ebner von Eschenbach, której rodowód sięga XII w. Moi przodkowie żyli w Norymberdze na terenie Frankonii. Do tej pory istnieje malutka wioska Eschenbach, gdzie znajduje się średniowieczny dworek moich przodków.

Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

W USA ZAPREZENTOWANO PIERWSZEGO F-35 DLA POLSKI. PO APACZACH TO KOLEJNA TRANSAKCJA ZŁEGO PIS-U, POD KTÓRĄ DUMNIE PODPISUJE SIĘ PO-ALICJA.



TRENDY I OWĘDY

Dorobek kulturowy

Wiadome ośmiogwiazdkowe hasło cały czas jest politycznym paliwem Platformy. Na Campusie, mającym dla kamuflażu do-datek Polska, młodzież wspierana przez ministrów obecnego rządu wprawiała się wulgarny trans, skandując przekleństwo, które człowiekowi zaliczającemu się do inteligencji nie przeszłoby publicznie przez gardło. Niby nagranie z tego silent disco wyciekło spontanicznie, potem było skasowane przez wyciekającego, ale wiadomo – w internecie takie rzeczy nie giną. Błyskawicznie zrobiło furorę.



Ryszard Makowski

Najważniejsza jest jednak reakcja polityków i sympatyków Platformy. Była to słabo pudrowana euforia. Sam premier na portalu X (d. Twitter) pochwalił śpiewających, ale to jeszcze nic. Jeden europoseł wygłosił zgrabną sentencję: „To było zamknięte spotkanie, a piosenka – czy nam się to podoba, czy nie – jest częścią jakiegoś dorobku kulturowego”. W tym konkretnym dorobku oprócz wielokrotnie powtarzanego obelżywego zwrotu znajdziemy perełki traktujące o „bandzie bogobojnej” czy o „pisowskich śmieciach” albo o tym, że pisowcy powinni, no... „wyjechać” z tego kraju.

Ta sytuacja skłania do refleksji nad dorobkiem kulturowym, który zapewniła nam od swego zarania III RP. Klnące kabarety wzbudzające prymitywne emocje. Dorobek kulturowy. Klnący bez ograniczeń stand-up. Dorobek kulturowy. Klnące kino. Dorobek kulturowy. Teatr, w którym obnażanie się uznano za szczyt intelektualnego przekazu. Dorobek kulturowy. Dzicz prowokująca prezesa PiS składającego hold poległym w Smoleńsku. Dorobek kulturowy.

Jak tak dalej pójdzie, poważnym ośrodkiem tego dorobku kulturowego może się stać pałac prezydencki.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃKOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOŚĆ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃKOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,

81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIA: ANNA ŁABECKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)

PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE

WWW.SIECIprawdy.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYM.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARINĄ.



FOT. NA OKŁADCE: MATERIAŁY PRASOWE WPOLSC24 K2, ANDRZEJ WIKTOR,
RYŚNIEK MICHAŁ KORSUN, SHUTTERSTOCK/GRODENKOFF

Mamy apetyt na sukces

To telewizja dojrzała, mądra, profesjonalna, a także lekka i pogodna, którą będzie się bardzo chętnie włączało.

A „Wiadomości w Polsce24” pokażą rzeczywistość bez zamiatania niczego pod dywan – mówi Markowi Pyzie powracający na telewizyjną antenę

Michał Adamczyk

Wynudziłeś się przez ostatnie miesiące?

Michał Adamczyk: Wbrew pozorom wcale nie. Było mnóstwo spraw sądowych, formalnych, związanych z nielegalnie przejętą Telewizją Polską. One wciąż się toczą. Odbywamy spotkania rady nadzorczej, kontaktujemy się z prawnikami. Wiem, że kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, nadejdzie moment, w którym ład korporacyjny zostanie przywrócony, a bezprawne działania pplk. Sienkiewicza czy ludzi ministra Bodnara zostaną rozliczone.

Czego najbardziej ci brakowało? Codziennej pracy, gwaru redakcji, wpływu na otaczającą rzeczywistość?

Wszystkiego po trochu. Najbardziej wtedy, gdy czułem, że chciałbym wkroczyć do akcji, gdy na scenie



politycznej działały się istotne rzeczy, trwały ważne dyskusje. Bardzo mi brakowało tego, by móc o nich opowiedzieć, podyskutować – zarówno w gronie redakcyjnym, jak i później na antenie.

Czyli na jakiś czas wyrwano ci kawałek dziennikarskiego serca?

Tak, ale zapewniam, że to serce bije bardzo mocno i nie zostało uszkodzone.

Nowa oprawa, ramówka, znacznie poszerzony skład redakcyjny – wPolsce24 to dla nas wszystkich nowy start, tworzenie telewizji prawie od zera. Tym razem o dużo większych perspektywach, bo dostępnej na multipleksie. Jak trudno człowiekowi o statusie gwiazdy, z doświadczeniem wielu lat pracy na największej antenie, zaangażować się w projekt budowany od podstaw, który startuje z niskiego pułapu i musi walczyć o każdego widza?

Ale właśnie to jest fantastyczne! To duża satysfakcja budować projekt od samego początku, kiedy możemy wspólnie decydować o jego przyszłym kształcie. Wypływasz wspólnie z całą załogą z portu na szerokie wody, a nie lądujesz na statku znajdującym się na środku oceanu. Szczerze wierzę, że ta stacja będzie się znakomicie rozwijać, zyskiwać widzów i swoją pozycję na rynku. Jest w nas mnóstwo energii i stawiamy sobie krótkoterminowe cele, w realizację których nikt nie wątpi. Nie mam żadnego problemu z tym, że przechodzę do mniejszej telewizji. Tym bardziej że atmosfera jest tu naprawdę fantastyczna. Sporo osób na pokładzie już znam, bo z wieloma ludźmi z Fratrii współpracowaliśmy od lat, a część przyszła z TVP, podobnie jak ja. I mogę zapewnić, że wszyscy czujemy się tu jak w domu.

Dlaczego zdecydowałeś się dołączyć do wPolsce24? I jaka będzie twoja rola na tym pokładzie? Samo prowadzenie „Wiadomości” to przecież nie wszystko.

Najważniejsi są ludzie, z którymi będę współpracował na co dzień, a którzy już udowodnili, że na rynku medialnym potrafią wiele. Najlepszym tego dowodem jest tygodnik „Sieci”, najbardziej poczytny i opiniotwórczy tytuł po stronie konserwatywnej. Też startował kiedyś od zera, a w tej chwili zajmuje pozycję niekwestionowanego lidera w tym segmencie rynku. Widzę szansę, a wręcz wielki potencjał, by tak samo było w przypadku telewizji wPolsce24. Co zaś do mojej roli, to jako jeden z gospodarzy „Wiadomości wPolsce24” będę dążył do tego,

Jestem przekonany, że widz, który będzie chciał się dowiedzieć, co się dzieje w Polsce, będzie często zaglądał do telewizji wPolsce24

by stały się one wiodącym programem informacyjnym. Mam świadomość, że to długa i wyboista droga, ale wierzę, że osiągniemy cel. Chciałbym też, by w niedalekiej przyszłości powstał program z udziałem publiczności podobny do „Strefy Starcia”. Mam nadzieję, że będę wsparciem w tworzeniu także innych, nowych formatów w naszej telewizji.

Co ta stacja zmieni na polskim rynku medialnym? Czym będzie się różnić od istniejącej już oferty?

Będzie dojrzała, mądra, profesjonalna, a także lekka i pogodna, którą bardzo chętnie będzie się włączało. Nie jesteśmy ekipą malkontentów, która chce prowadzić widza przez wydarzenia z polityczną zapiekłością. Ale przede wszystkim dolożymy cegiełkę do budowania równowagi na rynku. Wciąż jest przecież olbrzymi przechył w stronę lewicowo-liberalną, co nie ma wiele wspólnego z pluralizmem. Tak było przez wiele lat, nawet wtedy, gdy odpór

dawała telewizja publiczna. Jeśli bowiem spojrzymy na rynek medialny szerzej – na portale internetowe czy rozgłośnie radiowe – to przewaga zawsze była po tamtej stronie. Na fance konserwatywnej tych mediów jest mniej, ale to również jest szansa na rozwój. I choć nie będziemy jedyną stacją po stronie tożsamościowej, jestem przekonany, że szybko zyskamy przychylność widzów, którzy czekali na taką telewizję. Spodziewam się szybkich wzrostów oglądalności, tym bardziej że będziemy teraz znacznie łatwiej dostępni dzięki obecności na multipleksie – przypominać: na kanale 52.

Jakie będą „Wiadomości wPolsce24”? Czego mogą oczekiwać widzowie? Co będzie wyróżniać ten program?

„Wiadomości” będą ciekawe, starannie przygotowywane, opinio-twórcze. Takie, jaka jest rzeczywistość. Nie ma tematów, które mogą być zamiatane pod dywan. Widzimy dziś, jak to wygląda w najważniejszych kanałach, jak celowo pomija się niektóre informacje, a innymi manipuluje. Jestem przekonany, że widz, który będzie chciał się dowiedzieć, co się dzieje w Polsce, będzie często zaglądał do telewizji wPolsce24. Znakomita część zespołu jest mi dobrze znana, pracowaliśmy na co dzień w jednej redakcji. Bardzo się cieszę, że szefem „Wiadomości” został Marcin Tulicki. Bez cienia wątpliwości mogę powiedzieć, że był to najlepszy reporter w „Wiadomościach” TVP, a później szef tej redakcji. Gdy nim został, oglądalność od maja do października 2023 r. stale wzrastała. Liczę, że ten trend zostanie teraz przeniesiony do telewizji wPolsce24.

Poza tobą program będzie prowadzić Marta Kielczyk, szalenie popularna wśród widzów, doskonała dziennikarka, marka sama w sobie. Już to zwiastuje, że „Wiadomości” będą profesjonalnym programem informacyjnym, pozycją obowiązkową każdego wieczora.

Dodajmy, że Marta jest zawsze uśmiechnięta, bardzo koleżeńska,



zawsze używa przepięknej polszczyzny. Nie wszyscy wiedzą, jak wielką wagę przywiązuje do tego, by każde zdanie było poprawnie sformułowane, by nie zdarzały się wpadki językowe. Jest pod tym względem purystką i to jej kolejna wielka zaleta. Ciężko się ją nachwalić, bo to naprawdę dziewczyna z sercem na dłoni, zawsze chętna do pomocy. A do tego cudownie się z nią rozmawia, na wszelkie tematy, niekoniecznie związane z polityką. Niektórzy myślą, że dziennikarze poruszający się w świecie polityki rozprawiają wyłącznie o niej. A to nieprawda. W tych rozmowach – o kulturze, świecie czy po prostu o życiu – Marta zyskuje jeszcze więcej. I to powszechna opinia.

Do wPolsce24 oprócz ciebie trafiło kilkadziesiąt innych osób, które pracowały w Telewizji Polskiej, zarówno na antenie, jak i na zapleczu. Pojawi się sporo znanych twarzy

Jeszcze do końca roku telewizję wPolsce24 widzę w czołówce stacji informacyjnych w kraju. Liczę na to, że za rok będziemy mogli z powodzeniem walczyć o palmę pierwszeństwa

– Jacek Łęski, Małgosia Opczowska, Magda Ogórek, Marta Kosik czy Marcin Tulicki. Czy widzowie powinni się nastawiać na odtworzenie pewnej charakterystyki dawnej TVP, czy będzie to raczej element zupełnie nowej jakości?

Myślę, że to rozwiązanie hybrydowe, by użyć modnego dziś słowa. Jest mocny trzon twarzy znanych z anteny dotychczasowej telewizji wPolsce.pl:

Dorota Łosiewicz, Aleksandra Jakubowska, Marta Piasecka, Jacek i Michał Karnowscy, ty, Marcin Wikło, Wojciech Biedroń, Konrad Hryszkiewicz, Jakub Maciejewski, Bartosz Łyżwiński, Tadeusz Płużański, Krzysztof Feusette, Stanisław Janecki, Andrzej Potocki – to mocny zestaw. Ale nie sposób będzie uciec od nawiązań do dawnej TVP, skoro w naszym zespole jest też np. Magda Ogórek czy Rafał Porzeziński – kiedyś kojarzeni z wieczornymi programami, a dziś spotykający się z widzami o poranku. Małgosię Opczowską widzowie pamiętają właśnie z porannych audycji i teraz znów mogą ją oglądać o tej porze, zresztą z jej mężem Jackiem Łęskim, z którym będą stanowić pierwszy małżeński duet w polskich stacjach telewizyjnych. Jest też sporo osób, które nie będą się pojawiały na wizji, ale pracowały wcześniej w Telewizji Polskiej i doskonale wiedzą, jak się buduje potężny kanał informacyjny. Celowo używam tego przymiotnika,

bo wierzę w to, że wPolsce24 powoli, ale będzie się rozwijać w dobrym kierunku. Reszta zależy od naszego zaangażowania, ciężkiej pracy, skuteczności, wyników oglądalności. Wierzę, że z takim zespołem, jaki tu powstał, osiągniemy wiele.

Co byś odpowiedział tym, którzy mówią: po co kolejna telewizja o profilu konserwatywnym, jest przecież Republika?

Nie będę się odnosił do naszej bezpośredniej konkurencji, życzymy im wszystkiego najlepszego. Znamy swoją wartość, wiemy, jak budować telewizję i wiemy, że będziemy to robić naprawdę dobrze.

Nie obawiasz się braku Bizancjum, a może raczej: zdrowej skromności, którą zastałeś we wPolsce24?

Nie, bo wszystko rekompensuje atmosfera w zespole, która jest fantastyczna. W tych ludziach jest niesamowity potencjał, energia, czuć, że każdemu chce się pracować. I wszyscy wiemy o tym, że początki bywają trudne, że start musi być skromny. Ale to tylko pierwszy etap, na którym pieniądze wcale nie są najważniejsze. Cenniejsi są ludzie, ich umiejętności, nastawienie oraz zdrowe relacje w zespole. Ten kapitał mamy olbrzymi.

Jesteśmy na początku nowej telewizyjnej przygody, ale każdy wybiega myślami w przyszłość, ma jakieś oczekiwania, plany. Jakie są twoje ambicje? Gdzie widzisz siebie i telewizję wPolsce24 za rok, dwa, trzy lata?

Jeszcze do końca roku telewizję wPolsce24 widzę w czołówce stacji informacyjnych w Polsce. Liczę, że za rok będziemy mogli z powodzeniem walczyć o palmę pierwszeństwa. Wraz z rozwojem stacji będą się pojawiać nowe programy, oferta dla widzów będzie się stale poszerzać. Mamy ogromny apetyt na sukces.

Wyjaśnijmy jeszcze pewne okoliczności formalne. Wystąpiłeś do rady nadzorczej TVP o zgodę na podjęcie dodatkowego zatrudnienia, a to dlatego, że w świetle obowiązującego prawa 26 grudnia zostałeś legal-

wPolsce24

Oglądaj od 2 września na kanale 52 telewizji naziemnej

Nowa polska telewizja informacyjna wPolsce24 to inicjatywa, która ma na celu dostarczanie rzetelnych i zróżnicowanych informacji, stanowiąc istotny głos w polskiej przestrzeni medialnej. W czasach, gdy media odgrywają kluczową rolę w kształtowaniu opinii publicznej, wPolsce24 pragnie być platformą, która stawia na jakość, obiektywizm i pełne spektrum poglądów.

– wPolsce24 to odpowiedź na rosnące zapotrzebowanie na alternatywne źródła informacji, które wychodzą poza utarte schematy. Pragniemy być głosem, który uzupełnia przestrzeń medialną w Polsce, dając widzom dostęp do treści, które nie tylko informują, lecz także inspirują do myślenia, dyskusji i refleksji. Wierzymy, że nasza misja przyczyni się do budowania bardziej świadomego społeczeństwa, które potrafi krytycznie analizować rzeczywistość i podejmować decyzje oparte na faktach, a nie na emocjach czy półprawdach – mówi Marcin Wikło, wice-szef nowej telewizji oraz szef anteny i newsroomu.

Redaktorem naczelnym telewizji wPolsce24 jest Jacek Karnowski. Ma trzech zastępców: Agatę Rowińską, odpowiedzialną za ramówkę i pełniącą nadzór nad anteną, wspomnianego Marcina Wikła, a także Marcina Tulickiego, który jest też szefem redakcji „Wiadomości wPolsce24”.

nie powołany przez Radę Mediów Narodowych na prezesa Telewizji Polskiej i zgodnie z prawem nikt cię z tej funkcji nie odwołał. Co się dzieje w tej sprawie?

Jedyna legalna rada nadzorcza TVP – ta działająca pod przewodnictwem Macieja Łopińskiego – w ub. tygodniu wyraziła zgodę na podjęcie przeze mnie pracy w telewizji wPolsce24. Niezmiernie mnie to ucieszyło, bo do samego końca była jakaś niepewność. Znalazłem się w skomplikowanej, niespotykanej wcześniej sytuacji. Brak jakichkolwiek możliwości pełnienia przeze mnie funkcji prezesa zarządu TVP przekonał radę do wydania takiej tymczasowej zgody do czasu, gdy sytuacja wokół Telewizji Polskiej zostanie uregulowana i zostanie przywrócony porządek prawny.

Taki ruch był w ogóle potrzebny? W kwietniu sąd umorzył postępowanie w sprawie wpisania twojego nazwiska do KRS jako prezesa TVP. To nie zamknęło sprawy?

Nie. Żadna z tych decyzji nie jest prawomocna. To nie jest zresztą jedyna sprawa związana z TVP tocząca się przed sądem. Przypuszczam, że to zamieszanie może potrwać jeszcze wiele miesięcy albo nawet lat.

Jak dziś patrzysz na to, co zostało z TVP? Oglądasz nowy program w Jedyńce o 19.30?

Czasem oglądam, ale aż zęby bołą od patrzenia na to, co tam się dzieje. Doskonale wiemy, że oglądalność leci na łeb na szyję, ale wcale się temu nie dziwię. Telewizja Polska może i faktycznie nie zostanie zlikwidowana, lecz będzie zmarginalizowana. Cała ekipa podająca się za władzę TVP robi wszystko, by wykonać to polityczne zadanie. Likwidacja jest działaniem absolutnie pozornym. Pojawiają się tam inwestycje, zatrudniane są nowe osoby, czyli wszystko, co jest zaprzeczeniem likwidacji. Znakiem czasu jest to, że na mało kim robi to wrażenie, niewiele osób to kwestionuje, choć to ewidentny przykład obchodzenia prawa.

Nie obawiasz się, że wraz z powrotem na wizję, znów będziesz musiał mierzyć się z hejtem pod swoim adresem? W ub.r. nie oszczędzono ci nawet wyciągania jakichś prywatnych historii sprzed 20 lat.

Pewnie będą się pojawiać kolejne ataki, co jest trochę wpisane w nasz zawód. Ale jestem na to odporny. Moje prywatne sprawy toczą się przed sądami, spokojnie czekam na ich finał. I nie zawracam sobie tym głowy. W tej chwili moje myśli skupiają się na telewizji wPolsce24, tu koncentruję siły. Nie warto przejmować się małymi ludźmi, lecz wielkimi rzeczami, które wspólnie mamy do zrobienia.

Tusk najwyraźniej ani nie zamierza likwidować szkolnych lekcji religii, choć mógłby to zrobić jednym rozporządzeniem, ani nie przygotował jak dotąd poważnego uderzenia w finanse Kościoła. Realne represje są na razie zastępowane knajacko-wulgarnym antyreligijnym językiem, a także ustawicznymi pogroźkami wobec chrześcijan

Gnicie i rozkład zamiast represji



JAN ROKITA

Odczytany w kościołach w niedzielę 1 września list biskupów na otwarcie nowego roku szkolnego odbiega swoim tonem od komunikatów, które w ciągu ostatnich miesięcy były publicznie wygłaszane przez polskich hierarchów bądź ich

bliskich współpracowników. List jest krótki, łagodny, a przede wszystkim całkowicie wyzbyty bezpośrednich ataków na postępowanie rządu Tuska w sprawie szkolnych lekcji religii.

Najważniejsze przesłanie listu odwołuje się do znanej każdemu

ewangelicznej przypowieści o synu marnotrawnym, którą biskupi odnoszą do wychowania młodego pokolenia. I nie bez racji zauważają, że jeśli człowiek w latach dziecięcych i młodzieńczych usłyszał na szkolnych lekcjach religii słowa o Bogu, to potem nawet w razie życiowych katastrof ma szansę przypomnieć sobie o nich z poczuciem, „że ma gdzie wrócić”. To ważny psychologiczny argument za powszechnością nauczania religii w szkołach, który w debatach na ten temat z reguły bywa niezauważony.

SKARGA BISKUPÓW DO SN

Co ciekawe, list nawet nie wspomina o trwającym przecież otwartym konflikcie biskupów z rządem na tle noweli rozporządzenia o szkolnym nauczaniu religii podpisanej 26 lipca przez minister edukacji Barbarę Nowacką. A to radykalnie różni obecne wystąpienie biskupów od wojowniczego komunikatu księży dyrektorów wydziałów katechetycznych, który czytano w kościołach w niedzielę 26 maja. Powody tej odmiany są zapewne dwójakiego rodzaju.

Biskupi są najwyraźniej zadowoleni z tego, iż ich petycja zawierająca skargę na lipcowe rozporządzenie Nowackiej przesłana do pierwszej prezes Sądu Najwyższego okazała się skuteczna. Sędzia Małgorzata Manowska, korzystając ze swego prawa do inicjatywy, zgłosiła bowiem skargę biskupów do Trybunału Konstytucyjnego, domagając się nie tylko stwierdzenia sprzeczności rozporządzenia z konstytucją, lecz także natychmiastowego zawieszenia jego planowanego przez rząd wejścia w życie z początkiem nowego roku szkolnego. Biskupi mają więc powód, aby poczekać na to, co z ich skargą zrobi Trybunał, a przede wszystkim na to, co potem Tusk zrobi z trybunalskim wyrokiem w tej materii.

Ale jest jeszcze druga, zapewne istotniejsza przyczyna, dla której biskupi mogą być – przynajmniej na razie – zadowoleni. Otóż nie sprawdziła się większość zagrożeń, o których pisano w majowym komunikacie, kiedy Nowa-

cka w tajemnicy przed biskupami dopiero przygotowywała nowe rozporządzenie o lekcjach religii. Nie ma w nim zmniejszenia nauki religii do jednej godziny tygodniowo, a zgodnie z rozporządzeniem zaprowadzenie takiej zmiany w szkole nadal wymaga zgody miejscowego biskupa. Nie ma obowiązku prowadzenia religii na pierwszej bądź ostatniej godzinie lekcyjnej, choć intencje deklarowane przez Nowacką i jej zastępczynię (m.in. minister Muchę) sugerują, że w tym kierunku będzie mieć miejsce nieformalna presja resortu na dyrektorów szkół.

Nowacka jest pierwszym ministrem edukacji, który z premedytacją ignoruje wymagany przez prawo, a także przez zdrowy polityczny rozsądek obowiązek współpracy z biskupami przy projektach zmian organizacji nauczania religii

W rozporządzeniu została zatem tylko rozszerzona możliwość łączenia grup międzyklasowych na lekcjach religii, nie tylko wówczas, gdy nie udało się w jednej klasie zebrać co najmniej siedmiorga uczniów (co wprowadził rząd Buzka w 1999 r.), lecz także wtedy, gdy siedmioro uczniów zapisało się na religię. Ale i w tej sprawie Nowacka poszła na istotne ustępstwo, wycofując się z jawnie absurdałnego wychowawczo planu łączenia klas od czwartej do ósmej (a więc małych dzieci z dojrzałymi nastolatkami) i wprowadzając do rozporządzenia trzy „etapy edukacyjne” umożliwiające łączenie klas od pierwszej do trzeciej, od czwartej do szóstej, a klasę ósmą zezwalając łączyć jedynie z siódmą. To wygląda już dużo mniej niedorzecznie niż plany, przed którymi w jak najostrzejszych słowach

przestrzegali w maju kurialni dyrektorzy wydziałów katechetycznych.

Biskupi krytykują to rozwiązanie, stało się ono przedmiotem ich petycji do pierwszej prezes Sądu Najwyższego, a w konsekwencji – treści skargi konstytucyjnej. Argument merytoryczny, podnoszony zarówno w petycji, jak i w skardze, jest jeden i brzmi dość wiarygodnie: łączenie klas psuje biskupom profesjonalnie przygotowane programy nauczania odmienne dla każdej klasy, a komisja wychowania katolickiego pod kierunkiem bp. łowickiego Wojciecha Osiała włożyła zapewne wraz z eksper-

tami sporo pracy w przygotowanie takich programów. Dostosowywanie ich do niejasnej sytuacji, w której nie wiadomo, czy i jakie klasy będą łączone w poszczególnych parafiach oraz diecezjach, grozi rozwaleniem całego porządku programów nauczania religii.

Tymczasem konkordat czyni biskupów w pełni odpowiedzialnymi za ustalanie tych programów. Dlatego zarówno w petycji hierarchów, jak i w skardze sędzi Manowskiej pada zarzut złamania tej właśnie regulacji konkordatowej, zawartej w art. 12 ust. 2 umowy pomiędzy Polską i Stolicą Apostolską. Czyli w istocie pogwałcenie obowiązującego aktu prawa międzynarodowego.

RESORT IGNORUJE PRAWO

Trzeba jednak przyznać, że resort Nowackiej też ma argumenty, których nie sposób nie wziąć pod uwagę. Na trzy z nich wskazywała ostatnio wiceminister Lubnauer, broniąc resortowego rozporządzenia. Raz – na fakt spadku liczby uczniów chcących uczestniczyć w lekcjach religii; dwa – na również fakt rosnącego deficytu katechetów (w niektórych województwach brakuje ich aż po kilkudziesięciu, np. na Mazowszu 54, na Dolnym Śląsku 22, a nawet w bardzo religijnej Małopolsce aż 16). Trzy – na kłopoty organizacyjne wynikające z nauki na dwie zmiany w niektórych szkołach. Co prawda według danych z poprzedniego roku szkolnego w Polsce w lekcjach religii uczestniczy chyba najwyższy odsetek uczniów w całej Unii

(aż 79 proc.), ale trudno nie brać pod uwagę konsekwencji reguły przyjętej w naszym kraju i przez nikogo nie kwestionowanej, iż ów udział jest dobrowolnym aktem uczniów lub ich rodziców. A skoro tak, to postępująca laicyzacja tak czy owak musi wyrzucić skutki na sposób organizowania w szkołach lekcji religii.

I tu właśnie dochodzimy do sedna obecnego konfliktu i przyczyn, dla których biskupi nie bez racji wykazują daleko idącą nieufność wobec posunięć Nowackiej. Tutaj też tkwi kluczowy prawniczy argument zarówno petycji biskupów, jak i skargi do Trybunału Konstytucyjnego.

Nowacka jest bowiem pierwszym ministrem edukacji, który z premedytacją ignoruje wymagany przez prawo, a także przez zdrowy polityczny rozsądek obowiązek współpracy z biskupami przy każdorazowym projekcie zmian organizacji nauczania religii. Już w marcu arbitralnie zmieniła inne ważne rozporządzenie regulujące kwestię ocen szkolnych, nie likwidując co prawda ocen z religii na świadectwach, ale usuwając ich wpływ na średnią, kluczową dla dalszej promocji każdego ucznia.

Podobnie w tajemnicy przed biskupami zmieniała wersje rozporządzenia z 26 lipca, ulegając w jakiejś mierze krytyce sformułowanej przez hierarchów, ale odmawiając jakiegokolwiek rozmowy z nimi. Nie ma wątpliwości, że taka celowa taktyka stoi w kontrze nie tylko do kluczowych regulacji konkordatowych z art. 1 tej umowy międzynarodowej na czele, lecz także polskiej ustawy oświatowej, która paradoksalnie w ukonkretnianiu tego obowiązku współdziałania idzie nawet dalej od przepisów konkordatowych. Nie mówiąc już o oczywistej sprzeczności ze sławną „formułą Mazowieckiego”, którą w 1997 r. wpisano do konstytucji.

Co więcej, chyba każdy przytomny człowiek uzna za oczywiste, iż skoro w polskim modelu nauczania religii to kościoły są odpowiedzialne za programy nauczania i kwalifikacje katechetów, zaś administracja szkolna za stronę organizacyjną lekcji religii, to taki model może działać normalnie tylko wtedy, jeśli obie

strony wykazują choćby minimalną gotowość do wzajemnego uzgadniania najrozmaitszych szczegółów. A jeśli jedna ze stron z premedytacją sabotuje takie uzgodnienia, celowo okazując pogardę dla drugiej, to wiadomo, że wcześniej czy później cały ten system popadnie w sprzeczności i konflikty, a w konsekwencji się zdegeneruje. Dlatego deklaracje biskupów koncentrują się ostatnio na podkreślaniu tego, iż Kościół chce rozmowy z rządem, nawet jeśli jest to rząd ideologicznie otwarcie antyreligijny. Rzecz jednak w tym, iż w reakcji biskupi słyszą ostatnio wulgaryzmy, obelgi i pogrożki, kierowane zresztą ogólnie pod adresem Kościoła, czyli całości polskich chrześcijan.

POGRÓŻKI I KNAJACKI JĘZYK

Jeśli bowiem w szczegółach analizować kroki, które dotąd podjęła wobec Kościoła wojującą antykatolicką minister edukacji, trzeba przyznać, że choć są

Kościół chce rozmowy z rządem, nawet jeśli jest to rząd ideologicznie otwarcie antyreligijny. Rzecz jednak w tym, iż w reakcji biskupi słyszą ostatnio wulgaryzmy, obelgi i pogrożki

one oczywiście nieprzyjemne, to jednak ich realne znaczenie jest niewielkie. Podobnie jak wobec polityków opozycji Tusk mógłby oczywiście wzmocnić represje wobec chrześcijan, gdyby tego chciał, ale najwyraźniej (przynajmniej jak dotąd) obawia się skutków takiej strategii. Nie wykluczam, iż irytacja Nowackiej, tak widoczna w jej ostatnich oświadczeniach na temat lekcji religii, bierze się właśnie z tego, iż ma ona świadomość marginalności swoich dotychczasowych kroków, podczas gdy wyznawana ideologia skłaniałaby

ją do realnego gromienia biskupów i całego Kościoła katolickiego jako ponurej twierdzy klerykalnego zabobonu. U ludzi o niskim poziomie kultury osobistej (pamiętajmy, że minister edukacji to wychowanka do gruntu zdemoralizowanego Palikota) frustracja i wewnętrzna złość najlepiej wyrażają się właśnie za pomocą knajackiego języka.

Stąd spokojne wystąpienie biskupów, podkreślające gotowość współpracy, Nowacka bez powodu kwituje knajackim: „To wycie o kasę”. A broniąc swojego rozporządzenia, zaskarżonego do Trybunału, ze złością zapowiada kapłanom i biskupom „koniec ich eldorado”. Prawdę mówiąc, nie mam wrażenia, iż bycie księdzem (czy nawet biskupem) w dzisiejszych polskich warunkach można uznać za „eldorado”, raczej wydaje mi się to autentyczna droga przez mękę. Ale jeśli Nowacka naprawdę żyje takimi wyobrażeniami o księżach i biskupach, to jedno jest pewne: przez blisko rok urzędowania nie zrobiła niczego, co miałoby skończyć owo rzekome „eldorado”.

Tusk najwyraźniej nie zamierza likwidować szkolnych lekcji religii, choć mógłby to zrobić jednym rozporządzeniem, tak samo jak niegdyś premier Mazowiecki je zaprowadził. Nie przygotował jak dotąd poważnego uderzenia w finanse Kościoła. Nie ma też pomysłu na pozbawienie koncesji Radia Maryja czy likwidację świetnie zorganizowanej przy tym radiu toruńskiej szkoły. Ani nie kombinuje wypowiedzenia konkordatu. Tymczasem każda z tych możliwości stoi przed nim otworem, o ile tylko chciałby zadośćuczynić trzem antyreligijnym fanatyczkom, które sam wprowadził do rządu (Nowacka, Kotula, Dziemianowicz-Bąk). Realne represje zastępuje więc na razie knajacko-wulgarny antyreligijny język, świadoma demoralizacja obyczajowa, ustawiczne pogrożki wobec chrześcijan oraz destrukcja współpracy z biskupami, choćby w sprawach szkolnych.

To zresztą w ogóle dobrze obrazuje istotę obecnego systemu władzy: gnienie i rozkład życia publicznego oraz dośrodkowe obyczajów, co często bywa nawet gorsze od prawdziwych represji.

Alergia *na* pandemię

Podczas pandemii koronawirusa liberalne rządy poczuły kuszący smak pełnej kontroli nad społeczeństwem. Zrodzona wtedy pokusa wcale jednak nie zniknęła. To dlatego ludzie z dużą nieufnością przyjmują dziś ostrzeżenia przed możliwym powrotem zarazy

Końcem pandemii koronawirusa w Polsce był 24 lutego 2022 r. Właśnie tego dnia rozpoczęła się agresja Moskwy na Ukrainę. Nagle wszyscy przestali przejmować się liczbą zakażeń, maseczkami, kolejnymi dawkami szczepionek, bo wystraszyli się wybuchu wielkiej wojny z Rosją.

To całkowicie naturalny ludzki odruch. W obliczu realnego zagrożenia koncentrujemy się wyłącznie na nim, odrzucając inne bodźce, które wydają się mniej istotne. Taki właśnie los spotkał pandemię, będąc zarazem najlepszym testem jej realności. Nie chodzi tutaj o to, że pandemia od samego początku była fikcją czy tajnym projektem, idzie raczej o to, że wtedy – na początku 2022 r. – związane z nią ryzyko było już stosunkowo niewielkie i sztucznie podtrzymywane.

Większość ludzi intuicyjnie czuła wówczas, że życie powinno wrócić do normy, ale media ciągle były na alarm: idzie kolejna, enta już fala zakażeń, trzeba przyjąć kolejną, enta już dawkę szczepionki, pilnujcie się, słuchajcie zaleceń, bo inaczej będziecie zgubieni.



KONRAD KOŁODZIEJSKI



Niewiara w oficjalny przekaz, która od pewnego czasu tliła się w ludzkiej podświadomości, ostatecznie wyszła na światło dzienne w chwili, gdy moskiewskie tanki przekroczyły granicę z Ukrainą. W ciągu jednego dnia strach przed pandemią zniknął, wszyscy o niej zapomnieli. I co się stało? Nic. Liczba zachorowań nie wzrosła, nadal



żyjemy. Jak to teraz czytać? Ano tak, że komuś – raczej nie w Polsce, ale gdzieś dalej – opłacało się podtrzymać powszechne poczucie zagrożenia.

Podobnie było w całej Europie i na świecie – tam również temat pandemii wyparował w ciągu kilku dni. Zrodziło to zrozumiałą nieufność wobec instytucji państwowych, polityków i mediów. Bo jak się okazało w 2022 r. ryzyko było niewielkie, ale mimo to nadal próbowano trzymać ludzi na krótkiej smyczy. Kluczowe pytanie brzmiało – w jakim celu?

Kto da dziś gwarancję i przekona ludzi, że mamy do czynienia z uczciwą grą? Dlaczego wszyscy mają uwierzyć, że chodzi wyłącznie o nasze zdrowie, a nie o zyski firm biotechnologicznych?

Odpowiedzi na nie ciągle nie znamy, choć obserwując politykę liberalnych rządów w ostatnich latach, możemy się jej domyślać. Gorzej, że gdy dojdzie do kolejnego zagrożenia – co wcale nie jest wykluczone – zignorujemy je. Bo jak tu ufać instytucjom, które tak ostentacyjnie naraziły swoją wiarygodność na szwank?

POWRÓT KORONAWIRUSA

Wszystko wskazuje na to, że wskutek błędnej polityki liberalnych rządów i ich niejasnych intencji wielu z nas skutecznie się zaszczepiło. Ale nie na koronawirusa, lecz na pandemię. Bo gdy słyszymy dziś, że grozi nam powrót pandemii, że rośnie liczba zakażeń, po prostu włączamy ramiona. Znowu kłamią, znowu przesadzają,

znow coś kombinują – można usłyszeć dookoła.

Nic więc dziwnego, że alarmistyczne doniesienia o nowym podwarianie wariantu omikron, który ma siać spustoszenie w całej Ameryce i Europie, są przyjmowane z dużym dystansem. Znow w mediach pojawił się dr Paweł Grzesiowski, mianowany w czerwcu głównym inspektorem sanitarnym. Powrócił też prof. Krzysztof Pyrc,

od stycznia będący członkiem zespołu do spraw chorób zakaźnych przy ministrze zdrowia. Obaj, skądinąd znawcy tematu, mają więc kolejną okazję, by dzielić się w mediach swoimi spostrzeżeniami na temat koronawirusa. I chętnie to robią.

Dowiadujemy się więc, że od początku wakacji znowu rośnie liczba zakażeń na COVID-19. „W lipcu apteki w Polsce sprzedały prawie 187 tys. testów wykrywających wirusa SARS-CoV-2, co stanowi ponad dwukrotny wzrost w porównaniu do czerwca” – alarmuje Onet w tekście pod tytułem „Letnia fala koronawirusa?” (na wszelki wypadek ze znakiem zapytania po tytule). „Z danych Ministerstwa Zdrowia wynika, że chorych przybywa, pojawiają się też pierwsze, po długiej przerwie, hospitalizacje chorych na Covid-19” – czytamy dalej. „Eksperci przewidują, że szczytu letniej fali zachorowań można się spodziewać w połowie września. Mamy bardzo dużo chorych – zauważa dr Paweł Grzesiowski”.

Dużo chorych to znaczy ile? W szczycie pandemii, wiosną 2021 r. i podczas kolejnej dużej fali w styczniu 2022 r., gdy wariant koronawirusa był już znacznie łagodniejszy od tego z początków pandemii, zdarzało się po kilkadziesiąt tysięcy stwierdzonych przypadków dziennie. Jest więc jakiś punkt odniesienia. W połowie sierpnia br. mowa jest o niecałym 1 tys. na dobę. Na szczęście wciąż nam daleko do liczb sprzed dwóch, trzech lat. Oczywiście mówimy o przypadkach oficjalnie zarejestrowanych, skala tych spoza systemu jest pewnie wielokrotnie wyższa. Ale tak samo było w latach 2021 i 2022, zatem proporcje są zachowane.

Przy czym nie chodzi tutaj o to, aby bagatelizować sytuację, ale z pewnością nie daje ona jeszcze powodu do bicia w dzwony i ogłaszania powrotu pandemii. Na tym etapie wystarczy poinformować o wzroście zachorowań i zacząć ostrożność, zwłaszcza osobom starszym lub osłabionym. Podobnie jak to się robi w przypadku innych chorób.

Zresztą ludzie i bez onetowego larum potrafią być racjonalni i świadomi potencjalnego ryzyka, o czym świadczy wspomniany wzrost liczby sprzedanych testów na COVID-19. Skoro w lipcu kupiono ich aż 187 tys., oznacza to, że nikt nie bagatelizuje wirusa. Przy czym, co warto zauważyć, wzrost sprzedaży testów i co za tym idzie zakażeń nie przekłada się na jego ostrzejszy przebieg. Większość choruje w domu i wraca do zdrowia.

W tej chwili wniosek z tego płynie taki, że koronawirus, który pojawił się na początku 2020 r., nigdy nie zniknął i prawdopodobnie nie zniknie, a jego obecny wariant nie stanowi wielkiego ryzyka dla życia większości populacji. Gdyby było inaczej, liczby dotyczące hospitalizacji i zgonów byłyby inne. Po prostu zamiast wzniesienia paniki

musimy nauczyć się żyć z zarazą. I na razie chyba nam się to udaje.

ZARZĄDZANIE STRACHEM

Rzeczywistą, a nie urojoną skalę problemu dostrzega zresztą także wspomniany dr Grzesiowski, tyle że te jego wypowiedzi są mniej eksponowane. „Nie ma na razie żadnych sygnałów o tym, że przebieg covidu w 2024 r. jest inny niż przebieg covidu w 2023 czy 2022 r.” – przyznaje w rozmowie z PAP. Dlatego główny inspektor sanitarny nie widzi powodu do wprowadzania obostrzeń sanitarnych dla Polaków. Zdaniem dr. Grzesiowskiego byłoby to „niepotrzebnym zwiększeniem obciążeń dla wszystkich” i „nieprzekładałoby się to na bezpieczeństwo pacjentów”.

Warto zapamiętać te słowa, bo gdyby opierać się wyłącznie na tym, co piszą niektóre media głównego nurtu, to już dziś należałoby schować się w domu i wrócić do pracy zdalnej. Nasuwa się przy tym pytanie, na ile ten alarmistyczny ton mediów jest wynikiem poszukiwania „nośnego tematu”, na ile wynika z głupoty autorów, a na ile jest świadomą polityką redakcyjną. Bo kwestie związane z ochroną zdrowia publicznego, a w szczególności z koronawirusem, są jak najbardziej polityczne.

Podczas pandemii potwierdziło się bowiem, że strach jest bardzo silną emocją ludzką. I umiejętnie zarządzanie tym strachem może być narzędziem skutecznej polityki. Jak się okazało, przestraszeni ludzie zgodzą się na ograniczenie własnej wolności, a nawet działanie wbrew ich interesom. I będzie tak, dopóki nie przestaną ufać swoim instytucjom, mediom i politykom.

Po pandemii to zaufanie zostało mocno nadwątlone. Właśnie dlatego bicie na alarm z powodu koronawirusa budzi wątpliwości. Bo być może znów ktoś chce wzbudzić strach i od nowa rozpocząć jakąś grę.

BRAK ZAUFANIA

Ta nieufność przejawia się chociażby w kwestii szczepień. Nie będę wnikał w kwestie medyczne, nie ma bowiem żadnych niepodważalnych dowodów, że szczepienia były szkodliwe. Chodzi mi raczej o reakcje społeczne. A te są bardzo wymowne.

Z danych rządowych wynika, że do sierpnia 2024 r. wykonano 58,5 mln szczepień przeciwko COVID-19. Wydaje się, że to sporo, ale diabeł tkwi w szczegółach. Otóż o ile pierwszą dawkę przyjęło 22,8 mln osób, o tyle drugą – 19,7 mln, a trzecią – 15,7 mln. W przypadku czwartej dawki, oferowanej od września 2022 r., było to już tylko

Wszystko wskazuje na to, że skutek błędnej polityki liberalnych rządów i ich niejasnych intencji wielu z nas skutecznie się zaszczepiło. Ale nie na koronawirusa, lecz na pandemię

194 tys. osób. Te dane oznaczają, że większość ludzi, w tym zaszczepionych trzema dawkami, zrezygnowała z kolejnych zastrzyków, najwyraźniej nie wierząc w dalszy sens przyjmowania szczepionki. Mogło to wynikać – i zapewne wynikało – z przekonania, że wirus jest już pod kontrolą, a także z obawy przed ewentualnymi skutkami ubocznymi szczepionki.

I nie ma tu znaczenia, czy te obawy były uzasadnione, czy nie (wiele wskazuje na to, że nie były). Chodzi o brak zaufania do oficjalnych służb i instytucji. Wystarczy przypomnieć sobie skandal związany z zakupem szczepionek firmy Pfizer przez szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen. Według ustaleń Europejskiego Trybunału Obrachunkowego von der Leyen, działając w imieniu 27 krajów członkowskich, miała samowolnie zobowiązać się do zakupu w latach 2022–2023 aż 900 mln dawek szczepionki Pfizer z opcją zakupu dodatkowych 900 mln. Wszystko za 35 mld euro. Przy tej okazji wyszła na jaw jej bliska znajomość z dyrektorem generalnym Pfizera Albertem Bourlą. O aferze jako pierwszy napisał „The New York Times” już w kwietniu 2021 r.

Rzecz jasna Ursula von der Leyen zdołała się wykręcić z afery, ale mnóstwo ludzi pozostało bez odpowiedzi na kilka ważnych pytań. Czy liczba szczepień i typ podawanych im szczepionki wynikał z troski o ich zdrowie, czy był raczej skutkiem porozumienia biznesowego i domniemanej korupcji przy jego zawarciu? Czy chodziło o walkę z koronawirusem, czy o zawartość czyjegoś portfela? I czy w związku z tym zaryzykowano dla pieniędzy naszym zdrowiem?

Trudno nie dostrzec związku pomiędzy tą aferą a liczbą szczepień. Zaufanie do szczepionki – i tak mocno już nadwerężone przez sektę antyszczepionkową – zostało nadwątlone jeszcze bardziej. Znowżajrzyjmy do danych. O ile w połowie 2021 r. wykonywano nawet 650 tys. szczepień przeciwko COVID-19 dziennie (3 czerwca 2021 r.), o tyle rok później liczba ta skurczyła się do zaledwie 5 tys. (3 czerwca 2022 r.). W 2022 r. koronawirus nie był już taki groźny, więc w opinii większości ludzi zabrakło powodu, aby przyjmować kolejne dawki szczepionki. Zwłaszcza że nikt nie miał pewności, czy w przypadku dalszych dawek nie chodzi już tylko o to, aby zużyć zakupione w nadmiarze zastrzyki.

Dotyczyło to zresztą nie tylko koronawirusa. Brak zaufania do decydentów odbił się bowiem także na obowiązkowych szczepieniach. Według Państwowego Zakładu Higieny liczba uchylających się od obowiązkowych szczepień wzrosła w Polsce z 50,5 tys. w 2020 r. do aż 87 tys. w 2023 r. A to już jest naprawdę niebezpieczne dla życia publicznego. Zaryzykuję twierdzenie, że znacznie bardziej niż ryzyko wybuchu nowej pandemii koronawirusa.

POKUSA PEŁNEJ KONTROLI

Koronawirus to nie jedyna zaraza, którą straszą dziś media. Jeszcze niedawno prof. Pyrc ostrzegał na portalu Wyborcza.pl przed pandemią ptasiej grypy, teraz jednak przyćmiła ją małpia oспа, której ogniska wykryto w Afryce i która potencjalnie może zagrozić pozostałym kontynentom. Choć wirus małpiej ospy od kilku lat jest wykrywany w Europie (w tym w Polsce), to dziś słyszymy – podobnie jak w przypadku koronawirusa – o jego nowej, jakoby wyjątkowo groźnej odmianie, która może, jak twierdzą media, zdziesiątkować globalną populację.

Wierzyć w to czy nie wierzyć? Mając w pamięci historię koronawirusa i to, jak straszono nas nim w czasie, gdy przestał stanowić poważne zagrożenie, trudno się dziwić chłodniej reakcji na te rewelacje. Tym bardziej że i tu pojawia się pomysł szczepień, co być może nie byłoby złe, gdyby nie fakt, że jedynie firma Bavarian Nordic produkuje zatwierdzoną szczepionkę na małpią ospę i dziwnym trafem na początku sierpnia jej akcje mocno podskoczyły. Stało się to dokładnie wtedy, gdy Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) wydała ostrzeżenie o wystąpieniu „międzynarodowego zagrożenia dla zdrowia”.

Z jednej strony to nic dziwnego, że akcje rosną, gdy pojawia

się możliwość zarobku (sprzedaż szczepionek). Jednak z drugiej strony, kto da dziś gwarancję i przekona ludzi, że mamy do czynienia z uczciwą grą? Dlaczego wszyscy mają wierzyć na słowo, że chodzi wyłącznie o nasze zdrowie, a nie o zyski firm biotechnologicznych? Bo przecież ogłoszenie ryzyka pandemii małpiej ospy to dla takich firm czysty zysk.

Oczywiście nie twierdzę, że zagrożenia na pewno nie ma. Po prostu tego nie wiem i nie do końca wierzę w oświadczenia międzynarodowych instytucji. Uczciwość, etyka, lojalność wobec obywateli coraz częściej ustępują przed żądzą zysku i władzy.

Podczas pandemii koronawirusa liberalne rządy poczuły kuszący smak pełnej kontroli nad społeczeństwem. Zamknięcie ludzi w domach podczas lockdownu pokazało, że w szczególnych okolicznościach można z powodzeniem ubezwłasnowolnić miliony osób. Pandemia się skończyła, ale pokusa pozostała, zwłaszcza że tu i ówdzie w Europie ciągle pojawiają się rebelianckie nastroje.

Wszystko to oznacza, że mamy dziś do czynienia – i w Polsce, i w Europie – z ogromnym kryzysem zaufania. Liberalna władza nie ufa obywatelom i chce ich wziąć na krótką smycz, a oni, dostrzegając to, odpłacają rządzącym tym samym. W obliczu wielu potencjalnych zagrożeń nie wróży to niczego dobrego ani w kwestii ochrony zdrowia, ani w jakiegokolwiek innej.

Liberalna władza nie ufa obywatelom i chce ich wziąć na krótką smycz, a oni, dostrzegając to, odpłacają rządzącym tym samym. W obliczu wielu zagrożeń nie wróży to niczego dobrego

Nie chcę być pacyn

Nie uciekam przed wymiarem sprawiedliwości, nie szukam żadnego schronienia. Jestem jednak zainteresowany uczciwym procesem. Chcę wrócić do Polski w momencie, gdy będę miał gwarancję uczciwego postępowania, uczciwego procesu

Jacek Karnowski rozmawia z **Michałem Kuczmierowskim**,
byłym prezesem Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych

Gdzie pan teraz jest?

Michał Kuczmierowski: Obecnie szukam pracy poza granicami Polski. Od dziewięciu miesięcy jestem w zainteresowaniu prokuratury – przez ten czas prokuratura nie była chętna do bezpośredniego kontaktu. Jestem publicznie piętnowany, co sprawia, że moje możliwości znalezienia zajęcia w kraju są bardzo ograniczone. A mam na utrzymaniu rodzinę, w tym trójkę dzieci.

Gdzie konkretnie szuka pan pracy?

M.in. w Londynie, gdzie obecnie przebywam. Mam tu swoje relacje zawodowe, pomysły, widzę szansę na znalezienie pracy.

Ale media podawały, że ukrywa się pan na Cyprze. Ponoć po to, by uniknąć ekstradycji.

Prokuratura postanowiła rozpocząć procedurę zatrzymania, aresztowania w momencie, kiedy byłem z rodziną na zaplanowanych wcześniej wakacjach w Turcji. A przecież musiała o tym wiedzieć, bo byłem objęty monitoringiem telefonu komórkowego, nie zmieniałem numeru. Postanowiono jednak zatrzymać mnie w trakcie urlopu, by był obrazek i ciekawa opowieść dla wybranych mediów. Postanowienie o posiedzeniu sądu aresztowego do-



Fot. Archiwum prywatne

tarło do mnie trzy dni przed wyznaczoną datą, nie miałem możliwości powrotu do Polski w tak krótkim czasie. Nie mogłem więc osobiście złożyć wyjaśnień przed sądem, odrzucono też wnioszek mojego obrońcy o odroczenie tego posiedzenia, co umożliwiłoby mi osobiste stawiennictwo. Chodziło wyłącznie o urządzenie igrzysk.

Wydano za panem list gończy. Czy w związku z tym zamierza pan wrócić do Polski?

Nie uciekam przed wymiarem sprawiedliwości, nie szukam żadnego schronienia. Jestem jednak zainteresowany uczciwym procesem. Chcę wrócić do Polski w momencie, gdy będę miał gwarancję

ką w teatrzyku PO

uczciwego postępowania, uczciwego procesu.

Dziś nie ma pan poczucia, że proces będzie uczciwy?

To widać gołym okiem. Jeśli po kilku miesiącach ciszy prokuratura postanawia mnie zatrzymać, bo dwa dni później premier ma konferencję o rozliczeniach Prawa i Sprawiedliwości, to znaczy, że potrzebny był fajny obrazek medialny. Kolejne działania prokuratury są podejmowane po zapowiedziach kluczowych polityków Platformy o zaostrzeniu rozliczania PiS, a medialne przecieki z prokuratury na temat postępowania są skoordynowane z działaniami komunikacyjnymi rządu. W tych warunkach trudno mi uznać, że moja sprawa jest prowadzona w sposób uczciwy, profesjonalny. Jest natomiast jasne, iż jest ona napędzana politycznie. Gdy będę miał pewność, że czeka mnie obiektywne, rzetelne postępowanie, natychmiast wracam do kraju.

Na czym miałyby polegać gwarancje uczciwego procesu? Czego pan oczekuje? Wyciszenia emocji politycznych wokół pana?

Złożyliśmy wniosek o list żelazny, który zagwarantuje mi możliwość odpowiadania z wolnej stopy w procesie, który, jak zakładam, niedługo się rozpocznie. Wiemy z doświadczenia, że procesy tego typu ciągną się latami, szybkiego rozstrzygnięcia nie będzie, więc choćby dlatego wolalby odpowiadać z pozycji człowieka wolnego. Nie chcę być w żaden sposób używany do politycznego przedstawienia, nie chcę być pacynką w teatrzyku pt. „PO rozlicza poprzedników ku uciesze rozochoconej publiczności pod sztandarem ośmiu gwiazdek”. Powtarzam: jeśli będę miał gwarancję uczciwego procesu,

jeżeli będę mógł rzeczowo odnieść się do dokumentów, wypowiedzieć się swobodnie, to z przyjemnością stawię się następnego dnia.

A jeśli takich gwarancji nie będzie?

Rozważam różne scenariusze. Na początek planuję wykorzystać te możliwości, które daje mi polskie prawo. A więc zaskarżenie decyzji sądu o areszcie, następnie wniosek o list żelazny, później inne narzędzia łącznie z zabiegami o uznanie, iż postępowanie wobec mnie ma cechy procesu politycznego.

Jak przyjął pan wydanie listu gończego? Zazwyczaj policja poszukuje w ten sposób niebezpiecznych przestępców podejrzanym o zabójstwo, włamania, handel narkotykami.

To jest działanie skandaliczne, niemające nic wspólnego z państwem prawa, o którym tak wiele słyszeliśmy w ostatnich miesiącach. Nigdy nie ukrywałem się przed wymiarem sprawiedliwości. Wręcz przeciwnie, sam wywoływałem ten kontakt, błyskawicznie odpowiadałem na wszelkie pytania CBA czy prokuratury. List gończy został wydany, gdy przebywałem na wakacjach, gdy miałem bardzo ograniczony dostęp do internetu, do narzędzi komunikacji.

Prokuratura do pana nie dzwoniła?

Nikt się ze mną nie kontaktował, nie było żadnego telefonu. Wezwanie na posiedzenie sądu aresztowego dostarczono nie mnie, ale członkom mojej rodziny w sobotę, trzy dni przed posiedzeniem. Policjant się spieszył, bo chciał iść na urlop, a miał rozkaz, by wezwanie wręczyć komukolwiek. To pokazuje, że tu nie chodzi o wyjaśnienie czegokolwiek, ale o zagmatwanie, wykorzystanie w ramach potrzeby politycznej.

Jak pańscy bliscy przeżywają tę sytuację?

Sytuacja jest bardzo trudna, nikomu nie życzę, by przechodził przez coś takiego. To trudny czas dla mnie, żony, moich dzieci i bliskich. Celem jest zniszczenie człowieka, a nie wyjaśnienie sprawy. Odebrano mi możliwość wypowiedzenia się, narzucana jest narracja o „rozliczaniu przekrętów”, media trąbią o poszukiwaniach, o ściąganiu. Niewiele osób wnika w istotę zarzutów, niewiele widzi, jak niewspółmierne działania podjęto. Prokuratura już od wielu miesięcy przekazuje mediom niejawną informację, fragmenty protokołów z klauzulą „poufne”, fragmenty różnych raportów, które mają mnie dyskredytować, choć nie ma w nich żadnych twardych dowodów, bo nie może ich być. Nie istnieją, bo nie robiliśmy niczego niezgodnego z prawem. Ale to wszystko jest zorganizowane, zaplanowane. To bardzo nieetyczne działania.

Jak wynika z doniesień medialnych, sednem zarzutów wobec pana są relacje Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych z Pawłem Szopą, twórcą firmy „Red is Bad”. Czy ma pan pewność, że kontrakty zawarte z nim nie były przeplacone? Czy na pewno nie miał żadnych preferencji w zdobywaniu kontraktów?

Zacznijmy od tego, że sprawozdanie finansowe zostało zatwierdzone przez obecnego szefa KPRM, protegowanego premiera Tuska.

To są zupełnie nieuzasadnione zarzuty. Potwierdzenie tego można znaleźć w dokumentach, które są w posiadaniu CBA i prokuratury, do których dziś nie mam dostępu. Przecież cała operacja polegała na tym, by to zamówienie sprowadzić do tego, że agencja odpowiadała za zakup „działkowych agregatów”, a nie wielkich urządzeń.

W RARS postępowania zakupowe prowadziło Biuro Zakupów. Ja do-
stawiałem protokoły postępowania,
w których wyraźnie wskazywano
obiektywne kryteria podejmowa-
nia decyzji przez komisję zakupową,
w ogromnej większości nie miałem do
tego zastrzeżeń.

Czasem miał pan zastrzeżenia?

Czasem poddawałem niektóre po-
stępowania szczególnej analizie. Jeśli
moje wątpliwości czy uwagi potwier-
dzały się, wstrzymywaliśmy procesy
zakupowe. Tak było m.in. w przy-
padku zakupu oczyszczaczy do wody,
które miały być dostarczone za późno.
Nie mam zastrzeżeń w tej sferze ani
wobec siebie, ani wobec komisji zaku-
powej. Trzeba też podkreślić, że w cza-
sie pandemii działaliśmy w sytuacji
skrajnie nadzwyczajnej, brakowało
wówczas właściwie wszystkiego, za-
łamały się łańcuchy dostaw, cały świat
rywalizował o pewne produkty, bo ra-
towały one życie. Dziś to wszystko jest
wykorzystywane do walki politycznej.
Ja się na to nie godzę, to po prostu nie-
uczciwe, niesprawiedliwe, to nie po-
winno mieć miejsca.

Na czym polegała relacja RARS z Pawłem Szopą? Zarzuty dotyczą tego, że za dużo kontraktów szło przez jego firmę, że to źle wyglądało.

Nie mam takiego poczucia. Nie po-
twierdzam tych zarzutów. Nigdy nie
miałem żadnych relacji osobistych
z Pawłem Szopą, spotykaliśmy się
tylko w trakcie negocjacji, uzgadnia-
nia kontraktów. Natomiast trzeba
podkreślić, że miał on rozległe kon-
takty w Azji, zwłaszcza w Chinach.
Potrafił też w niestandardowy, bar-
dzo skuteczny sposób dostarczać po-
trzebne, trudno dostępne produkty
w atrakcyjnych cenach bezpośrednio
od producentów. Miał swoich ludzi
na miejscu, potrafił zapewnić całą
logistykę. To bardzo pomagało w cza-
sie różnych kryzysów. Każdorazowo
pilnowaliśmy, aby postępowania kon-
traktowe były prowadzone w sposób
konkurencyjny, umożliwiający wery-
fikację ofert. Warunki finansowe, wa-
runki dotyczące terminów dostaw – to
wszystko jest w dokumentach, można

to zweryfikować. Nie mam wątpliwo-
ści, że ta sprawa zostanie wyjaśniona
po naszej myśli.

*Według Onetu Justyna G., która była
dyrektorem Biura Zakupów RARS,
złożyła „obszerne wyjaśnienia o spo-
sobie wyprowadzania pieniędzy”
i chwilę potem wyszła z aresztu.
To na jej słowach ma się opierać
oskarżenie wobec pana. Jak się pan
odniesie do tego wątku?*

Na początek planuję
wykorzystać te możliwości,
które daje mi polskie prawo.
A więc zaskarżenie decyzji
sądu o areszcie, następnie
wniosek o list żelazny, później
inne narzędzia łącznie
z zabiegami o uznanie,
iż postępowanie wobec mnie
ma cechy procesu politycznego

To dobrze pokazuje styl i sposób dzia-
łania obecnej władzy oraz prokuratury.
W sprawie Funduszu Sprawiedliwości
na wiele miesięcy wsadzono do aresztu
dwie kobiety, a także księdza. W przy-
padku RARS do aresztu trafiła kobieta,
która odpowiadała za sferę zakupów
i która naprawdę dbała o dochowanie
wszystkich wymogów prawnych oraz
ekonomicznych. Ta pani jest matką
samotnie wychowującą dziecko, więc
cel wybrano bardzo świadomie, z pełną
premedytacją. To są metody iście ban-
dyckie. Zatrzymano ją po kilku mie-
siącach od przeszukań bez żadnych
podstaw merytorycznych tylko po to,
by w areszcie wydobywczym złamać
ją i wymusić na niej odpowiednie ze-
znania. Takie, które pozwolą skierować
uderzenie w moją stronę. Nie boję się
tych słów, matka zrobi wszystko, by
ratować swoje dziecko.

Czy w pańskiej ocenie uderzenie w pana, list gończy, próba aresz- towania, mają na celu uderzenie w całe pańskie środowisko poli- tyczne?

Nie mam żadnych wątpliwości.
Ciekawe, że np. w czasie jednego
posiedzenia aresztowego w jednej
sprawie zapadły dwie różne decyzje.
Wobec mnie zdecydowano o aresz-
cie tymczasowym, a wobec Pawła
Szopy zgodzono się na list żelazny.

To obnaża intencje. Decy-
zja w mojej sprawie miała na
celu rozpoczęcie medialno-
politycznego serialu poszu-
kiwania i ścigania współpra-
cownika premiera Mateusza
Morawieckiego. Jeszcze raz
podkreślam: prokuratura nie
kontaktowała się ze mną, nie
próbowała nawiązać kontaktu.

Co jeśli zostanie wydany Europejski Nakaz Aresztowa- nia? Wydany list gończy obowiązuje tylko w Polsce, ENA także poza granicami naszego kraju.

Dziś jestem na etapie zabiegów
prawnych w odniesieniu do
już wydanych decyzji. Zabie-
gamy o list żelazny. Obrońca
nie złożył tego wniosku wcześ-
niej, bo miał tylko trzy dni na

zapoznanie się z obszernymi aktami,
technicznie zabrakło czasu. Taki
wniosek składamy teraz.

Co by pan powiedział tym wszyst- kim, którzy już uznali pańską winę i klaszczą na tym przedstawieniu?

To wszystko jest dla mnie ogromnie
przykre. Nigdy niczego nie ukradłem,
zawsze działałem z myślą o interesie
publicznym, to był dla mnie priory-
tet. To, co robią organy ścigania, jest
dyktowane potrzebami politycznymi.
To czytelne. Premier Tusk ogłasza
wielkie polowanie na pisowców,
prokuratura natychmiast planuje
moje zatrzymanie, a później ściganie.
To wszystko czyni się w ramach hasła
„j...ć PiS”, które niestety jak widzimy
przejęły również prokuratura, część
sądów. Ja się na to stanowczo nie zg-
dzam.

Polskie złoto po raz trzeci

Trzy razy w historii Polska miała tak poważne zasoby złota, że była w europejskiej czołówce jako poważny partner finansowy dla reszty świata. Dwa razy straciła to złoto na zakrętach historii. Czy teraz straci po raz trzeci?

W czerwcu br. prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Adam Glapiński ogłosił kilka interesujących danych. W 2024 r. NBP dysponuje 363 t złota, a całość rezerw walutowych przekroczyła 200 mld dol. To plasuje Polskę na 15. miejscu na świecie w rankingu pokrycia dla krajowej waluty w zlocie. Ale nie tylko stan tych zasobów jest ważny. Tylko w ciągu sześciu lat prezes Glapiński nakazał kupić 260 t złota, a więc ponad 70 proc. obecnych jego zapasów pozyskał obecny szef NBP. Mamy więc więcej tego kruszcu niż Wielka Brytania (358 t), Hi-



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

szpania (281 t), choć oczywiście Stanów Zjednoczonych (ponad 8 tys. ton) jako światowego króla złota nie dogonimy.

Tymczasem Europejski Bank Centralny, który emituje walutę euro, ma niewielki poziom zabezpieczenia

w zlocie, bo jedynie 506 t tego kruszcu, a przecież odpowiada za portfele ok. 346 mln ludzi, a nie tak jak polski bank – mniej niż 40 mln. To też pokazuje, że waluta euro jest projektem politycznym, bo krajowe banki centralne wolą pozostawić rezerwy złota i rezerwy walutowe u siebie, a do Frankfurtu nad Menem przeznaczyć tylko część swoich zasobów.

GLAPIŃSKI PILNUJE ZŁOTA

Polska epopeja złota ma ogromne znaczenie w dobie kryzysów, które



w ostatnich latach nie oszczędzają świata, a zwłaszcza Europy Środkowo-Wschodniej. Pandemia COVID-19 i inwazja rosyjska na Ukrainę uderzyła w budżety, gospodarki, zachwiała stabilnością rynków finansowych i Glapiński jako stróż polskiego złota skupujący jego kolejne tony naprawdę jawi się jako twardy gwarant dla polskiego pieniądza.

Od grudnia ub.r. sytuacja NBP jest jednak coraz bardziej niepewna. Ciągłe groźby postawienia prezesa banku centralnego przed Trybunałem Stanu udarzęją w wiarygodność banku i utrudniają jego pracę. Pierwsze scenariusze pozbawienia Glapińskiego stanowiska pojawiły się w kampanii wyborczej Donalda Tuska, zostały powtórzone po wyborach 15 października, a jeszcze w sierpniu br. potwierdzał je marszałek Sejmu Szymon Hołownia.

To stara metoda paraliżowania nie-lubianej instytucji. Ogłoszenie planu likwidacji, zapowiedź wymiany kierownictwa odbiera motywację pracownikom i zmniejsza efektywność pracy, bo po co się starać, skoro zaraz mogą wymienić szefa? Nic dziwnego, że od powołania koalicji 13 grudnia zapas pol-

skich rezerw walutowych się nie zwiększył. Trudno działać dla państwa polskiego, gdy oszałała władza zapowiada kary za niezależność i ponadprzeciętną aktywność.

Sprawa ma znaczenie także w kontekście bezpieczeństwa finansowego na poziomie międzynarodowym. Z racji pełnionego urzędu prof. Glapiński jest członkiem Rady Ogólnej Europejskiego Banku Centralnego i reprezentuje interesy Rzeczypospolitej na europejskim forum. Już w listopadzie Christine Lagarde, prezes EBC, zapowiedziała, że w razie dalszych gróźb ze strony koalicji Tuska wobec prezesa NBP prof. Glapiński powinien skierować ewentualną sejmową uchwałę o postawieniu go przed Trybunał Stanu do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Teoretycznie Sejm może podjąć taką decyzję większością głosów, ale Trybunał Konstytucyjny orzekł niezgodność przepisów tej ustawy z konstytucją. Czy jednak władza uszanuje decyzję TK, gdy będzie chciała zniszczyć Glapińskiego?

Już w marcu br. 191 posłów koalicji rządzącej podpisało się pod wstępnym

wnioskiem o postawieniu Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. Zarzuty wobec profesora są takie jak w sprawie Pegasusa czy afery wizowej: oparte na medialnym oburzeniu, wymyślonych liczbach i oskarżeniach, które *de facto* powinny być pochwałami, jak np. skupowanie aktywów w dobie pandemicznego kryzysu gospodarczego.

POLSKIE ZŁOTO DLA FRANKFURTU

Stanowisko prezesa NBP jest dla Donalda Tuska kluczowe w planach wprowadzenia euro w Polsce. Bez podpisu tego urzędnika (oraz ministra finansów) państwo członkowskie nie jest bowiem w stanie wejść w etap przejściowy mechanizmu kursów walutowych ERM II. W tym okresie, zazwyczaj dwuletnim, waluta krajowa jest powiązana z euro określonymi widelkami kursowymi, a później już *de facto* nie ma odwrotu i trzeba się pozbyć rodzimego pieniądza na rzecz europejskiej waluty.

Co się stanie z krajowymi zasobami złota, gdy dany kraj przyjmuje euro?

Wkład nowo przyjmowanych krajów do Europejskiego Banku Centralnego zależy od kilku czynników, ale po wstępnym przeliczeniu można powiedzieć, że nawet 50 t złota mogłoby zostać przeksięgowane z NBP do EBC. Polska nadal dysponowałaby imponującymi zapasami, a jednak problem z uszczuplaniem polskich rezerw na tym by się nie zakończył.

– Choć banki centralne poszczególnych krajów zostają zachowane, tracą jednak swoją rolę jako emitent pieniądza – tłumaczy tygodnikowi „Sieci” dr Zbigniew Kuźmiuk, ekonomista, członek Prawa i Sprawiedliwości. – W sytuacji kryzysów, takich jak pandemia czy wojna, to decydenci z Europejskiego Banku Centralnego, a więc grono międzynarodowe, decydują o walucie.

Jeśli więc nie Warszawa, a Frankfurt nad Menem (siedziba EBC) trzyma w ręku politykę monetarną, to w przypadku problemów jednego z krajów strefy euro na ratunek idą wszystkie kraje europejskiej waluty, a decyduje o tym Rada Prezesów, Zarząd i Rada Ogólna EBC. Polska miałaby tu tylko jeden głos w jednym z trzech tych or-

ganów, a więc sprawczość byłaby żadna. Jest jednak kraj, który *de facto* zarządza europejską walutą.

NIEMCY CHCĄ ZARZĄDZAĆ KRYZYSAMI

„Żaden rząd czy cierpiące deficyt państwo w strefie euro nie odważy się sprzeciwić Berlinowi, nawet jeśli w głębi serca tego pragnęły” – to nie są słowa któregoś z polskich krytyków strefy euro, ale ekonomisty i ministra finansów Grecji Janisa Warufakisa, który po kryzysie finansowym swojego kraju pozostawił opis unijnych rozwiązań monetarnych i finansowych *de facto* tworzonych przez niemieckich urzędników – ówczesna kanclerz Angelę Merkel, a także ministra finansów czy pomniejszych ekonomistów. Wówczas nawet Polska, choć nie była w strefie euro, została poproszona o dorzucenie się do spłaty długu, który zaciągnęła Grecja, a chciała spłacać Merkel oczywiście nie swoimi pieniędzmi. Mając własną walutę, mogliśmy odmówić, wkrótce jednak może być inaczej.

Na horyzoncie mamy bowiem Włochy, których dług publiczny wynosi już ok. 3 bln euro, a więc 15 razy więcej niż dług Grecji, która w 2009 r. wstrząsnęła Europą.

– Włochy i tak przeznaczają środki z ich KPO na łatanie dziur w finansach, a nie na cele przedstawione Brukseli – komentuje Kuźmiuk. – Tego długu nie da się spłacić normalnymi metodami, on jest zbyt duży – dodaje.

Czy Europejski Bank Centralny znowu będzie musiał ratować kolejny kraj strefy euro? Czy rząd RP chciałby dołożyć się na wypadek takiego kryzysu? Bez kontroli nad NBP byłoby to niesłychanie trudne.

Ale i bez włoskiego scenariusza polskie rezerwy walutowe są łakomym kąskiem dla Frankfurtu. Kuźmiuk podkreśla, że w tonącej koncepcji europejskiego pieniądza miałyby to nawet efekt psychologiczny. – W sytuacji stagnacji krajów strefy euro pojawiłby się 40-milionowy kraj. Można by więc ogłosić, że pogłoski o śmierci wspólnej

waluty są przesadzone – komentuje. – Jeśli jednak nowe zapisy traktatowe UE weszłyby w życie, to nie sposób będzie uniknąć porzucenia krajowego pieniądza – konstatuje ekonomista, odnosząc się do planów reformy Unii.

ZŁOTA HISTORIA

Nie cudem, a konsekwencją i koniunkturą ostatniej dekady udało się zatem zwiększyć zasoby NBP, ale to bogactwo nie jest dane raz na zawsze. Polski los nie lubił długiej prosperity, po okresie dobrobytu siły zewnętrzne skutecznie potrafiły nas ograbić, powtarzając pieśni o polskiej anarchii, lenistwie i bałaganiu. Pieśni nieprawdziwe – wystarczy dać państwu polskiemu mądre rządy, by

Co się staje z krajowymi zasobami złota, gdy dany kraj przyjmuje euro?

Wkład nowo przyjmowanych krajów do Europejskiego Banku Centralnego zależy od kilku czynników, ale po wstępnym przeliczeniu można powiedzieć, że nawet 50 t polskiego złota mogłoby zostać przeksięgowane z NBP do Frankfurtu



mnożyć zasoby materialne w imponującym tempie. Dekada wzro-

stu czasów Prawa i Sprawiedliwości została przerwana w wyniku spektakularnej sekwencji manipulacji, nie bez udziału urzędników z Berlina i Brukseli. Zwijanie państwa ma dotknąć także NBP, więc zapewne i zużyć zgromadzone w skarbcu zapasy.

Polskie złoto zawsze drażniło silnego zachodniego sąsiada, to już wielowiekowa tradycja. Gdy w 1618 r. król Zygmunt III Waza kazał wybić wielką, 350-gramową złotą monetę o studukatowym nominale, była to największa złota moneta na świecie. Zabolalo to ambitnych Habsburgów, więc cesarz Ferdynand mimo kosztów związanych z wojną domową w Rzeszy nakazał wybić większą monetę ze złota, co się udało w 1626 r. Bo jakże to? Jakaś Rzeczpospolita miałaby być bogatsza niż paneuropejski imperator?

Późniejszego niemieckiego imperatora Adolfa H. polskie zasoby złota również drażniły. Spektakularna akcja ich wywiezienia przez Halinę Konopacką i Ignacego Matuszewskiego zasługuje na epicki film fabularny. 80 t polskiego złota transportowano zepsutymi autobusami, jadąc pomniejszymi uliczkami z Warszawy na południowy wschód i o włos nie wpadając w ręce ścigających je Niemców. Konopacka, złota medalistka na igrzyskach olimpijskich w Amsterdamie, a prywatnie żona byłego ministra skarbu, wspominała po latach: „Niemcy ogłaszali w radiu, przez jakie miasta w Polsce przejeżdżaliśmy. Jednak my zawsze byliśmy o jeden postój dalej, tak że nie mogli nas odkryć. I rzeczywiście, Bóg nam dopomógł”. Na konwój polskiego skarbu oko przymknęli Rumuni, naciskani, by skonfiskować złoto. Nasi nadczarnomorscy przyjaciele do dziś wspominają ten epizod jako poświęcenie dla sprawy polskiej.

Być może czeka nas trzecia epicka opowieść o polskim złocie – bezprawny Trybunał Stanu dla człowieka, który wzmocnił polski bank centralny, zlekceważenie Trybunału Konstytucyjnego, protesty w obronie Głapińskiego i polskiego złota, a dalej forsowanie strefy euro, tak potrzebnej do ratowania pozycji Niemiec w Europie.

A później, tak jak zawsze, zagra niczna, pełna poczucia wyższości opowieść o polskiej anarchii, bałaganie i o tym, jak ktoś z zewnątrz musiał przyjść i roztoczyć nad Polską swoją troskliwą opiekę...

Polityka pełzania



DARIUSZ MATUSZAK

Wypowiedź Rafała Trzaskowskiego na sponzorowanym m.in. przez Niemcy tegorocznym Campusie Polska Przyszłości, że są one słabe, a Polska lideruje Unii Europejskiej, wywołała spore poruszenie. Zasluguje na nie, bo była dziwaczna i infantylna, ale może też być zwiastunem nowej ofensywy propagandowej.

WIERNOPODDAŃCZE DEKLARACJE

Kiedy politycy rządzącej obecnie koalicji wypowiadają się o Niemczech, zawsze ma to wymiar groteski czy wiernopoddańczych apeli. Przypomnijmy sobie kilka żenujących chwil. I tak w 2011 r. Radosław Sikorski mówił w Berlinie: „Zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski, który to powie: mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności. [...] Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa. Nie możecie dominować, lecz macie przeprowadzić reformy”. Sikorski myli pojęcia. Niemcy nie przewodziły Europie, nie były liderem, który wytycza kierunki, inspirował. Od 2004 r. są w niej hegemonem, bezwzględnie narzucającym swój dyktat mniejszym państwom. Oddzielna sprawa to żenujące poddaństwo i lizusostwo, którym emanował Sikorski.

W styczniu 2021 r. szef Europejskiej Partii Ludowej Donald Tusk przemawia po niemiecku do delegatów zjazdu CDU-CSU: „Wasza sztuka rządzenia



Trzaskowski ma rację mówiąc, że Niemcy są słabe. Problem w tym, że na obecną ekipę rządzącą w Polsce sił mają aż nadto

była błogosławieństwem nie tylko dla Niemiec, lecz także dla całej Europy. Dla waszych wschodnich sąsiadów, dla krajów bałkańskich i ich marzeniu o Euro-

pie, i dla Ukraińców z ich walką z agresją”. Te słowa padły dokładnie na rok przed wybuchem kolejnej wojny na Ukrainie. Przez Europę przewalały się ściągnięte przez Angelę Merkel hordy imigrantów, uzależnienie od rosyjskich surowców było prawie domknięte, Nord Stream 2 budowano, aż furczało, Kreml zbroił się do napaści na Kijów, a Tusk opowiadał o błogosławionych rządach Niemiec. Trudno o większy poziom samoponiżenia, oglupienia własną propagandą i pokaz intelektualnej niezdolności do analizowania sytuacji politycznej.

Adam Bodnar odbiera nagrodę Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich i płaszczy się, dziękując: „Polska kultura prawna i przemiany po 1989 r. zostały zainspirowane i były wspierane przez niemiecką myśl prawniczą. Na tym opierało się konstruowanie w Polsce nowoczesnego państwa prawa. Ale to powoduje po stronie mentora także szczególną odpowiedzialność. Jak w przypowieści z »Małego Księcia«. Jeśli oswoi się zwierzątko, to nie można go później porzucić”. Aż klei się od oślizgłości. Dla Bodnara jesteśmy jak zwierzątka do tresowania przez Niemców.

Na tym tle widać, jak odmienna, ale równie żenująca była wypowiedź Trzaskowskiego: „W momencie, kiedy Niemcy są słabe, kiedy nie ma żadnego niemieckiego przywództwa, kiedy nie widać ich w polityce europejskiej, wciąż straszą Berlinem [opozycja – red.]. To Polska rozdaje karty”. Wszyscy, krytykując ją, skupili się na pierwszej części, a przecież istotniejsza była ta druga, dotycząca przywództwa Polski – w domyśle Tuska – w Europie.

CHORE NIEMCY, ZDROWA UNIA

Trzaskowski ma rację. Niemcy są słabe. Kolejne kwartały wchodzenia w recesję gospodarczą, nieustanne problemy społeczne, kłótnie w koalicji, gasnące

poparcia dla niej i przegrywane wybory dały na to dość dowodów. Same Niemcy (za pośrednictwem tamtejszych mediów) przywołują określenie ukute przez cara Mikołaja I o Turcji i mówią o sobie jako o „chorym człowieku Europy”. Podobnie media francuskie, brytyjskie czy amerykańskie wskazują na słabość Scholza, zielone szaleństwo, ucieczkę przemysłu i niezdolność do sprostania zobowiązaniom wobec NATO. Tym, co pozwala Niemcom uniknąć „odpowiedzialności” za taki stan rzeczy, jest fakt, że w podobnej kondycji są też inne duże kraje Unii: Francja, Włochy, Hiszpania, zadłużone na tyle, że zawory bezpieczeństwa ledwie trzymają, huśtające się jak Niemcy na skraju recesji, pogrążone w chaosie nielegalnej imigracji.

Jedynym obszarem, gdzie można mówić o sile Niemiec, jest całkowicie już dysfunkcyjna Unia Europejska. Tam niemiecki lobbying i biurokracja działają perfekcyjnie. Niemcy niepodzielnie panują w Brukseli, czego dowodem jest ponowny wybór na przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen. Wszystko odbyło się gładko, jakby nagradzano ją za pięć lat sukcesów.

I tu dochodzimy do sedna głupiej wypowiedzi Trzaskowskiego: „To Polska rozdaje karty w polityce europejskiej”. Nie wiadomo, jak i kiedy mu się ta myśl uległa. Może wtedy, gdy po wyjrzeniu przez okno stwierdził, że planeta mu się pali. Polska miała szansę być karcianym macherem przy brukselskim stoliku, ale obecna ekipa rządząca całkowicie ją zmarnowała. Doganiamy Zachód – zadłużenie puchnie, przemysł zwija się z powodu cen energii, inwestycje są wstrzymywane, a za chwilę będziemy mieli takie ubogacenie multi-kulti, że po godz. 22.00 w dużych miastach kobiety będą się bały same chodzić po ulicach. Doczekamy się, będzie jak w Paryżu, Barcelonie i Berlinie. Pakt imigracyjny o przymusowym przesiedlaniu ludzi nie zaczął działać, a Niemcy już podrzucają nam imigrantów, jakbyśmy byli składowiskiem „ludzkich odpadów”. To określenie jest tylko parafrazą zwrotu używanego przez wielbionego w Niem-

czech Marksa, który pisał o niektórych narodach jako „odpadach rasowych” nienadających się do zaprowadzania postępu i socjalizmu.

„BYLETRWANIE”

Nie ma śladu samodzielnej aktywności Polski w UE. Mogliśmy zawetować pakt imigracyjny o recydingu ludzi. Mogliśmy oświadczyć, że nie zgodzimy się na zmianę europejskich traktatów. Nadal możemy zablokować podrzucanie nam imigrantów przez niemieckich grenztzuschützów i policmajstów. Nie przedstawiamy żadnych inicjatyw międzynarodowych, a te, które zgłaszał prezydent Andrzej Duda, zostały zlekceważone. Bo nie tak się robi politykę

W przypadku obecnego rządu mamy do czynienia z polityką zagraniczną pelzania. Jak za pierwszego Tuska stajemy się krajem pozbawionym ambicji międzynarodowej

zagraniczną – wyśmiewali się rasowi Europejczycy. Jak się robi zaprezentował Radosław Sikorski np. w rozmowie z „Financial Times”, który w artykule „Polska i Niemcy: spór w sercu Europy” komentował wypowiedź ówczesnego ambasadora Niemiec w Polsce Thomasa Baggera, mówiącego, że Polska nie chce być traktowana przez Berlin jak małe państwo.

Tekst zaczynał się jak opowieść z frontu w dzikiej krainie: „Na smagany wiatrem polu we wschodniej Polsce kontyngent żołnierzy niemieckich od stycznia obsługuje systemy obrony przeciwrakietowej Patriot”. Czują to państwo? Krańce świata, odludne bezkresy, rubieże, gdzie kończy się cywilizacja, a nawet normalna pogoda, a tam gdzieś niemiecka reduta strzegąca Zachodu i jego demokracji.

Sikorski zadziornie i z godnością odpowiedział Baggerowi, że Polska musi naprawić swe relacje z Berlinem i Brukselą, bo „jeśli tego nie zrobi, to o połowę mniejsza od nas Rumunia może nawet zająć miejsce Polski, bo nie wszczyna niepotrzebnych walk”. W polityce europejskiej trzeba być krajem cichego i pokornego serca, a wtedy Bruksela pożyczycie pieniądze z KPO, pochwalą publicznie, a Berlin da medal.

Używa się czasami pojęć „pelzająca wojna” czy „rewolucja”. W przypadku obecnego rządu mamy do czynienia z polityką zagraniczną pelzania. Jak za pierwszego Tuska stajemy się krajem pozbawionym ambicji międzynarodowej, krajem wewnętrznego „byletrwania”, w którym obywatele są szczęśliwi, że leci im woda z kranu. „Ciepła woda w kranie”, o której mówił Tusk, wyznaczała szczyt możliwości i ambicji. Dla Niemiec Polska miała być zorganizowanym pod dostawę krajem pełniącym rolę magazynu, zaplecza sklepu, gdzie wyładowuje się towar, upycha puste pudła. I rezerwuarnię siły roboczej, montownia i zleceniobiorca prostych prac. Tyle jest z opowieści Trzaskowskiego o rozdawaniu kart w Europie.

Ta gadanina wcale nie była przypadkowa i dziwi się prof. Żurawskiemu vel Grajewskiemu, że on się dziwi, iż Trzaskowski to powiedział. „Jestem zdziwiony, że aż takie głupoty teraz wypowiada. To nie ma żadnego sensu merytorycznego ani politycznego. Niektórzy politycy kłamią w jakimś celu, po to, aby osiągnąć zysk polityczny. Tu taki zysk trudno dostrzec” – komentował Żurawski vel Grajewski.

A przecież to nowe otwarcie propagandowe. Nie mamy nic do zaferowania, to puszczy się i pompujemy Tuska, aż stanie się najbardziej nadmuchiwaną figurą w UE. Polacy będą zachwyceni człowiekiem, którego w Unii nikt nie ogra. Nie ma inwestycji, ale są za to nagrody i order w Niemczech, uśmiechy na fociach z Brukseli, uściski i klepanie po plecach. Tak się robi politykę. Bez znaczenia, jak słabe są Niemcy. Na pelzającą, rządzącą Polską ekipę sił im starczy. Nawet nie muszą się wysilać.



STANISŁAW JANECKI

Kłątwa przegranego

Jeśli kandydaci przegrani w wyborach prezydenckich w Polsce startowali po raz kolejny, nigdy nie weszli nawet do drugiej tury. Warto o tym pamiętać

Niezależnie od tego, czy w wyborach prezydenckich w 2025 r. wystartuje Rafał Trzaskowski, czy Donald Tusk, może ich dotknąć ta kłątwa. W III RP nie zdarzyło się, by przegrany w takich wyborach, a było ich już siedem, wygrał je w następnych latach, a nawet żaden z nich nie wszedł później do drugiej tury. Warto o tym pamiętać, gdyż Donald Tusk przegrał wybory prezydenckie w 2005 r., zaś Rafał Trzaskowski w 2020 r.

Wprawdzie nie jest to kategoria politycznej analizy, ale można mówić o czymś w rodzaju prezydenckiej kławy przegranego. Niezależnie od tego, ile razy ktoś startował do umownego Belwederu, wcześniejsze wybory nic mu nie dawały, nie były żadnym kapitałem. A o kapitale (czasem o „depozycie”) 10 mln głosów Rafała Trzaskowskiego mówi się od momentu ogłoszenia wyników wyborów w 2020 r. Ten kapitał („depozyt”) ma być wielkim atutem, jeśli to ten polityk zostanie wystawiony przez Koalicję Obywatelską jako jej prezydencki kandydat. Tyle tylko, że w III RP głosy z poprzednich wyborów nigdy nie funkcjonowały jako kapitał w kolejnych. To mit, którego nic nie potwierdza. To

perswazyjny czynnik wyborczej propagandy sugerujący, że poparcie w wyborach się kumuluje. Nic się nie kumuluje, i to niezależnie od tego, jak dobry czy zły wynik kandydat uzyskał w którychś z poprzednich wyborów.

Prezydencka kłątwa przegranego najczęściej dotykała Janusza Korwin-Mikkego, który przegrywał sześć razy (startował we wszystkich wyborach poza tymi w 2020 r.), zawsze w pierwszej turze. Cztery razy w pierwszej turze przegrywał Andrzej Lepper, po trzy razy Kornel Morawiecki, Bolesław Tejkowski i Leszek Bubel. Dwa razy Jan Olszewski, Włodzimierz Cimoszewicz, Jarosław Kalinowski, Andrzej Olechowski i Stanisław Tymiński. Ci ostatni po drugiej próbie przestali mieć złudzenia, że przegrany może cokolwiek w Polsce wygrać, jeśli startuje po raz kolejny. Także ten kandydat, który w swoich pierwszych wyborach dostał się do drugiej tury, w jednych z następnych nawet nie pokonał tej bariery – jak Stanisław Tymiński, który startował w 1990 r. i 2005 r. Andrzej Olechowski był wprawdzie drugi w wyborach w 2000 r., ale zostały one rozstrzygnięte już w pierwszej turze (wygrał urzędujący prezydent Aleksander Kwaśniewski), więc w 2010 r. kandydował jako przegrany, i to już w pierwszej turze.

Kłątwa przegranego dotknęła nawet Lecha Wałęsę, który wprawdzie wygrał wybory prezydenckie w 1990 r., ale przegrał w 1995 r. i z pozycji przegranego wystartował w 2000 r., uzyskując kompromitujący wynik 1,01 proc. głosów (był zaledwie siódmy na dwunastu kandydatów).

WUNDERKIND NIE WYGRYWA

Wbrew temu, co Donald Tusk opowiada o Rafale Trzaskowskim jako o wygranym w wyborach prezydenckich w 2020 r., on tę konfrontację przegrał i nie jest ważne, że tylko o nieco ponad 400 tys. głosów, samemu uzyskując trochę ponad 10 mln głosów. Przegrany to przegrany. Teoretycznie Tusk powinien być w lepszej sytuacji niż Trzaskowski, gdyż w 2005 r. wygrał pierwszą turę wyborów. Otrzymał wtedy 36,33 proc. głosów (5,43 mln), podczas gdy Lech Kaczyński 33,10 proc. (4,95 mln), co oznacza różnicę ok. 487 tys. głosów na korzyść obecnego premiera. Rafał Trzaskowski w 2020 r. przegrał już pierwszą turę – 30,46 proc. głosów (5,92 mln) z Andrzejem Dudą – 43,5 proc. głosów (8,45 mln), a różnica na jego niekorzyść wyniosła aż 2,53 mln głosów. Wracając do Donalda Tuska – w finale przegrał różnicą aż 1,24 mln głosów, podczas gdy Trzaskowski różnicą tylko 422,4 tys. głosów.

Dla Tuska porażka jest większą traumą i stanowi większy kompleks niż dla Trzaskowskiego, choć przewodniczący PO raz wygrał, a raz przegrał, prezydent Warszawy przegrał zaś dwukrotnie. Ale Trzaskowski został wykreowany na Wunderkind, który zawsze wygrywa, więc dwie porażki były miazdzące dla jego wizerunku, nawet gdy potem wygrywał w wyborach na wódcę stolicy, bo była to jednak tylko nagroda pocieszenia. O przeżywaną przez niego traumę świadczy to, że on sam nigdy nie twierdził, iż wygrał wybory

w 2020 r. Mówili tak ci (z Donaldem Tuskiem na czele), którzy prezydenta Warszawy chcieli pocieszyć, przekonać, że nie istnieje dla niego szklany sufit.

Wszystko wskazuje na to, że Polacy w większości (przynajmniej tej uczestniczącej w konkretnych wyborach prezydenckich) uznają, iż niewybieralny jest ten kandydat, który przegrał już choćby raz i nie głosują na niego w dostatecznej liczbie, żeby przeszedł do drugiej tury. Z istnienia piętna przegranego w wyborach prezydenckich, a faktycznie czegoś w rodzaju szklanego sufitu dla takiego kandydata, zdawał sobie sprawę Donald Tusk, który bał się wystartować w 2020 r. W 2010 r. nie mógł, gdyż uprzedził go Bronisław Komorowski, zgłaszając się samemu. I nie mogąc wiele na to poradzić, Tusk urządził partyjne prawybory, w których wystartowali Bronisław Komorowski i Radosław Sikorski. Z kolei w 2015 r. obecny premier ledwie objął funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej, więc jego start był obiektywnie niemożliwy i poza tym był kompletnie nieopłacalny. No i wywołałby ogromne problemy w jego własnym obozie, bowiem albo musiałby wyeliminować urzędującego prezydenta, albo wystartować przeciwko niemu.

Mimo urzędowego optymizmu Donalda Tuska i Rafała Trzaskowskiego wcale nie są oni pewni, czy piętno przegranego nie stanowi w Polsce bariery nie do pokonania także dla nich, mimo że uważają się (i są za takich uznawani) za zwycięzców. Z informacji z samego rdenia Platformy Obywatelskiej wynika, iż Tusk szukał precedensów za granicą i znalazł w Stanach Zjednoczonych, ale ten przypadek wcale nie wzmacnia jego szans na pokonanie kłątwy. W przypadku Tuska raczej nie stanie się tak, jak było z Richardem Nixonem w USA. Przegrał on wybory w 1960 r. (z Johnem F. Kennedym), ale następnie wygrał je dwukrotnie (w 1968 r. i 1972 r.). Tyle że są to historie nieporównywalne, gdyż przegrany Nixon wygrał głównie z powodu wielkiej presji na zakończenie wojny w Wietnamie i poszukiwanie honorowego wycofania się z niej.

PORAŻKA JAK SZPETNY GRYMAS

W świadomości Polaków przegrany, nawet gdy zajął drugie miejsce, nie odniósł jednak sukcesu. To nie jest tak jak ze srebrnym medalem w sporcie (Polacy, mamy medal). Skoro w siedmiu z dotychczasowych wyborów nigdy nie było tak, że przegrany „odgrywał” się w którejś z następnych elekcji, znikome jest prawdopodobieństwo, że zmieni się to akurat w ósmych wyborach prezydenckich. Kompleks przegranego może działać na Trzaskowskiego czy Tuska szczególnie deprymująco, jeśli np. w każdej debacie prezydenckiej będzie on mocno eksponowany przez ich przeciwników, nie tylko przez kandydata PiS, lecz także Konfederacji (Sławomira Mentzena) czy Trzeciej Drogi. Gdyby to był Szymon Hołownia, argument się mocno zdewaluuje, gdyż on również przegrał, i to nie tylko z Andrzejem Dudą, lecz także z Rafałem Trzaskowskim. Ale w wypadku kandydata PiS czy Mentzena wystarczy podkreślać, że Tusk bądź Trzaskowski mieli już swoje szanse i przegrali, czyli Polacy ich odrzucili. A wtedy skala trudności wybrańca Koalicji Obywatelskiej znacząco wzrośnie.

Jest małe prawdopodobieństwo wystawienia jednego kandydata całej koalicji 13 grudnia już w pierwszej turze. Dobrze poprowadzona kampania przeciwników może sprawić, że Tusk bądź Trzaskowski nie znajdą się w sytuacji Richarda Nixona, tylko tych polskich kandydatów, którym nigdy się nie udało. A dotychczas nie udało się żadnemu z przegranych. Oczywiście sami zainteresowani (konkretnie ten z nich, który zostanie wskazany) mogą twierdzić, że tym razem sytuacja jest inna, gdyż gra toczy się o „wszystko”, więc startują z innego poziomu, ale mogą to być tylko pobożne życzenia, skoro porażki w 2005 r. i 2020 r. są niepodważalnym faktem. I odcisnęły solidne piętno na przegranych.

Zarówno Tusk, jak i Trzaskowski bardzo się denerwują, gdy się wyciąga te ich przegrane, nawet kiedy próbują to neutralizować opowieściami o nieuczciwych czy nierównych wyborach. Wbrew pozorom ten argument jest warty bardzo

mało, skoro wyniki wyborów zostały zatwierdzone zarówno przez Państwową Komisję Wyborczą, jak i przez Sąd Najwyższy. Nie zakwestionowała ich żadna poważna organizacja międzynarodowa, zaś sami zwycięzcy korzystali z pełni praw, a nawet nie podnoszono wobec nich zarzutów formułowanych przez stronę przegraną w Polsce.

Jeśli kandydat Prawa i Sprawiedliwości, ktokolwiek nim zostanie, będzie mocno i konsekwentnie wykorzystywał w kampanii w 2025 r. argument o kłątwie przegranego, bardzo trudno będzie z tym walczyć – czy to Trzaskowskiemu, czy Tuskowi. Przegrana obecnego premiera ciągnie się za nim prawie 20 lat i wpływa na różne podejmowane przez niego decyzje wyborcze. Za Trzaskowskim przegrana ciągnie się tylko cztery lata, ale dla niego jest nawet bardziej dotkliwa, bowiem wcześniej niczego nie przegrał, a w 2020 r. – dwukrotnie. Oczywiście Tusk czy Trzaskowski będą to próbowali zneutralizować argumentami o potrzebie ostatecznego zamknięcia rządów Prawa i Sprawiedliwości, a tym byłoby przegranie wyborów przez kandydata tej partii, ale w maju 2025 r. (prawdopodobny termin wyborów) Polacy nie muszą już być entuzjastami takiego zamknięcia. Głównie wskutek serii porażek rządu Donalda Tuska, która pęcznieje z każdym tygodniem rządzenia, a także braku osiągnięć Rafała Trzaskowskiego w Warszawie.

Owszem, Trzaskowski dwukrotnie wygrywał wybory w stolicy, ale to nie to samo. O ile można się spodziewać jego zdecydowanej dominacji w Warszawie, gdy chodzi o rozkład głosów, to nie w całej Polsce, tym bardziej że tam mit Wunderkind jest albo mało rozpowszechniony, albo wcale. Skoro nikt w III RP nie pokonał kłątwy przegranego w wyborach prezydenckich, szansa na to, że za ósmym podejściem się to uda, nie jest duża. I maleje z każdym przypomnieniem o porażkach. Nie zaklei ich żaden sztuczny uśmiech, w czym specjalizuje się Rafał Trzaskowski, a co można było oglądać nawet tam, gdzie powinien się czuć komfortowo, czyli na Campusie Polska Przyszłości. Porażka jest jak szpetny grymas, nad którym nie można zapanować, choćby bardzo ćwiczyć mimikę. A wyborcy to widzą. 

Życzę uczniom jak najmniej pani Nowackiej w szkołach

Polsko-niemiecki podręcznik do historii jest nie tylko absurdem. To zdrada polskich interesów narodowych – mówi **prof. Przemysław Czarnek**, były minister edukacji, poseł PiS, w rozmowie z Dorotą Łosiewicz

I prezes Sądu Najwyższego skierowała do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o stwierdzenie niezgodności z konstytucją rozporządzenia w sprawie organizacji lekcji religii w szkołach. Z MEN słyszymy jednak, że nikt nie będzie się przejmować orzeczeniem TK. Jak pan na to patrzy?

Przemysław Czarnek: PiS także złożyło wniosek do TK w tej sprawie. Dodatkowo zaskarżyliśmy rozporządzenie z 22 marca 2024 r., które wykreśla ocenę z religii ze średniej ocen ucznia. To, że ministrowie zapowiedzieli, iż nie będą przestrzegali prawa, czyli nie będą wypełniali swoich obowiązków, zostanie odnotowane przez parlamentarny zespół „Stop patowładzy”. Wszyscy, którzy będą ignorować przepisy prawa i dokonywać tego typu antykonstytucyjnych akcji, poniosą odpowiedzialność w odpowiednim czasie.

Wróćmy jeszcze do meritum rozporządzenia dotyczącego organizacji lekcji religii. Co będzie oznaczać dla dzieci łączenie różnych grup wiekowych?

Zadajmy sobie pytanie, czy można efektywnie uczyć jednocześnie

czwartoklasistę, piątoklasistę i szóstką matematyki, biologii czy chemii. Nie można, bo dzieci w różnym wieku są na innym etapie edukacyjnym. Tak samo nie da się efektywnie uczyć religii na tej samej lekcji dzieci

w różnych grupach wiekowych. A czy gdyby wykreślić ocenę z matematyki ze średniej ocen, to uczniowie chętnie chodziliby na tę matematykę? Też nie. To jest nic innego jak degradowanie religii. To wreszcie recepta na wyrzucenie jej ze szkoły. Jeżeli dzieci będą łączone w grupy międzyoddziałowe, jeśli w jednej lekcji będą uczestniczyć 10-, 11- i 12-latki, to niemożliwe będzie realizowanie programu nauczania religii. A skoro to nie będzie możliwe i jednocześnie ocena z religii nie będzie wliczana do średniej ocen, to uczniowie, a pod ich wpływem rodzice, będą rezygnowali z lekcji religii, co doprowadzi do pozbycia się lekcji tego przedmiotu ze szkoły w bardzo krótkim czasie. I taki jest prawdziwy cel pani Barbary Nowackiej, która realizuje lewacką agendę komunistyczną.

Ze szkół będzie wycofany przedmiot historia i teraźniejszość (HiT). Od tego roku nie będzie się go uczyła młodzież, która rozpoczyna naukę w szkołach ponadpodstawowych, ale do zakończenia cyklu kształcenia naukę HiT będą kontynuowali uczniowie klas II liceów i klas II, III technikum. W przyszłym roku HiT zostanie zastąpiony edukacją obywatelską. Jak to rozumieć?

To kompletna zdrada interesów Polski. Wcale mnie to zresztą nie dziwi, bo



ani pani Nowacka, ani jej środowisko polityczne nie chce, żeby uczniowie poznawali historię od 1945 r. do 2015 r., bo w dużej mierze do 1989 r. to dzieje środowiska politycznego pani Nowackiej i ich poprzedników politycznych, czyli komunistów, którzy niszczyli Polskę. A żeby młodzi Polacy nie mieli tej świadomości, zlikwidowano historię i teraźniejszość. Podczas Campusu Polska Przyszłości pani Nowacka użyła takiego mniej więcej sformułowania: „Zgadnijcie, kto pisał podręcznik do HiT? To historycy z IPN, a nie nauczyciele”. Przyznam, że to dla mnie pochwała. Pani Nowacka jest całkowicie na innym biegunie. Likwidacja historii i teraźniejszości to likwidacja świadomości młodych Polaków o historii najnowszej, o procesach historycznych, które doprowadziły nasz kraj w to, a nie inne miejsce. Chodzi o to, żeby młodzi Polacy nie wiedzieli, jak bardzo komuniści, czyli poprzednicy środowiska politycznego pani Nowackiej, niszczyli ich kraj. Co więcej, w miejsce historii i teraźniejszości na razie nic nie zostało wprowadzone, więc młodzi Polacy zostaną bez jakiegokolwiek wiedzy na temat dzisiejszych czasów.

Będzie za to „komponent ukraiński” i polsko-niemiecki podręcznik do historii.

Jeśli chodzi o podręcznik polsko-niemiecki, to osobiście zablokowałem tę inicjatywę. Uznaliśmy z prezesem Jarosławem Kaczyńskim i premierem Mateuszem Morawieckim, że jest to niemądry pomysł. Niemcy mają zupełnie inną politykę historyczną polegającą na zaciemnianiu prawdy o II wojnie światowej i wybielaniu ich samych. Ci sami Niemcy, którzy wybielali się przez ostatnich 80 lat, mają teraz pisać podręcznik z Polakami i porównywać bombardowanie Drezna do Auschwitz? To absurd! Poza tym jest to zdrada polskich interesów narodowych. Tej zdrady dopuszczają się panie, które promują dzisiaj ten podręcznik w szkołach. Wprowadzanie „komponentu ukraińskiego” do polskich placówek jest niebywałym skandalem. Polska szkoła jest polską szkołą. Jest gościnną, przyjmie wszystkie ukraińskie dzieci, które chcą się w niej uczyć.

Podkreślam: w polskiej, a nie ukraińskiej szkole finansowanej przez Polaków. Będziemy się temu sprzeciwiać, jak tylko to będzie możliwe. Będziemy się sprzeciwiać wprowadzaniu polsko-ukraińskiej podstawy programowej w polskiej szkole. Każda mniejszość ma prawo do swojej szkoły, tak jak Polacy mają swoje szkoły za granicą, tak samo Ukraińcy mogą mieć swoje szkoły w Polsce. Ale niech to będą ukraińskie szkoły, a nie finansowane z polskiego budżetu. Z polskiego budżetu w pełni finansujemy pobyt ukraińskich dzieci w polskiej szkole, w której obowiązuje polska podstawa programowa. „Komponent ukraiński” to po prostu zdrada.

Szczególnie w kontekście wypowiedzi szefa ukraińskiego MSZ podczas Campusu Polska Przyszłości widać, jak ten komponent mógłby wyglądać. Dmytro Kuleba zrównał akcję „Wisła” z ludobójstwem na Wołyniu.

Jak tak dalej pójdzie, za chwilę się okaże, że to Polacy doprowadzili do II wojny światowej i współpracowali z nazistami przeciwko Niemcom, a rzeź wołyńska była tylko samoobroną Ukraińców przed podłymi polskimi nacjonalistami na ziemiach zabużańskich. To nie tylko niebywały skandal, ale także, i świadomie to powtórzę, zdrada polskich interesów narodowych.

Na dzieci, które 2 września ruszą do szkół, będzie czekała odchudzona podstawa programowa. Dotyczy to 18 przedmiotów. Zdaniem resortu edukacji zakres materiału został ograniczony o ok. 20 proc.

Jeśli chodzi o odchudzenie podstawy programowej, był to także mój projekt. Powołałem nawet zespół, który nad tym pracował. Uważam, że w starszych klasach szkoły podstawowej, czyli szczególnie VII i VIII, oraz w szkołach ponadpodstawowych można zredukować siatkę godzin od dwóch do pięciu tygodniowo, żeby młodzież miała więcej czasu na swoje pasje, hobby czy sport. Patrząc m.in. przez pryzmat zajęć mojego syna i trzeba przyznać, że jest ich bardzo dużo. Redukcja – tak, tylko z głową, nie kosztem rzeczy najważniejszych, także tych dotyczących polskiej historii, kultury czy tożsamości.

Mniej będzie także prac domowych. Rozporządzenie w tej sprawie obowiązuje już od kwietnia. W klasach I–III szkoły podstawowej nauczyciele nie powinni zadawać prac domowych do wykonania przez ucznia w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych. Wyjątek stanowią prace dotyczące usprawniania motoryki małej. W klasach IV–VIII szkoły podstawowej uczniowie nie mają obowiązku wykonywania prac domowych zadawanych w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych. Wykonanie lub niewykonanie pracy domowej nie może być oceniane. Co to znaczy dla dzieci?

To jest nieprawdopodobnie niemądry pomysł. Po pierwsze, ogranicza nauczycielom swobodę doboru metod dydaktycznych. Po drugie, dzięki temu zostajemy przy prawach ucznia bez jakichkolwiek obowiązków, a do nich należało przecież odrabianie prac domowych, które były oceniane. Uczeń miał w domu zajęcie, to odciągało go od komórki i gier komputerowych. Był określony rytm dnia, który także służył utrwaleniu materiału. Oczywiście niektórzy przesadzali z pracami domowymi, a dzieci musiały siedzieć nad nimi z rodzicami nieraz do późnych godzin. To też nie był dobry kierunek. Ale po to są rady pedagogiczne, po to jest dyrekcja szkoły, po to jest rada rodziców, by w takich sytuacjach interweniować. A faktyczna likwidacja prac domowych i zakaz ich oceniania to pomysł, który ostatecznie zaszkodzi młodym ludziom. Warto, by rodzice rozmawiali z nauczycielami, by te prace domowe były w jakiejś formie. Wiem, że w wielu szkołach nie stosuje się tego rozporządzenia, uznając je po prostu za niemądre.

Czego pan życzy dzieciom i nauczycielom na nowy rok szkolny 2024/2025?

Życzę jak najmniej pani Nowackiej w szkołach, jak najmniejszego posłuszeństwa i jak największego oporu przeciw absurdalnym pomysłom szefowej MEN, w tym dotyczącym prac domowych. Życzę wytrwałości zarówno nauczycielom, jak i rodzicom, a uczniom przypominam słowa św. Jana Pawła II: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali”. To jest warunek rozwoju ucznia i gwarancja jego dobrej przyszłości. 

Uśmiercana wolność

Wolność w jej mateczniku – Europie jest uśmiercana. Pojawiają się nieznane dotąd przestępstwa, a stojący do tej pory na straży wolności liberalizm ujawnił swe groźne lewicowe przeciwieństwo. Chce budowy jednomyślnego i kolektywnego społeczeństwa ludzi obcych i wykorzenionych



MACIEJ WALASZCZYK

Kilka dni temu w Wielkiej Brytanii 18-letni James Martin został skazany na 26 miesięcy więzienia za incydent, który miał miejsce pod centrum islamskim w Scarborough. Przestępstwo polegało na tym, że stał i machał brytyjską flagą, wznosząc wulgarne okrzyki. Robił to w czasie, gdy Anglię ogarnęły zamieszki, których zarzewiem było zamordowanie trzech dziewczynek przez nastolatka pochodzenia imigranckiego.

W czerwcu podczas dyskoteki na niemieckiej wyspie Sylt grupa młodzieży na melodię popularnej piosenki „L’amour toujours” Gigiego D’Agostino wykrzykuje: „Deutschland den Deutschen, Ausländer raus”. Filmik trafia do sieci i zdobywa gigantyczną popularność. Rządząca lewica natychmiast wyraża swoje zaniepokojenie, wypowiadają się na jej temat kanclerz, prezydent i wychulona na „prawicowy ekstremizm” szefowa spraw wewnętrznych Nancy Faeser. Policja interesuje się nawet osobami powielającymi film w sieci.

To jest dokładnie ten moment, gdy rządząca europejskimi demokracjami oligarchia boi się społecznego buntu i zorganizowanego oporu. Dlatego forsuje zmiany, które wprowadzają nowe rodzaje przestępstw, a zwykli ludzie staną się przestępcami, nawet o tym nie wiedząc – jak

w marksistowskiej teorii o świadomości klasowej. W tym samym czasie pamięć o systemie komunistycznym, tajnych policjach, więzieniach, cenzurze i dysydentach przybiera – jak w przypadku Wałęsy – formę parodystyczną albo zanika. Tym bardziej że w większości krajów europejskich istniała zafascynowana komunizmem wpływowa lewica, a współistniejąca z nią liberalna prawica ulegała jej ideologicznej presji.

Na początku br. Parlament Europejski zgodnie wezwał rządy krajów UE do natychmiastowego dodania „mowy nienawiści i przestępstw z nienawiści” do listy przestępstw o wymiarze transgranicznym. W praktyce służą lub będą służyły za narzędzie ograniczania podstawowych praw i wolności.

„TOTALITARYZM BEZ GUŁAGU”

Jak mawiał Hegel, wolność jako najwyższe dobro jest pojęciem nieskończenie wieloznacznym. Ale przecież wiemy i czujemy, co ona oznacza. Jej europejskie pojęcie powstało ze stopienia się dwóch potężnych sił duchowych – zdefiniowanego w greckiej polis stanu bycia właścicielem samego siebie oraz zrodzonej z chrześcijańskiej metafizyki

zdolności do dokonywania odpowiedzialnych wyborów – przed innymi i przed boskim sędzią. Tak rozumiana wolność jest siłą napędową zachodniej cywilizacji, centralną wartością polityczną i zarazem jedną z najbardziej dziś zagrożonych. Wydaje się, że wciąż definiuje współczesną politykę, że jest główną stawką w prowadzonych debatach. Ale to tylko pozory. W Europie w ciągu ostatnich dekad demokracja nabrała cech postdemokratycznych, a liberalizm z obrońcy jednostki przed państwem i kolektywistycznym społeczeństwem przeobraził się w groźne narzędzie narzucania ogółowi zupełnie abstrakcyjnych norm społecznych. Zamienił się w miękki totali-

taryzm, bo takie jego rozumienie leży u podstaw inżynierii społecznej, którą aplikują nam rządzący.

Dlaczego tak się stało? Filozofowie polityki zwracają uwagę na podobieństwo między liberalnym a marksistowskim



Fot. Shutterstock

rozumieniem historii jako ciągiem nieustannej klasowej rywalizacji. Ich innym wspólnym celem jest dążenie do zrównania ludzkości we wszystkim, co w konsekwencji prowadzi do nieustannej przebudowy społeczeństwa i jego faktycznego ujednolicenia. I tak spory światopoglądowe są coraz mniej możliwe, wyklucza się możliwość sprzeciwu, szczyt dominacji nad człowiekiem osiąga się wtedy, gdy on sam zabrania sobie myśleć inaczej, a jego wolność zostaje zredukowana do wyborów konsumpcyjnych. Taki właśnie jest światowy porządek gospodarczy oparty na ludzkiej mobilności, elastyczności, otwieraniu granic i globalnej wędrówce nomadów, a celem do niego – samorealizacja oraz krytyka tradycyjnych norm społecznych i wspólnotowych lojalności. Ten, którego interesów strzegą właściciele świata obradujący w Davos. By mógł funkcjonować, konieczna jest

więc likwidacja odrębnych i odmiennych ludzkich kultur oraz wspólnot narodowych. Zlikwidować wszelkie nierówności można bowiem tylko poprzez perswazję, tresurę i sankcje.

Spotęgowanie sił zagrażających autonomii i wolności jednostki widzimy przede wszystkim w Unii Europejskiej. Od lat 90. XX w. konsekwentnie przeobraża się ona w federalne i centralistyczne państwo. Wraz z tym pogłębia się władza reglamentującej wolność biurokracji, unifikatorów i planistów. Hannah Arendt przestrzegała kiedyś przed władzą „anonimowych biur i komputerów”, których całkowicie zdepersonalizowana dominacja może być dla wolności bardziej niebezpieczna niż „najbardziej oburzająca samowola przeszłych tyranii”. Dziś dla wolnego społeczeństwa i narodów UE jest właśnie takim zagrożeniem. Mathieu Bock-Côté zdefiniował go jako „totalitaryzm bez GULagu”, a więc system łączący logikę totalitarną ze społeczeństwem zachowującym formę liberalnej demokracji. Niestety pod pozorem walki z „mową nienawiści”

dyskretnie przeobraża się ono od pluralizmu do kolektywizmu. Cechuje je coraz węższe spektrum dozwolonych opinii i zachowań, a tworzące go jednostki świetnie dostosowują się do wszelkich form konformizmu.

ORWELL NA ZIELONEJ WYSPIE

Śpiewana w Polsce przez zwolenników obecnej władzy piosenka „Kocham wolność” to przecież nic nieznaczący gadżet, a nienawiść do przeciwnika i jego dehumanizacja jest jednym z głównych motywów ich politycznych wyborów. Pokazywały to badania socjologiczne. Rządowi Tuska i jego lewicowym stronom nie przeszkadza to oczywiście w złożeniu projektu nowelizacji Kodeksu karnego, rozbudowującej katalog „przestępstw z nienawiści”. Także u nas ma on objąć tzw. tożsamość płciową czy orientację seksualną.

Wzorcowa i najbardziej restrykcyjna w założeniach ustawa wprowadzająca penalizację tzw. przestępstw z nienawiści od dwóch lat jest procedowana w irlandzkim parlamencie. Stoi za nią tamtejsza minister sprawiedliwości Helen McEntee. Ustawa zakłada m.in. wprowadzenie nowych typów przestępstw, np. „posiadania materiałów mogących podżegać do przemocy”, które umożliwiłyby pociąganie do odpowiedzialności za „przestępstwo z nie-

nawiści”, nawet jeśli nie było popełnione z rozmysłem. Konsekwencją tego jest rozszerzenie uprawnień policji do ich ścigania oraz zaostrzenie kar dla potencjalnych sprawców. Można się nim stać poprzez



podleganie do przemocy lub nienawiści wobec osób ze względu na ich „cechy chronione”, które obejmują m.in. kwestie rasowe i etniczne, orientację seksualną i, co jest nowością, „pleć społeczno-kulturową”. Nie tylko „pleć preferowaną”, lecz także taką, z którą dana osoba się identyfikuje i która może być inna niż męska albo żeńska. Tych czynów będzie się można dopuścić przez swoje zachowanie, wyrażanie poglądów lub ich kolportowanie. Sądy będą skazywać za ich popełnienie także w trybie uproszczonym. Ostatnim punktem oporu nieoczekiwanie okazał się irlandzki senat, gdzie rozgorzała debata na temat otwartej kolizji proponowanych zmian ze swobodami obywatelskimi. Tak jest wszędzie tam, gdzie wcześniej gwarantowano staroświeckie, liberalne wolności polityczne.

CZERWONO-TĘCZOWA DYKTATURA

Także w Wielkiej Brytanii nowy lewicowy premier Keir Starmer zamierza wykorzystać zamieszki, które stały się faktyczną konfrontacją z mniejszością muzułmańską, jako pretekst do ograniczenia prawa do wolności słowa. Dla tysięcy ludzi oznacza to, że wpadną w prawne tarapaty za mówienie rzeczy, które obecnie są całkowicie legalne. Planowane jest uchwalenie angielskiej wersji obowiązującej na razie tylko w Szkocji ustawy o przestępstwach z nienawiści. Tu także zapowiada się wprowadzenie kategorii „osoby chronionej” i nowych rodzajów przestępstw. Projekt zawiera propozycję kryminalizacji m.in. „islamofobii”, a za nieodpowiednie zachowywanie się, wypowiedzi i ich treść, które „rozsądna osoba” mogłaby uznać za „groźne lub obraźliwe”, będzie można zostać skazanym na karę do siedmiu lat więzienia. Choć tylko w przypadku celowego „wniesienia nienawiści” wobec „grupy chronionej”. Jednocześnie tuż po przejęciu władzy wiceminister edukacji Bridget Phillipson wstrzymała wejście w życie ustawy o wolności słowa w szkolnictwie wyższym.

W ostatniej kadencji parlamentu projekt pod nazwą Freedom of Speech Act uzyskał ponadpartyjne poparcie i miał na celu jej ochronę i egzekwowanie na

uniwersytetach. Poczucie poważnych ograniczeń i szykan rośnie, a tysiące z nich zostało wywołanych zmuszaniem studentów i wykładowców do używania „preferowanych zaimków płciowych”. Ale dotyka to również prowadzonych przez nich badań naukowych, zbierania i analizowania danych statystycznych. Problemem okazało się też korzystanie z grantów naukowych fundowanych przez chiński rząd, który zdaniem organizacji Free Speech Union pośrednio wymusił na University College London nałożenie na jednej z wykładowczyń zakazu prowadzenia zajęć, bo do

Szczyt dominacji nad człowiekiem osiąga się wtedy, gdy on sam zabrania sobie myśleć inaczej, a jego wolność zostaje zredukowana do wyborów konsumpcyjnych

zilustrowania wątku o współczesnym niewolnictwie posłużyła się chińskim przykładem. Jak się okazało, donos na nią złożył jeden z chińskich studentów.

Równolegle prowadzone są prace nad zakazem tzw. praktyk konwersyjnych, czasami nazywanych „terapią naprawczą” lub „terapią leczenia homoseksualizmu”. W praktyce oznaczały one profesjonalną próbę wydobycia kogoś z praktykowanego homoseksualizmu lub identyfikowania się z płcią inną niż ta, z którą się urodził. Może ona obejmować rozmowę z psychiatrą, a nawet modlitwę. Pod naciskiem lobby LGBT+ socjaliści chcą jej zakazać, co natychmiast zostało odebrane jako nakaz podejmowania „wyłącznie afirmatywnego podejścia” do deklaracji zmiany płci. W praktyce nowe przepisy będą umożliwiały karanie rodziców, lekarzy i nauczycieli sprzeciwiających się tzw. ideologii płciowej.

Rząd Partii Pracy zapowiedział też uchwalenie ustawy o równości rasowej, która zgodnie z wytycznymi „krytycz-

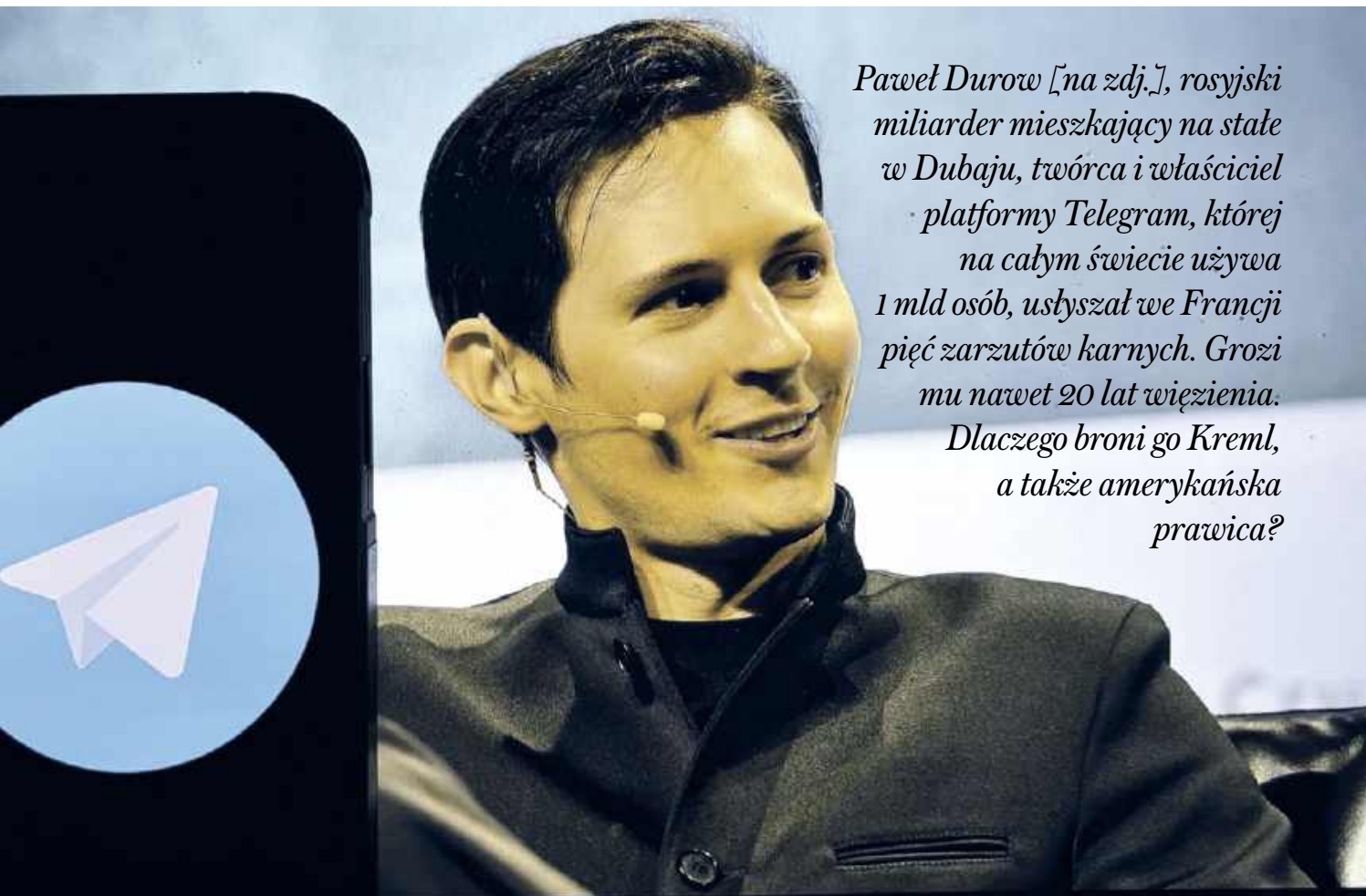
nej teorii rasy” ma rozszerzyć prawo do równego wynagrodzenia na pracowników należących do mniejszości etnicznych i osoby z niepełnosprawnościami.

SZEPTANA PROPAGANDA

Prawdopodobnie do końca roku we Francji zostanie uchwalona ustawa mająca na celu „wzmocnienie reakcji karnej na przestępstwa o charakterze rasistowskim, antysemickim lub dyskryminującym”. Pojawiła się jako odpowiedź na liczne akty antysemickie, które nasiliły się w związku z zaostrzeniem się konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

Mówiąc wprost – miliony muzułmanów sprowadzonych nad Sekwanę nienawidzą Żydów i dają temu wyraz. Chodzi o penalizację komentarzy o „charakterze dyskryminacyjnym” wypowiedzianych publicznie oraz – to nowość – na osobności. Ustawa przewiduje grzywny sięgające kilku tysięcy euro, konfiskatę komputerów i smartfonów, a nawet więzienie. Okazuje się bowiem, że we francuskich sądach karnych dokonuje się potrójnego rozróżnienia pomiędzy komentarzami niepublicznymi i publicznymi oraz poufnymi. Publiczne dotyczą tego, co publikują media, niepubliczne to wypowiedzi do zamkniętego grona, np. w grupach utworzonych w komunikatorach WhatsApp, i dotyczą one firm czy partii politycznych. Ale poufne to wyłącznie rozmowy prywatne prowadzone nawet między dwoma osobami. Ktoś więc, jak w idealnej totalitarnej utopii, będzie musiał na kogoś donieść.

Hobbes definiował wolność negatywnie, jako brak zewnętrznych przeszkód. Ale istnieje też wolność polityczna rozumiana pozytywnie – jako brak przymusu i możliwość wyborów niekępowanych przez władzę. Oligarchia rządząca Europą konsekwentnie ją ogranicza, a tę pierwszą już dawno zamieniła w jej własną karykaturę. Dlatego w pewnym momencie każdy z nas będzie musiał przejść podstawowy test wolności – tzn. powiedzieć „nie” szykanom prawnym, a przede wszystkim sprzeciwić się własnemu lękowi przed utratą pracy czy konsekwencjami karnymi i więzieniem. Taka jest prawdziwa wolność. 



Paweł Durow [na zdj.], rosyjski miliarder mieszkający na stałe w Dubaju, twórca i właściciel platformy Telegram, której na całym świecie używa 1 mld osób, usłyszał we Francji pięć zarzutów karnych. Grozi mu nawet 20 lat więzienia. Dlaczego broni go Kreml, a także amerykańska prawica?

Dziwny przypadek Pawła Durowa

Zarzuty, które usłyszał rosyjski przedsiębiorca, są związane głównie z polityką jego firmy, która programowo nie ingeruje w treści przekazywane za pośrednictwem szyfrowanego komunikatora i publikowane w kanałach znajdujących się na tej platformie. W ubiegłorocznym wywiadzie dla Tuckera Carlsona Durow



MAREK BUDZISZ

powiedział, że do uruchomienia szyfrowanego serwisu skłoniła go polityka rosyjskich władz, które nie przebieając w środkach, dążyły do uzyskania kontroli nad jego wcześniejszym „dzieckiem”, czyli popularnym w Rosji serwisem społecznościowym vKontakcie. Rosyjski przedsiębiorca, powołując się na wolność wypowiedzi i komunikacji,

od lat odrzucał wnioski europejskich służb o udostępnienie informacji na temat użytkowników Telegramu.

Francuska prokuratura, która postawiła Durowowi zarzuty, oskarżyła go zarówno o brak współpracy w wielu dochodzeniach dotyczących pornografii dziecięcej, handlu narkotykami czy zagrożeń terrorystycznych, jak i „współudział w przestępstwach”, który polega na udostępnieniu gangsterom i terrorystom szyfrowanej, więc bezpiecznej dla nich platformy komunikacyjnej.

Po czterech dniach przesłuchań rosyjski miliarder został wypuszczony z aresztu, ale nie może wyjechać z Francji, musi się dwa razy w tygodniu meldować na policji. Ponadto został zobowiązany do wpłaty kaucji w wysokości 5 mln euro, co w jego przypadku jest raczej kieszonkowym, bo majątek Durowa jest szacowany na 14 mld dol., a ta wycena nie obejmuje posiadanych przezeń akcji Telegramu, który jest firmą prywatną przygotowującą się do debiutu giełdowego.

CORAZ WIĘCEJ PYTAŃ

Jednak sprawa Durowa ma wiele wątków innych niż prawne, niezwykle ciekawych i zagadkowych. Politycznych, wojskowych, a nawet wywiadowczych i budzi coraz więcej pytań.

Pierwszym z nich jest to, dlaczego prywatny odrzutowiec Durowa z Azerbejdżanu poleciał na paryskie lotnisko Le Bourget, skoro przedsiębiorca wiedział, że prokuratura wystawiła nakaz aresztowania i zapewne czeka go zatrzymanie. W zachodnich mediach pojawiła się informacja, że przyleciał on najprawdopodobniej po to, aby zjeść kolację z Emmanuelem Macronem, który jest znanym zwolennikiem Telegramu. Kilka lat temu namawiał też Durowa, aby przeniósł do Paryża siedzibę swojej firmy. Portal Politico, powołując się na anonimowych przedstawicieli Pałacu Elizejskiego, napisał, że francuski prezydent nie wiedział, iż Durow zostanie zatrzymany na lotnisku, ale mało kto w to wierzy. Tym bardziej że prokuratura w Paryżu rozpoczęła oficjalne śledztwo przeciw właścicielowi Telegramu w lutym br., a już w marcu został wydany nakaz aresztowania obejmujący

Pawła Durowa oraz jego brata i współpracownika Nikolaja.

Wiele pytań budzi też kwestia kontaktów Durowa z reżimem Putina. Oficjalna wersja kolportowana przez twórcę platformy głosi, że opuścił on Rosję w 2014 r., nie godząc się na rosnącą ingerencję władz. Przed wyjazdem został też zmuszony do sprzedaży swego popularnego portalu społecznościowego vKontakcie. W świetle tej narracji mieszkający w Dubaju przedsiębiorca jest nie tylko obywatelem świata, lecz także obrońcą wolności, który nie chciał poddać się presji Kremla. Na tym wizerunku pojawiły się jednak rysy, kiedy opozycyjny rosyjski portal Ważne Historie ujawnił, wykorzystując dane z bazy FSB, która znalazła się w sieci, że w latach 2014–2022 Durow co najmniej 50 razy odwiedzał Rosję, co świadczy nie tylko o tym, że nie był ścigany i prześladowany w ojczyźnie, lecz także iż miał wiele kontaktów z przedstawicielami władz. Te relacje były szczególnie intensywne po 2018 r., kiedy rosyjski urząd nadzoru telekomunikacyjnego przez dwa lata, nieskutecznie zresztą, próbował zablokować platformę Telegram. W związku z tym komentatorzy zwracają uwagę na dwie sprawy. Po pierwsze, Durow, ponoć zmuszony do sprzedaży Telegramu, mógł bez przeszkód wyjechać z Rosji z kapitałem, jaki dostał za przekazane akcje – a było to ponad 400 mln dol. Po drugie, rosyjscy dziennikarze przypomineli, że w czasie intensywnych wizyt Durowa w Moskwie, kiedy rozmawiał on, o czym dziś wiadomo, z premierem Miszustinem i przedstawicielami jego rządu, odnotowano trudności i przerwy w funkcjonowaniu serwisów Aleksieja Nawalnego, który wykorzystywał w swej działalności politycznej platformę Telegram. Zdaniem niektórych komentatorów zaskakująca decyzja Miszustina o zakończeniu blokowania Telegramu, podjęta po dwóch latach od jej rozpoczęcia, była niekoniecznie związana z brakiem skuteczności, a mogła mieć znacznie więcej wspólnego z nieformalnymi porozumieniami, które wówczas zawarto.

Jak wiadomo, Durow przyleciał do Paryża z Baku, a w tym samym czasie w stolicy Azerbejdżanu przebywał Wła-

dimir Putin. W związku z tą koincydencją w rosyjskich serwisach społecznościowych od razu pojawiła się teoria, że przedsiębiorca najprawdopodobniej spotkał się z prezydentem Federacji albo przynajmniej konsultował się z kimś wysoko postawionym z otoczenia Putina. To by też wyjaśniało, dlaczego rosyjski biznesmen zaraz potem poleciał do Paryża, gdzie miał rozmawiać w cztery oczy z Macronem. Czy pełnił jakąś misję, pośrednicząc w nieoficjalnych kontaktach między Moskwą a Paryżem, podobnie jak wcześniej inny rosyjski oligarcha Roman Abramowicz, zresztą dobry znajomy Durowa, który w pierwszej fazie wojny patronował rokowaniom rosyjsko-ukraińskim?

Tego nie wiemy, ale dla porządku warto odnotować jeszcze dwie teorie mające wyjaśnić, dlaczego Durow poleciał do Paryża i dlaczego został tam aresztowany. Pierwsza głosi, że musiał usłyszeć od ludzi Putina coś takiego, że uznał, iż lepszym wyjściem jest francuski areszt niż powrót do Dubaju. Druga teoria władze raczej nacisk na zaangażowanie władz Azerbejdżanu w organizowanie zamieszek na Nowej Kaledonii, francuskim archipelagu położonym w Polinezji dysponującym jednymi z największych na świecie złóż litu. Kilka miesięcy temu wybuchły tam burzliwe protesty, a wyspy mają kluczowe znaczenie strategiczne. Dlatego ponoć interesują się nimi Chińczycy, z którymi Azerbejdżan utrzymuje żażyłe relacje. Durow miałby odgrywać bliżej nieznaną rolę w tej sprawie, co mogło rozwścieczyć Francuzów.

Inna, jeszcze bardziej karkołomna teoria głosi, że rosyjski przedsiębiorca może być pośrednikiem w tajnych negocjacjach między Pekinem a głównymi stolicami europejskimi, w których uczestniczy też Baku.

ZDOBYĆ KODY, WYGRAĆ WOJNĘ

Rosyjskie media są przekonane, że aresztowanie twórcy Telegramu to misterna akcja francuskich służb specjalnych, w której nie chodzi wcale o Nową Kaledonię czy pośrednictwo między Putinem a Macronem, ale o coś znacznie cenniejszego, czyli przejęcie kodów źródłowych platformy. Ten, kto nimi

dysponuje, jest w stanie odczytywać zaszyfrowane wiadomości, a to może mieć zasadnicze znaczenie dla przebiegu wojny na Ukrainie. Za pośrednictwem platformy komunikują się też przedstawiciele rosyjskiego reżimu i biznes, co oznacza, że może on być kopalnią „kompromatów”, bezcennych w pracy służb wywiadowczych wielu krajów.

Rosjanie piszą też, że Telegram jest powszechnie używany nie tylko przez opozycjonistów i propagandystów reżimu, lecz także przede wszystkim przez wojskowych. Jak napisał portal Meduza, aplikację ma chyba każdy rosyjski żołnierz i jest ona najczęściej stosowanym oraz najbezpieczniejszym kanałem komunikacji na froncie. Za jej pośrednictwem wymieniane są informacje na temat ruchów wojsk, pozycji własnych sił, a nawet dane niezbędne do przeprowadzenia uderzeń rakietowych.

Telegram jest też wielkim narzędziem dystrybucji rosyjskiej propagandy, i to z tego względu Kyryło Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego, wielokrotnie mówił, że funkcjonowanie platformy „stanowi zagrożenie” dla jego kraju. Rosyjskie siły zbrojne są wręcz uzależnione od niej i powiązanego z nią komunikatora. Świadczy o tym choćby to, co stało się wiosną br. Wówczas Duma przegłosowała ustawę wprowadzającą karę dla żołnierzy i oficerów, którzy posługują się „cywilnymi” aplikacjami po to, aby móc się komunikować szybko i bez przeszkód. Ale niedługo potem pod wpływem zarówno krytyki ze strony korespondentów wojennych, jak i głosów z resortu obrony wycofano się z tych zapisów. Dziś Rosjanie nie są bowiem w stanie prowadzić wojny bez Telegramu i zablokowanie tej platformy oznaczałoby pozbawienie ich systemu łączności.

KOLEKCJONER PASZPORTÓW

„Le Monde” zrekonstruował okoliczności uzyskania przez rosyjskiego przedsiębiorcę francuskiego paszportu, bo one też są co najmniej zagadkowe. Stało się to w 2021 r. i, jak napisali dziennikarze,

uruchomiono bardzo rzadko wykorzystywaną procedurę mającą korzenie jeszcze w XVIII w. Sam fakt ubiegania się rosyjskiego przedsiębiorcy o obywatelstwo wzbudza wiele pytań, choćby z tego powodu, że pół roku wcześniej uzyskał on podobny status w Dubaju, gdzie mieszka, a wcześniej posługiwał się paszportem rosyjskim oraz Saint Kitts i Nevis, należącego do brytyjskiej Wspólnoty Narodów raju podatkowego na Karaibach.

Rosyjskie media są przekonane, że aresztowanie twórcy Telegramu to misterna akcja francuskich służb specjalnych. Jej celem było przejęcie kodów źródłowych platformy. Ten, kto nimi dysponuje, jest w stanie odczytywać zaszyfrowane wiadomości, a to może mieć zasadnicze znaczenie dla przebiegu wojny na Ukrainie

Po co był mu czwarty, francuski paszport? To kolejna zagadka, ale wiadomo, że formalnie 39-letni rosyjski przedsiębiorca został uznany we Francji za „emeryta rezydenta”, a procedurę uruchomiła decyzja rządu. Inni piszą o indywidualnym dekrete Emmanuela Macrona, który jako znany miłośnik Telegramu miał nadać Durowi „honorowe obywatelstwo”.

DŁUGA LISTA OBROŃCÓW

W obronie Durowa wystąpili przedstawiciele rosyjskiej Dumy, buńczuczne deklaracje wygłosili też szef MSZ Ławrow i rzecznik Kremla Pieskow, podkreślając, że aresztowanie przedsiębiorcy oznacza zamach na wolność w sieci, a Zachód kieruje się w swej po-

lityce podwójnymi standardami. Te deklaracje, zabawne w przypadku Rosjan, którzy są przecież znani ze swego umiłowania wolności i niewzruszonego szacunku dla swobody wypowiedzi, powtarza się też w Stanach Zjednoczonych. Na wieść o aresztowaniu Durowa Elon Musk zamieścił symboliczny wpis „Liberte, Liberte! Liberte?”, a dziennik „The Wall Street Journal” w redakcyjnym komentarzu przypomniał niedawny list Thierry’ego Bretona, francuskiego eurokomisarza, który domagał się cenzurowania treści na platformie X (d. Twitter).

Amerykańska prawica jest przekonana, że Europa chce przywrócić cenzurę, ograniczając swobodę internetu i dlatego próbuje zastraszyć przedsiębiorców drakońskimi karami, mogącymi w świetle regulacji Unii Europejskiej wynieść nawet 6 proc. światowych przychodów firm prowadzących serwisy społecznościowe. Inną formą zastraszania miałyby być pokazowe aresztowania, tak jak w przypadku Durowa. W tę dyskusję na temat wolności wypowiedzi wpisuje się niedawny list Marka Zuckerberga, który poinformował, że pod presją administracji Bidena w ramach „polityki moderowania” faktycznie wprowadził w czasie pandemii cenzurę treści na platformie Meta, czego ma dziś ponoć bardzo żałować.

Amerykańscy konserwatyści krytykują Europejczyków za próby cenzurowania treści dystrybuowanych w sieci, argumentując, że w gruncie rzeczy wcale nie chodzi o walkę z dziecięcą pornografią czy handlem narkotykami, ale zamknięcie ust przeciwnikom politycznym. Jeśli internetowe serwisy i komunikatory zgodzą się ustąpić żądanom w zakresie „moderowania treści”, to kolejnym krokiem będzie określenie konserwatywnych wypowiedzi mianem „mowy nienawiści” i wykluczenie sporej części użytkowników z globalnej społeczności internetu.

To oczywiście, że dylemat dotyczący bezpieczeństwa i wolności nie zostanie rozwiązany jeszcze długo po tym, jak wszyscy zapomnimy o „dziwnym przypadku” Pawła Durowa.

Patriarchat moskiewski jak Państwo Islamskie

Decyzja o zdelegalizowaniu Cerkwi podporządkowanej Moskwie została poparta przez pozostałe Kościoły na Ukrainie, w tym rzymskokatolicki i greckokatolicki



GRZEGORZ GÓRNY

20 sierpnia Rada Najwyższa Ukrainy przegłosowała ustawę zakazującą działalności wszystkich organizacji religijnych posiadających swe centra kierownicze na terenie państwa-agresora, czyli Rosji. Powyższa decyzja dotyczy przede wszystkim Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego (UCP-PM), która uznaje zwierzchność patriarchy Cyryla. Nie oznacza to, że wspomniana instytucja z dnia na dzień przestanie istnieć. Ma ona dziewięć miesięcy na zerwanie wszelkich relacji z centralą w Moskwie oraz podporządkowanie się Prawosławnej Cerkwi Ukrainy (PCU), która uznaje zwierzchnictwo patriarchatu konstantynopola.

WIELKIE MARZENIE FILARETA

Kiedy w 1991 r. Ukraina ogłaszała niepodległość, w kraju istniała tylko jedna Cerkiew prawosławna, odziedziczona po czasach sowieckich i podporządkowana patriarchatowi w Moskwie: UCP-PM. W kręgach kościelnych i politycznych (skupionych wokół kijowskiego metropolity Filareta oraz ówczesnego prezydenta Leonida Krawczuka) narastało jednak przekonanie, że naród ukraiński powinien mieć swoją własną, narodową, niezależną (autokefaliczną) Cerkiew, tak jak posiadają je inne, nawet mniej liczne



nacje: Grecy, Rumuni, Bułgarzy, Serbowie, Gruzini czy Finowie.

Takie rozwiązanie byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby zgodziła się na to tzw. pełnia prawosławia, czyli jednomyślnie wszystkie Cerkwie autokefaliczne na całym świecie. W przeciwnym przypadku decyzja byłaby niekanoniczna, czyli nielegalna w świetle prawa kościelnego. Oczywiście na taki krok nie godził się patriarchat moskiewski, który sprawował kontrolę nad UCP-PM. Utworzenie ukraińskiej autokefalii miałoby dla niego dodatkowe skutki. Taka niezależna Cerkiew stałaby się pierwszą siłą prawosławia na świecie pod względem liczby parafii i praktykujących wiernych, ponieważ Ukraina była bardziej rozbudzona religijnie niż Rosja.

W 1992 r. z inicjatywy wspomnianego Filareta powołano do życia nową strukturę: Ukraińską Cerkiew Prawosławną Patriarchatu Kijowskiego (UCP-PK). Przyłączyła się do niej część duchownych i świeckich, która odeszła od UCP-PM. Zdecydowana większość zachowała jednak lojalność wobec patriarchatu moskiewskiego. Główną przyczyną był fakt, że nowa wspólnota nie miała statusu kanonicznego, a więc nie była uznawana przez żadną Cerkiew prawosławną na świecie. Z czasem przyłączyli się do niej członkowie działającej głównie na emigracji Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej (UACP), która jednak wbrew swej nazwie nie posiadała autokefalii i także była niekanoniczna.

GŁÓWNA ROLA BARTŁOMIEJA

Patriarchat kijowski, choć nie był oficjalnie uznawany przez świat prawosławny, konsekwentnie się rozwijał, rozbudowując swoje struktury, zdobywając nowych wiernych (zwłaszcza na zachodzie Ukrainy) oraz ciesząc się poparciem proeuropejskich prezydentów: Leonida Krawczuka i Wiktora Juszczenki. Dla odmiany prorosyjscy przywódcy, tacy jak Leonid Kuczma i Wiktor Janukowycz, faworyzowali UCP-PM.

Sytuacja zmieniła się po rewolucji na Majdanie i wybuchu wojny z Rosją w 2014 r. Pod znakiem zapytania stała wówczas kwestia lojalności wobec państwa ukraińskiego instytucji, której centrala znajdowała się w Moskwie. W tej sytuacji nowy prezydent Petro Poroszenko podjął się misji uzyskania autokefalii dla Ukrainy. Udało się w 2018 r., omijając przy tym weto Rosji. Główną rolę w całym przedsięwzięciu odegrał patriarcha Konstantynopola Bartłomiej, który ogłosił, że metropolia kijowska w 1668 r. została podporządkowana Moskwie w sposób bezprawny, dlatego rosyjska Cerkiew nie ma prawa do zwierzchnictwa nad nią.

Powyższa decyzja wywołała zimną wojnę religijną w świecie prawosławnym, który podzielił się na dwa obozy: część uznała wyrwanie się Ukrainy ze strefy wpływów Rosji, inni z kolei (w tym m.in. Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny) opowiedzieli się za utrzymaniem *status quo*. Patriarchat moskiewski zerwał natomiast łączność eucharystyczną oraz wszelkie kontakty z Konstantynopolem, nazywając Bartłomieja schizmatykiem. Tak wyglądała sytuacja, gdy 24 lutego 2022 r. rozpoczęła się pełnoskalowa agresja Rosji na Ukrainę.

„ŚWIĘTA WOJNA” CYRYLA

Od pierwszych dni najazdu rosyjscy biskupi prawosławni z patriarchą Cyrylem na czele aktywnie wsparli militarną akcję Putina, nadając jej sankcję religijną. W ich wypowiedziach brutalny atak imperium na słabszego sąsiada zamienił się w eschatologiczne starcie między Dobrem a Złem, świętą wojnę między chrześcijańską Rosją a satanistycznym

Zachodem. Niektórzy dostojnicy, jak abp Pitirim, głosili wręcz, że każdy rosyjski żołnierz, który zginie na froncie ukraińskim, trafi od razu do nieba jako męczennik za wiarę. Hierarchowie patriarchatu moskiewskiego nie mieli problemu z usprawiedliwianiem zbrodni wojennych i ludobójstwa dokonywanego na bezbronnej ludności cywilnej.

Nic dziwnego, że rosyjska Cerkiew doczekała się krytyki ze strony wielu środowisk prawosławnych na świecie. W marcu 2022 r. grupa 342 teologów podpisała deklarację potępiającą Cyryla i jego otoczenie za herezję etnofiletyzmu, czyli „fundamentalizmu religijnego o charakterze totalitarnym”.

Jeszcze większe oburzenie zapanało jednak na Ukrainie. Powodem były nie tylko słowa moskiewskich dostojników, lecz także zachowanie wielu duchownych UCP-PM na terenach zajętych przez Rosjan. Witali oni najeźdźców z otwartymi rękami i chętnie kolaborowali z władzami okupacyjnymi. Niektóre monasteria działały wręcz jako centra agencji wpływu Rosjan na ziemiach ukraińskich. Głównym takim ośrodkiem była słynna Ławra Peczerska w Kijowie, na czele której stał znany ze swoich wielkoruskich poglądów ihumen Paweł. W kwietniu 2023 r. trafił on do aresztu domowego, zaś klasztorną część Ławry przekazano pod zarządek PCU.

FRANCISZEK KONTRA ŚWIATOSŁAW

To wszystko powodowało, że w przestrzeni publicznej coraz częściej zaczęły pojawiać się głosy domagające się delegalizacji UCP-PM jako organizacji wrogiej wobec państwa ukraińskiego. Kolejne sondaże pokazywały, że pomysł cieszy się poparciem większości mieszkańców. Za projektem opowiedzieli się również przywódcy większości wyznań na Ukrainie. Wyrazicielem ich stanowiska okazała się Ogólnoukraińska Rada Kościołów i Organizacji Religijnych, która w oficjalnym oświadczeniu stwierdziła: „Kategorycznie potępiamy działalność Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, która stała się współsprawcą krwawych zbrodni rosyjskich najeźdźców przeciwko ludzkości, i która

uświęca broń masowego rażenia oraz otwarcie deklaruje potrzebę zniszczenia ukraińskiej państwowości, kultury, tożsamości, a w ostatnim czasie samych Ukraińców”.

Sygnatariusze oświadczenia przypomnieli, że podstawą wszelkich relacji między państwem a wspólnotami religijnymi musi być wolność wyznania, jednak zastrzegli, że takimi prawami nie mogą się cieszyć instytucje wspierające militarną agresję z zewnątrz. „Patriarchat moskiewski usprawiedliwia pogromy i ograniczanie wolności religijnej, tortury oraz morderstwa księży i pastorów oraz cynicznie depcze dekrety Boże i elementarne standardy powszechnej moralności” – stwierdzili podpisani pod dokumentem przywódcy religijni, wśród których znaleźli się także zwierzchnicy Kościołów rzymskokatolickiego i greckokatolickiego na Ukrainie. Przyznali oni, że obecne władze Ukrainy gwarantują wszystkim wyznaniom w kraju wolność religijną i właśnie z tego powodu powinny zakazać działalności UCP-PM, ponieważ „głównym zagrożeniem dla wolności religijnej na Ukrainie jest agresja rosyjska, w wyniku której okupanci zabili kilkudziesięciu duchownych oraz zniszczyli setki kościołów i domów modlitwy”.

Ze zdaniem władz katolickich na Ukrainie wyraźnie kontrastowało stanowisko papieża Franciszka, który skrytykował ustawę delegalizującą UCP-PM. Ujmując się za strukturami patriarchatu moskiewskiego, powiedział, że nie można obalać żadnego Kościoła chrześcijańskiego. Wyraził też niepokój o wolność religijną na Ukrainie.

Jego opinia nie przekonała jednak miejscowych hierarchów. Abp Swiatosław Szewczuk, zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, oświadczył, że nowe prawo nie ma charakteru antykościelnego, a władza musi bronić obywateli przed militaryzacją religii, czyli używaniem wiary jako „bronii neurotropowej”. Jego zdaniem, analogicznie postępują władze krajów zachodnich, które zabraniają działalności skrajnie ekstremistycznych grup religijnych, np. Państwa Islamskiego (ISIS). Podobnie myśli większość katolików na Ukrainie.

Aresztowany 26-letni Syryjczyk, który na festynie w niemieckim Solingen zabił trzy osoby i ranił osiem. Według śledczych nożownik był członkiem terrorystycznej organizacji Państwo Islamskie

Nóż

jako zwiastun upadku cywilizacyjnego

Europa Zachodnia przeżywa prawdziwą plagę ataków nożowników. Rządy w Londynie, Wiedniu i Berlinie chcą im przeciwdziałać, wprowadzając zakaz określonych typów noży. Zdaniem krytyków nie zmieni to jednak archaicznych postaw sprawców, którzy po prostu przerzucą się na inne sposoby zabijania



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Kiedy otworzyłem drzwi, on tam stał. Miał na sobie bluzę z kapturem. Większa część jego twarzy była zakryta. Patrzyliśmy na siebie, a on wyglądał dość groźnie. Opisałem go na komisariacie jako przyzajonego tygrysa. Od razu wiedziałem, że nie powinno go tu być, niewłaściwy

gość w niewłaściwym miejscu, a potem mnie zaatakował” – tak swoje spotkanie z nożownikiem w brytyjskim Southport opisał Jonathan Hayes, którego biuro znajduje się w tym samym budynku, w którym tego dnia, 29 lipca br., dzieci uczyły się tańca do muzyki Taylor Swift. Przyczajonym tygrysem, który

je zaatakował, okazał się 17-letni Axel Rudakubana pochodzący z Rwandy. W konsekwencji zmarły trzy dziewczynki, a dziewięcioro dzieci i jedna osoba dorosła zostały ranne. Brutalne morderstwa doprowadziły do protestów, które rozlały się na całą Wielką Brytanię, i rzuciły duży cień na początek kadencji nowego rządu laburzystów pod wodzą Keira Starmera.

KRYZYS SPOŁECZNY

Ataki nożowników to prawdziwa plaga w Wielkiej Brytanii. W ub.r. doszło do ponad 48,7 tys. incydentów z użyciem noża, czyli o 5 proc. więcej niż rok wcześniej. Liczba napaści rabunkowych przy użyciu tego narzędzia rośnie od dekady. W latach 2013–2014 tego typu incydentów było prawie o połowę mniej – ponad 26,6 tys. Te dane obejmują przestępstwa z użyciem noża związane z groźbami, napadami, rabunkami, napaściami na tle seksualnym i zabójstwami, których liczba do czasu wybuchu pandemii COVID-19 rosła średnio o 6–7 proc. rocznie. A sprawcy są coraz młodszy.

W listopadzie 2023 r. dwóch 12-latków w Wolverhampton zabiło za pomocą maczety 19-letniego Shawna Seesahaia, który usiłował przed nimi uciec, ale potknął się i upadł. Następnie spokojnie poszli do domu grać w gry komputerowe. O tym, że zamordowali swoją ofiarę, dowiedzieli się od policji. Jeden z nich oświadczył, że „ma to gdzieś”. Wolverhampton leży w hrabstwie West Midlands, które ma najwyższy wskaźnik przestępstw z użyciem noża w Anglii i Walii. W 2023 r. łączna liczba przestępstw z użyciem tego narzędzia wyniosła tu 180 na 100 tys. mieszkańców. W londyńskim rejonie metropolitalnym: 165. Ogółem 82 proc. morderstw, których ofiary są nieletnie, ma miejsce z użyciem noża lub ostrego narzędzia.

„Morderstwo w Wolverhampton dobrane obrazuje sytuację, w której znajdujemy się jako społeczeństwo” – mówił w rozmowie z BBC Patrick Green, dyrektor generalny fundacji The Ben Kinsella Trust, która od lat edukuje dzieci w szkołach o niebezpieczeństwach

związanych z noszeniem noży. „Coraz młodsze dzieci noszą przy sobie noże, jest coraz łatwiej kupić noże z ząbkowanymi ostrzami [noże zombie – przyp. red.] w internecie, a przemoc za pomocą noży jest fetowana w mediach społecznościowych” – dodał Green.

WCIAŻ TE SAME SCENY

Brytyjski rząd uważa, że znalazł na to sposób: zakaz posiadania maczet i noży służących do walki w całym Zjednoczonym Królestwie. Od 2016 r. maczet i noże zombie, służących zarówno do cięcia, jak i rąbania, nie można nosić ze sobą w przestrzeni publicznej. Prawo nie zakazuje jednak posiadania ich w domu. Teraz ma się to zmienić. Zakaz wejdzie w życie 24 września i obej-

Ataki nożowników to prawdziwa plaga w Wielkiej Brytanii. W ub.r. doszło do ponad 48,7 tys. incydentów z użyciem noża, o 5 proc. więcej niż rok wcześniej

mie produkcję, dostawę, sprzedaż, posiadanie i import tej broni. Osoby, które obecnie legalnie posiadają takie noże, mogą je oddać na komisariatach, a w niektórych przypadkach ubiegać się o odszkodowanie. Na początku sierpnia minister policji Diana Johnson powiedziała, że zakaz ten stanowi pierwszy krok w rządowym planie ograniczenia przestępczości z użyciem noża w ciągu następnej dekady o ponad połowę, czyli kolejne zakazy dla kolejnych rodzajów noży są w przygotowaniu.

Obywatele, także ci dotknięci przez przemoc z użyciem noży, zastanawiają się, czy to ma sens. „Chciałabym, żeby rząd zapytał nas [czego potrzebujemy] i nas słuchał, ponieważ to my z tym żyjemy” – zaznaczyła w rozmowie z „The Independent” matka 16-letniego

Mike’a Ryalla, który został zadźgany na śmierć w czerwcu ub.r. w Bristolu. Według niej przestępcze gangi, także te imigranckie, nie będą przestrzegały zakazu. „Człowieka można zabić czymkolwiek. Innym rodzajem noża. Śrubokrętem” – zaznaczyła. Jej zdaniem rząd powinien się zająć przyczyną przemocy. Brakiem integracji imigrantów, rosnącym zubożeniem, zorganizowaną przestępczością i brakiem perspektyw.

W Londynie w 2023 r. w skutek działalności gangów odnotowano 40 incydentów z użyciem noża dziennie. Obawa o własne bezpieczeństwo jest zresztą jednym z powodów, dlaczego młodzi ludzie noszą przy sobie noże. Z badania przeprowadzonego przez The Ben Kinsella Trust wśród 10 tys. nieletnich wynikało, że jedna czwarta nosi nóż dla własnej ochrony, a jedna trzecia stwierdziła, że nie czuje się bezpiecznie, chodząc po ulicach. Dwie trzecie obawia się przestępstw z użyciem noża w swojej okolicy, a dzieci poniżej 12. roku życia były jeszcze bardziej zlekignione niż ich starsi rówieśnicy.

Malachiasz Nunes nosił nóż. Ma 14 lat i mieszka na obszarze West Midlands, naznaczonym wojnami pomiędzy gangami Burger Bar Boys i Johnson Crew. Jak twierdzi, nieraz chwycił za broń „ze strachu”. „Często, gdy czekałem na przystanku autobusowym, członkowie gangów podjeżdżali samochodami i mnie zaczepiali” – przyznał. „Co możesz zrobić jako młody człowiek, gdy nie ma nikogo, kto by cię chronił?” – pytał.

WYSOKI UDZIAŁ CUDZOZIEMCÓW

Według ekspertów jest kolejny problem: niskie kary lub ich brak dla nożowników. Ponad 147 tys. osób oskarżonych o przestępstwa w Wielkiej Brytanii, w tym przestępstwa na tle seksualnym, przemoc i posiadanie broni, m.in. noży, zamiast stanąć przed sądem otrzymało w ciągu ostatniego roku prace społeczne, które nie skutkują wpisem do rejestru karnego. A więzienia są tak przepełnione, że w następstwie zamieszek rząd już we wrześniu wypuści na wolność tysiące przestępców.

Dwa tygodnie temu pięć osób zostało dźgniętych nożem podczas karnawału w Notting Hill, w tym matka, która przebywała tam z małym dzieckiem. Policja stwierdziła, że jest już „zmęczona” powtarzającymi się co roku „tymi samymi scenami”.

W Niemczech przestępstwa z użyciem noża także są dziś codziennością. W sierpniu minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser i szef prezydium policji federalnej (BPOLP) Dieter Romann przedstawili statystyki: w 2023 r. policja odnotowała 853 ataki nożowników. Są to tylko te, do których doszło na niemieckich dworcach kolejowych, lotniskach i granicach. Ogólna liczba przestępstw przy użyciu noża jest jeszcze większa. W ub.r. Federalny Urząd Kryminalny odnotował ponad 13,8 tys. ataków nożem, o 12 proc. (ok. 1,5 tys. przypadków) więcej niż w 2022 r. i aż o 37 proc. (3,7 tys. przypadków) więcej niż w 2021 r. Wśród nich znalazło się ponad 8,9 tys. przypadków niebezpiecznych lub poważnych obrażeń ciała oraz blisko 4,9 tys. napadów rabunkowych. Jeśli doliczyć się przypadki, gdy przestępca tylko „miał przy sobie nóż”, wtedy liczba incydentów wzrasta do 26,1 tys. Takie statystyki prowadzi się w Niemczech dopiero od 2021 r.

Pochodzenie sprawców – w każdym razie na poziomie federalnym – nie jest odnotowywane, ale w niektórych landach tak. Choćby w Nadrenii Północnej-Westfalii, gdzie prawie połowa sprawców (45 proc.) nie ma niemieckiego obywatelstwa. Znacznie więcej niż ogólny odsetek obywateli innych krajów w populacji Republiki Federalnej Niemiec.

ARCHAICZNE POSTAWY

Wiele tych zbrodni jest szokujących i dochodzi do nich w miejscach publicznych. W maju zginął policjant, a sześć osób zostało rannych w ataku nożownika na rynku w Mannheim podczas wydarzenia zorganizowanego przez krytyczny wobec islamu ruch Pax Europa. W sierpniu 26-letni Syryjczyk Issa Al H. przyznał się do zabicia trzech osób i ranienia ośmiu na festynie w mieście Solingen. Według śledczych mężczyzna był członkiem terrorystycznej organizacji Państwo Islamskie. Szefowa MSW Nancy Faeser, podobnie jak jej brytyjscy koledzy, szuka

ratunku we wprowadzaniu zakazów. W miejscach publicznych ma być dozwolone używanie noży o ostrzach dłuższych do 6 cm zamiast dotychczasowych 12 cm. „Chcemy wprowadzić ogólny zakaz używania niebezpiecznych noży sprężynowych. Wkrótce przedstawimy odpowiednie zmiany w prawie dotyczącym broni” – zapowiedziała minister. Jej zdaniem zakazy dotyczące noży mają być „konsekwentnie egzekwowane, tak jak robi to policja federalna w przypadku kontroli na stacjach kolejowych”. Ma być tylko kilka wyjątków, np. dla noży domowych „w zamkniętych opakowaniach po zakupie”. Faeser wezwała także gminy do wprowadzenia większej liczby stref zakazu posiadania broni palnej i noży. Krytycy wskazują jednak, że „także 6-centymetrowym nożem można zabić”. „To polityka symboliczna, gdzie zwalczą się tylko symptomy. Archaicznych postaw niektórych to nie zmieni” – czytamy na łamach portalu Tichys Einblick.

Spór na ten temat toczy się za Odrą od dawna. Jedni wskazują na przywiezione przez migrantów z krajów muzułmańskich (maczystowskie) postawy, które nierzadko kończą się zabójstwami honorowymi, gwałtami i innymi przestępstwami. Drudzy mówią, że traumy przewiezione przez uciekających przed wojną i represją Syryjczyków, Irakijczyków i Afgańczyków objawiają się właśnie przemocą.

Bądź co bądź w wysoce rozwiniętym społeczeństwie, jakim są Niemcy, w którym zaawansowana broń i nadzór technologiczny stanowią wyznacznik poziomu cywilizacji, nóż symbolizuje powrót do archaizmu, barbarzyństwa. Niektórzy widzą w nim nawet zwiastun upadku cywilizacji zachodniej. „Ludzie innych kultur mają inny stosunek do noży” – podkreślił niedawno szef policji w Bonn Frank Hoyer. Jego zdaniem wiele incydentów wynika z „przesadnej męskości” i „pozorowania władzy”. W pewnym sensie jest to deklaracja kapitulacji, jak niedawna propozycja przewodniczącego związków zawodowych policji federalnej Jochena Kopelkego, który chce przyznać każdemu, kto odda dobrowolnie swój nóż sprężynowy, roczny abonament Netflixu. Przestrzegający prawa obywatele mają zapłacić przestępcom i terrorystom haracz w po-

staci dostępu do platform streamingowych w zamian za to, że ci już nie będą ich dźgali nożem?

DOTOWANI NOŻOWNICY

Do obywateli na razie średnio to trafia. Atak nożownika w Solingen natomiast ponownie rozpalil dyskusję o imigracji, a szczególnie deportacji tych, których wnioski o azyl zostały odrzucone. Wśród nich był sprawca ataku w Solingen. Liderka Alternatywy dla Niemiec (AfD) Alice Weidel wezwała do „natychmiastowego zakazu imigracji, przyjmowania [imigrantów] i naturalizacji przez co najmniej pięć lat”. Na długo przed mordem w Solingen mówiła już w Bundestagu o „dotowanych nożownikach”. Szef CDU Friedrich Merz przekonywał zaś, że Syria i Afganistan to kraje, do których można deportować, a Niemcy nie powinny już więcej przyjmować żadnych uchodźców z tych dwóch państw.

Eksperci ponadto niepokoją się, że zamach w Solingen to zwiastun nowej fali przemocy związanej z grupą terrorystyczną Państwo Islamskie. Przemocy dokonywanej za pomocą łatwo dostępnych środków, jak właśnie nóż. „Ta fala może uderzyć w Niemcy mocniej niż dotychczas. Terror wraca i jest to związane z wojną w strefie Gazy” – uważa ekspert ds. terroryzmu Peter R. Neumann. Zakaz używania noży w miejscach publicznych uważa za potencjalnie nieskuteczny. „To będą kradli samochody i wjeżdżali nimi w tłum. A samochodów przecież nie zakazemy” – dodał.

Skuteczne czy nie, podobny zakaz szyskują także inne europejskie kraje, m.in. Austria. Nóż (w tym nożyki szwajcarskie) ma być w przyszłości zakazany w terenach z zabudową mieszkaniową, a także w parkach, obiektach sportowych i miejscach rozrywki, podczas zgromadzeń i w transporcie publicznym. Wymienione są też placówki edukacyjne i opiekuńcze. Za złamanie zakazu ma grozić grzywna do 3,6 tys. euro lub do sześciu tygodni aresztu. W lutym w Wiedniu nożownik zabił trzy pracownice agencji towarzyskiej, w kwietniu zaś trzy osoby zostały ranne w dwóch atakach w Salzburgu i okolicy. Co roku dochodzi w Austrii do ok. 2,5 tys. ataków z użyciem noża.



Fot. PAP/Zbigniew Trybicki

Sierpień 1980 oczami namiestników

Komunistyczne władze do samego końca rozważały różne scenariusze rozwiązania problemu strajków, które ogarnęły Polskę w sierpniu 1980 r. To właśnie konflikty w kierownictwie partii umożliwiły powstanie Solidarności

14 sierpnia 1980 r. rozpoczął się strajk w Stoczni Gdańskiej. Protestujący domagali się przyjęcia do pracy Anny Walentynowicz, zwolnionej za działalność opozycyjną. Już w trakcie rozmów z dyrekcją dodano jeszcze postulat przywrócenia do pracy Lecha Wałęsy. Domagano się także podwyżki płac oraz budowy pomnika poległych w grudniu 1970 r.

ROZGONIĆ STRAJK, KTÓREGO NIE MA

Rządowa agencja informacyjna Interpress początkowo zaprzeczyła istnieniu jakiegokolwiek strajku. Od samego początku strona komunistyczna traktowała jednak sytuację

**STANISŁAW PŁUŻAŃSKI**

poważnie. Jeszcze tego samego dnia przy Sztabie Generalnym WP powstała komórka, której zadaniem było monitorowanie strajku, informowanie szefostwa o sytuacji i reagowanie na wszelkie wnioski płynące z MSW. 15 sierpnia, kiedy strajk zaczął rozprzestrzeniać się na inne trójmiejskie zakłady, zablokowana została komunikacja telefoniczna z resztą kraju. Mimo to Polacy

dzięki nadającemu z Monachium Radiu Wolna Europa byli na bieżąco informowani o tym, co się dzieje na Wybrzeżu. Rolę łączników spełniali ponadto kolejarze, pocztowcy i transportowcy.

Z powołanym Komitetem Strajkowym w Gdańsku początkowo rozmawiał Klemens Gniech, dyrektor stoczni.

Wtedy też podjęta została pierwsza próba rozbicia strajku od środka. Dyrektor oświadczył, że komitet nie jest reprezentatywny. Aby to zmienić, każdy wydział zakładu miał wybrać do niego trójkę przedstawicieli. W ten sposób 20-osobowy komitet rozrósł się do 160 osób, a w jego skład weszli różni ludzie, m.in. sekretarz partyjny. Komunistom łatwiej było wpływać na takie gremium, co też prawie przyniosło sukces.

16 sierpnia, kiedy strajki ogarniały kolejne zakłady na Wybrzeżu, dyrekcja Stoczni Gdańskiej zgodziła się zrealizować żądania stoczniowców. W efekcie większość protestujących rozeszła się do domów. Mimo to udało się wznowić strajk, a wieczorem, po konsultacjach z delegacjami 21 innych zakładów, powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (MKS). Wtedy też rozpoczęto pisanie wspólnych postulatów wykraczających poza pierwotne żądania.

STAN WOJENNY W SIERPNIU 1980 r.?

W odpowiedzi na wybuch protestu utworzono zespół koordynujący działania władz na rzecz likwidacji strajków pod przewodnictwem Stanisława Kani, członka Biura Politycznego nadzorującego działania MSW, wojska i milicji. Ponadto minister spraw wewnętrznych Stanisław Kowalczyk powołał sztab, którego zadaniem było opracowanie planu, a następnie kierowanie operacją „Lato 80”. Przy pomocy wojska, MO i SB miała ona doprowadzić do opanowania sytuacji poprzez „zapewnienie bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego w Polsce”. Kierownikiem sztabu został wiceminister gen. Bogusław Stachura, a jego zastępcami płk Władysław Ciasioń, odpowiadający za działania SB, oraz gen. Józef Beim, zastępca komendanta MO.

Strajki chciano zdławić siłą, a wzmożona inwigilacja i prewencyjne aresztowania miały zapobiec rozprzestrzenianiu się protestu. Na szczytach władzy trwały intensywne rozmowy odnośnie do dalszych ruchów. Twardogłowa część prominentnych działaczy PZPR od początku przekonywała do siłowego rozwiązania problemu i sprzeciwiała się jakiegokolwiek porozumieniu z protestującymi.

Trwająca wówczas walka o władzę w Komitecie Centralnym oraz szybkie rozprzestrzenianie się strajku komplikowały sytuację. Kania uznał plany aresztowania komitetu strajkowego za mrzonkę, pytając retorycznie, jakimi siłami

można opanować ponad 70 strajkujących zakładów. Brakowało także pomysłu, jak utrzymać porty po „odbiciu” ich z rąk strajkujących. Wobec tego zwyciężyła koncepcja rozmów z protestującymi i pójścia nawet na chwilowy kompromis, który dałby czas na przejęcie inicjatywy i przygotowanie kontruuderzenia.

NEGOCJATORZY I ARESZTOWANI

Już dzień po powołaniu MKS komuniści podjęli próbę rozbicia go od środka. W tym celu dyrekcje poszczególnych zakładów zaczęły prowadzić rozmowy ze swoimi załogami. Klemens Gniech nalegał, żeby podpisać osiągnięte przed paroma dniami porozumienie w Stoczni Gdańskiej. Wobec odmowy stwierdził, że sytuacja przekracza jego kompetencje. 19 sierpnia powstał MKS w Stoczni Szczecińskiej z Marianem Jurczykiem na czele. Wtedy też do urzędu wojewódzkiego w Gdańsku została przekazana lista 21 postulatów strajkujących. Przez następne dni władze nadal próbowały złamać so-

lidarność strajkujących, prowadząc rozmowy z komitetami strajkowymi w poszczególnych zakładach. Tworzono także „alternatywne” MKS, które miały w kontrolowany sposób przejąć prowadzenie rozmów z przedstawicielami rządu.

Gierek wysłał na negocjacje Tadeusza Pykę, który od grudnia 1971 r. zasiadał w Komitecie Centralnym PZPR, a od 15 lutego 1980 r. był zastępcą członka Biura Politycznego KC PZPR. Pyka miał rozmawiać ze wszystkimi strajkującymi, ale nie przedstawicielami MKS. 20 sierpnia MO i SB aresztowało kilkunastu przywódców Komitetu Obrony Robotników, a także delegatów komitetów strajkowych, których rozpoznawano po biało-czerwonych flagach na ich samochodach. Oprócz tego telewizja państwowa publikowała informacje o stratach gospodarczych wywołanych strajkami.

Działania Tadeusza Pyki nie przyniosły rezultatu, a strajki dalej rozprzestrzeniały się po całym kraju. Wobec tego do Gdańska został wysłany wicepremier Mieczysław Jagielski. Od 1959 r. był on

członkiem Komitetu Centralnego, a od 1971 r. Biura Politycznego KC PZPR. W lipcu 1980 r. przewodniczył komisji rządowej, która prowadziła negocjacje ze strajkującymi zakładami pracy na Lubelszczyźnie. Miał więc doświadczenie, które powinno mu pomóc w doprowadzeniu do końca strajku w Gdańsku. Jagielski wraz z delegacją rządową przyjechał do miasta 21 sierpnia. W trzyminutowym prze-

Wszyscy, którzy zostali wysłani do rozmów ze strajkującymi, mimo iż wykonywali jedynie polityczną wolę swoich przełożonych, w następstwie porozumień sierpniowych zostali skazani na polityczny niebyt, ponosząc odpowiedzialność często za nieswoje decyzje. Ci natomiast, którzy przejęli władzę w państwie, natychmiast rozpoczęli przygotowania do siłowego rozwiązania zaistniałego „problemu”

mówieniu emitowanym w lokalnym radiu zaproponował podjęcie rozmów w komisjach branżowych, a więc nadal z pominięciem MKS.

MO kontynuowało represje, udało się m.in. skonfiskować kilka tysięcy ulotek przewożonych na pokładzie holownika Wilk. W tym czasie zaczynały się już pierwsze strajki poza wybrzeżem. Wieczorem 22 sierpnia delegacja prezydium MKS spotkała się z Jagielskim i doręczyła mu oświadczenie o gotowości do podjęcia rozmów na temat 21 postulatów mogących zakończyć strajk. Wówczas Jagielski po raz pierwszy wyraził gotowość do negocjacji z faktycznymi przedstawicielami strajkujących, co było wielkim sukcesem robotników.

W Szczecinie delegacja rządowa z wicepremierem Kazimierzem Barcikowskim rozpoczęła rozmowy z tamtejszym MKS. Cały czas trwały aresztowania delegatów komitetu strajkowego w różnych miastach. Obecność zagranicznych dziennikarzy coraz bardziej jednak powstrzymywała władze przed represjami. Następnego dnia wieczorem rozpoczęły się rozmowy komunistów z przedstawicielami MKS w Gdańsku, transmitowane na cały zakład. Jagielski stwierdził, że zadaniem komisji jest rozwiązanie problemów strajkujących załóg. Mimo deklaracji dobrej woli cały czas próbował rozmywać postulaty, przede wszystkim kwestię powołania wolnych związków zawodowych i prawa do strajku. Jedną z propozycji zakładała reformę Centralnej Rady Związków Zawodowych zamiast utworzenia nowych, całkowicie wolnych. W czasie negocjacji Jagielski i Barcikowski kilka razy wyjeżdżali do Warszawy na obrady KC PZPR i Biura Politycznego. Partyjne władze wykluczały wówczas użycie siły w celu zdławienia strajku.

WYŚCIG Z CZASEM

Rządzącym coraz bardziej zależało na szybkim rozwiązaniu sprawy. Protesty cały czas się rozprzestrzeniały, 25 sierpnia zaczęły strajkować Wrocław, Kraków i Śląsk. Ponadto w Warszawie w Komitecie Centralnym i Biurze Politycznym PZPR przybierała na sile walka o władzę. Już 21 sierpnia, a zatem jeszcze przed rozpoczęciem rozmów w Gdańsku między MKS a delegacją rządową, kilku członków Biura zaczęło mówić Gierkowi o konieczności „przegrupowania personalnego”, co było zapowiedzią przejęcia sterów w partii. Sytuacja wymagała więc szybkiego zakończenia protestu. Dlatego stanowisko komunistów wobec postulatów strajkujących zaczęło się zmieniać.

25 sierpnia wieczorem rzecznik MKS Lech Bądkowski poinformował na konferencji prasowej, że rozmowy zostaną wznowione dopiero po odblokowaniu połączeń telefonicznych z resztą kraju. Rezultatem było częściowe zdjęcie blokady, a kolejna tura rozmów ruszyła następnego dnia. Do strajku cały czas dołączały kolejne zakłady w całym kraju. Mimo że negocjacje trwały, władze zdecydowały się przeprowadzić kolejną serię aresztowań działaczy opozycyjnych. Cały czas czyniono też przygotowania do potencjalnego silowego stłumienia protestów. Tworzone były oddziały rezerwistów, które miały zapewnić ochronę wytypowanych obiektów państwowych, w pierwszym okresie nieprzypadkowo w wo-

jewództwach nadmorskich. Jednostki te postawiono w stan pełnej gotowości już 26 sierpnia 1980 r.

Równocześnie rozmowy z każdym dniem powoli przybliżały do przełomu. Kwestią sporną pozostawało przede wszystkim utworzenie wolnych związków zawodowych. Ponadto strajkujący domagali się uwolnienia wszystkich więźniów politycznych. 31 sierpnia wicepremier Jagielski wyraził zgodę na pisemne gwarancje zwolnienia aresztowanych. Wówczas w sali BHP Stoczni Gdańskiej Lech Wałęsa i Mieczysław Jagielski podpisali dokument końcowy porozumień, a strajk dobiegł końca. Podobne porozumienia z delegacjami rządowymi zawarto 30 sierpnia w Szczecinie i 3 września w Jastrzębiu.

ROSZADY NA SZCZYCIE

Nie uspokoiło to sytuacji na szczytach władzy, gdzie trwało prawdziwe trzęsienie ziemi. W ciągu kilku dni premier i trzech członkowie Biura Politycznego ustąpili ze stanowisk. Nowym szefem rządu został bezbarwny Józef Pińkowski, związany z Kanią oraz Wojciechem Jaruzelskim. Zaraz potem nastąpiła także zmiana na stanowisku I sekretarza. Na specjalnym posiedzeniu KC PZPR 6 września następcą Edwarda Gierka został Stanisław Kania.

Czystki nie ominęły także osób bezpośrednio zaangażowanych w pertraktacje ze strajkującymi. Tadeusz Pyka na skutek wydarzeń sierpniowych został w październiku odwołany z Biura Politycznego KC PZPR. W lipcu 1981 r. wykluczono go z partii. W czasie stanu wojennego został internowany wraz z grupą byłych czołowych działaczy PZPR. Odsunięty został także Mieczysław Jagielski. Wprawdzie do 1985 r. pełnił mandat poselski na Sejm PRL, jednak znajdował się całkowicie na marginesie wydarzeń.

Mimo widocznego napięcia w społeczeństwie w drugiej połowie 1980 r. komuniści nie spodziewali się tak dużego wybuchu niezadowolenia wśród Polaków. Aparat państwowy nie poradził sobie ze skalą strajków, a walka na najwyższych szczeblach władzy uniemożliwiała zdecydowane działania, które zdusiłyby w zarodku tworzący się ruch społeczny, jakim była Solidarność. Wszyscy, którzy zostali wysłani do rozmów ze strajkującymi, mimo iż wykonywali jedynie polityczną wolę swoich przełożonych, w następstwie porozumień sierpniowych zostali skazani na polityczny niebyt, ponosząc odpowiedzialność często za nieswoje decyzje. Ci natomiast, którzy przejęli władzę w państwie, natychmiast rozpoczęli przygotowania do siłowego rozwiązania zaistniałego „problemu”.

Już od sierpnia 1980 r. trwały prace nad wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce. Prowadził je Komitet Obrony Kraju i Sztab Generalny WP. Dwa dni po oficjalnej rejestracji Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, 12 listopada 1980 r. Wojciech Jaruzelski ujawnił na posiedzeniu KOK, że przygotowano zestaw niezbędnych aktów prawnych dotyczących stanu wojennego. Tak więc pacyfikacja polskiego społeczeństwa została jedynie odłożona w czasie. A wtedy w Polsce trwał karnawał Solidarności. Ale, jak to karnawał, szybko się skończył.



Międzynarodowe spotkanie w sercu Karkonoszy

XXXIII Forum Ekonomiczne w Karpaczu (3–5 września 2024 r.)

Podczas tegorocznego Forum Karpacz będzie gościł najbardziej wpływowe postacie z różnych dziedzin życia społecznego i biznesu. Wśród zaproszonych gości znajdują się m.in. wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier Krzysztof Gawkowski, Nicole Alexander, była szefowa marketingu globalnego w Meta (Facebook) czy fotoreporter Ron Haviv, który zasłynął na całym świecie swoimi relacjami zdjęciowymi z miejsc, w których popełniono zbrodnie wojenne. Na Forum pojawi się również olimpijczyk i postać telewizyjna Robert Korzeniowski. Oprócz nich na karpackie spotkanie przybędą licznie politycy, prezesi, biznesmeni oraz wybitni naukowcy, którzy będą mieli okazję wymienić się poglądami w ok. 350 debatach i panelach.

Karpacz otoczony majestatycznymi szczytami Karkonoszy nie tylko dostarczy uczestnikom doskonałej przestrzeni do wymiany myśli, lecz także zaprosi ich do odkrywania uroków tego regionu. Organizatorzy przygotowali wiele atrakcji, które umożliwią uczestnikom chwilę oddechu po intensywnych debatach.

Jedną z wyjątkowych propozycji jest zwiedzanie tajnej kopalni uranu w Kowarach – Liczrzepy. Czy może być coś bardziej ekscytującego niż wyprawa do miejsca, które na co dzień jest niedostępne? 1,2 km podziemnych korytarzy, godzina pełna dreszczyku emocji i historia, która sięga czasów XII-wiecznych gwarków – to wszystko czeka na odwiedzających. Kopalnia Liczrzepa to dawna kopalnia uranu, gdzie obecnie znajduje się podziemna trasa turystyczno-edukacyjna. To fascynująca podróż przez historię górnictwa od wydobycia fluorytu po eksploatację uranu w miejscu, z którego wydobyto ok. 470 t tego surowca. Innym interesującym punktem programu będzie Apikraina, gdzie uczestnicy będą mogli zbliżyć się do świata pszczoł i innych owadów zapyłających. To wyjątkowa okazja, aby zrozumieć, jak ważną rolę odgrywają te małe stworzenia w naszym ekosystemie, a także jak znaczący wpływ mają na nasze codzienne życie.

*3–5 września Karpacz,
malownicza miejscowość
położona w sercu
Karkonoszy, stanie się
centrum kluczowych
debat i dyskusji, które
zadecydują o przyszłości
biznesu, polityki i nauki.*

**XXXIII Forum Ekonomiczne
pod hasłem „Czas
nowych liderów: razem
kształtując przyszłość”
przyciągnie ponad
6 tys. uczestników z różnych
zakątków świata, gotowych
debatować na temat
wyzwań stojących przed
współczesnym światem**

Podczas tegorocznej konferencji razem z Ministerstwem Cyfryzacji i największymi uczelniami w Polsce zostanie zorganizowane Forum AI, w ramach którego zostaną poruszone kluczowe kwestie wpływu sztucznej inteligencji na rewolucję zachodzącą w społeczeństwie, a także w sektorach usług publicznych i komercyjnych. Omówione zostaną problemy i wyzwania, z którymi będzie musiał się zmierzyć rynek w obliczu fundamentalnej zmiany technologicznej z wykorzystaniem sztucznej inteligencji. Uczestnicy Forum zastanowią się, na ile inwestycje w badania naukowe i nowoczesne technologie z zakresu AI w wielu obszarach życia pozwolą Unii Europejskiej odbudowywać konkurencyjność względem światowych gospodarek i zapewnią bezpieczeństwo.

W trakcie XXXIII Forum Ekonomicznego zostanie zaprezentowany Raport SGH i Forum Ekonomicznego 2024, czyli najpełniejsze naukowe opracowanie o stanie gospodarki w Polsce oraz krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Raport opracowany przez ekspertów wiodącej uczelni

w kraju – Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie – opisuje bieżące trendy i zjawiska społeczno-ekonomiczne, umożliwiając liderom różnych obszarów podejmowanie najważniejszych decyzji.

Tematyka tegorocznych paneli obejmie kluczowe zagadnienia z dziedzin polityki, biznesu, cyfryzacji oraz nauki. Forum Ekonomiczne to miejsce, w którym najnowsze trendy spotkają się z doświadczeniem, a nowe pomysły zostaną poddane ocenie przez ekspertów.

XXXIII Forum Ekonomiczne w Karpaczu to wydarzenie łączące siłę debaty, spotkania kluczowych graczy świata polityki i biznesu oraz unikalną możliwość odkrywania uroków Karkonoszy. To czas nowych liderów, którzy mają odwagę, by razem kształtować przyszłość. Głównym partnerem wydarzenia jest Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego.



**DOLNY
ŚLĄSK**
GŁÓWNY PARTNER

XXXIII FORUM EKONOMICZNE

KARPACZ 3-5 WRZEŚNIA 2024

Czas nowych liderów:
razem kształtując przyszłość



DOŁĄCZ DO NAS



forum-ekonomiczne.pl





PIOTR OSTROWSKI

Karaiby Europy

„Jeśli marzysz o Karaibach, nie musisz wcale lecieć tak daleko. Wystarczy kupić bilet na Sycylię” – mówi znajoma Włoszka z Rzymu, która od lat spędza wakacje u teściów na tej rajskiej wyspie. Sycylia słynie nie tylko z luksusowych hoteli i białych plaż. Od niedawna także z wina

Mieszkańcy Sycylii są długowieczni i twierdzą, że to wpływ magicznego trunku. Lubią życie w górach, chętnie jedzą dziczyznę i nie uważają się za Włochów. Obok nich toczy się jednak inny, to wielki, świat. Sycylię oblegają tłumy turystów kochających plaże, włoską kuchnię i luksus.

„Nic dziwnego, że upodobali ją sobie celebryci i bogacze” – mówię do moich kompanów podróży, patrząc z zacienionego baru Insula Sardinia na port pełen luksusowych jachtów, łodzi motorowych i ich opalonych na mahoń właścicieli z młodymi towarzyszkami żeglarskiego życia. Na nabrzeżu stoją się ekskluzywne auta: lamborghini, ferrari, porsche, maserati. W barze też drogo...

Na Sycylii, niewiele mniej niż w Sycylii, mieszka trzy razy mniej ludzi (1,65 mln), a jej duża część, zwłaszcza górski interior,

jest zupełnie dzika. Wyspę wprawdzie oblegają turyści, jednak nie ma tu wysokich hoteli i zabetonowanego nabrzeża. W trosce o zachowanie unikatowego charakteru Sycylii jej władze konsekwentnie zabraniają intensywnej, wysokiej zabudowy.

Poza stolicą Cagliari i miastem Alghero nie znajdziemy tu wielu klasycznych zabytków. Są za to piękne krajobrazy i poszarpana, licząca prawie 2 tys. km linia brzegowa. Skaliste wybrzeże skrywa malownicze piaszczyste plaże, bajeczne zatoki, natomiast ląd – wysokie, trudno dostępne góry, wąwozy i płaskowyże. Do tego szmaragdowa woda i orzeźwiający wiatr sprawiają, że czujemy się jak na egzotycznej wyspie.

Nie bez powodu Sycylia i sąsiednie wysepki nazywane są Karaibami Europy. To raj dla żeglarzy, którzy cumują wielkie jachty w kameralnych miejscowościach, jak choćby Porto Cervo na północnym

wschodzie wyspy. Wymuskane miasteczko dla milionerów jest symbolem Costa Smeralda, czyli Szmaragdowego Wybrzeża, najdroższego miejsca na wyspie.

KSIAŻĘCY RAJ

Co ciekawe, Costa Smeralda została stworzona nie przez Włochów, lecz przez Brytyjczyka urodzonego w Szwajcarii, a jednocześnie tytularnego irańskiego księcia Agę Chana IV. Tak urzekło go piękno tego dziewiczego skrawka wybrzeża, że postanowił odkupić całą okolicę od rybaków i chłopów. Utworzone przez biznesmena międzynarodowe konsorcjum wraz z najlepszymi architektami stworzyło w latach 60. ub. w. turystyczny raj.

Dzisiaj za wypoczynek w najbardziej luksusowych hotelach trzeba słono płacić, zdarza się, że nawet kilka tysięcy euro

za dobę. Właściciele zadbali o zachowanie naturalnej urody miejsca. Wprowadzone tu rygorystyczne przepisy mówią, że naturalnym budulcem mogą być tylko szlachetne materiały, a kolorystyka elewacji ma nawiązywać do różowo-łososiowych granitowych skał. Jedynym odstępstwem jest urokliwy biały kościół Stella Maris (Gwiazda Morza), wkomponowany we wzgórze nad imponującą mariną.

Książę nie był jednak pierwszym inwestorem, który odkrył urodę rajskiej wyspy. W pobliskiej zatoce Baja Sardinia jeszcze przed II wojną światową w hotele zainwestowała podobno rodzina i przyjaciele Mussolinich. W kioskach przy plaży nawet dziś można kupić zapalniczki z podobizną Benita Mussoliniego. Hotel, w którym się zatrzymaliśmy, jest bajecznie położony, a jego posesja ma – bagatela – 50 ha powierzchni. Spotkamy tu wolno żyjące, ogromne żółwie greckie, kolorowe gekony i egzotyczne ptactwo. Turystyczny kompleks ma swoje lata, ale wciąż przyciąga znanych i moźnych. Tutaj ryby, owoce morza i mięsiwa nadal obierają z ości i kości kelnerzy, a wino prezentuje i podaje sommelier. Wszystko przy dźwiękach fortepianu, który umila gościom posiłki i degustacje. A gdy w czasie naszego pobytu nocny orkan i ulewa zniszczyły prowadzącą do hotelu La Bisaccia drogę, nazajutrz w ciągu kilku godzin wojsko i służby drogowe odbudowały wszystko w wielkim pośpiechu. Jakby to miejsce było najważniejsze na całej wyspie.

DZIEWICZE PLAŻE

Na spotkanie z nieskażoną naturą wybieramy się na położony na północy Sardinii

archipelag La Maddalena, na który dostajemy się małym statkiem. To wyprawa na cały dzień, gdyż archipelag składa się z kilkudziesięciu wysepek, w większości bezludnych. Są one pozostałością po lądzie, który kiedyś łączył Sardinie z francuską Korsyką. Wyspy kuszą białymi plażami z granitowymi formacjami skalnymi i turkusową wodą. Niektóre z nich padły już ofiarą swojego piękna i zostały zamknięte dla turystów, np. Spiaggia Rossa, gdzie występuje unikatowy różowy piasek.

– Gdy po każdej kolejnej wizycie statku z turystami piasku ubywało, a plaża stawała się mniej różowa, władze zamknęły ją dla ludzi – wyjaśnia Marco, szypier naszej łodzi. – Cumowanie w pobliżu jest surowo karane i teraz rzadko ktoś wywozi stąd słoik piasku na pamiątkę.

Wydawało się nam, że po kąpielach w krystalicznych wodach wokół wysepek La Maddalena nic nie może nas bardziej zachwycić. Jednak nazajutrz wybraliśmy się do Orosei po wschodniej stronie wyspy. Ta duża zatoka dostępna jest właściwie jedynie od strony morza, gdyż potężny masyw górski utrudnia dotarcie do niej niezaprawionym w górskich wspinaczkach.

Z portu w Cala Gonone taksówka wodna zabiera nas na skaliste wybrzeże usiane jaskiniami. Gdy jesteśmy w połowie drogi, załoga odbiera telefon i gwałtownie zwraca do przystani. Awaria? Ktoś zasląbił? Uśmiechnięty kapitan nie odpowiada na pytania. Gdy przybijamy do nabrzeża, okazuje się, że grupa turystów spóźniła się na rejs. To nic, że teraz wszyscy mamy spore opóźnienie. W końcu to bella Italia!

Wreszcie statek dociera do jaskiń. Wpływamy do najwspanialszej z nich

Bue Marino, która ciągnie się 11 km w głąb góry. Dla zwiedzających dostępny jest tylko pierwszy kilometr. Idziemy pośród stalagmitów i stalaktytów po drewnianej kładce lub łachach piachu, a prowadzi nas przewodniczka Francesca.

– Ta wielka grota przez stulecia była schronieniem dla fok mniszek, których samice tutaj rodziły i wychowywały młode. To ginący gatunek foki, w całym basenie Morza Śródziemnego jest ich zaledwie ok. 400 osobników – wyjaśnia. – Niestety już w ubiegłym wieku foki wyniosły się z Bue Marino, przepędzone przez masy odwiedzających to miejsce ludzi.

Wsiadamy z powrotem do wodnej taxi i płyniemy do słynnych plaż w niewielkich zatokach: Cala Luna, Cala Mariolu i Cala Goloritzé. Kąpiemy się, odpoczywamy w cieniu skał i patrzymy z zapartym tchem na piękno natury.

TAJEMNICZE WIEŻE

Jest jeszcze coś fascynującego, co znajdziemy jedynie na Sardinii. To rozsiane po całym jej terytorium nuragi, megalityczne budowle z kamieni w kształcie ściętego stożka. Niektóre wieże mają nawet 20 m wysokości. Zachowało się ok. 7 tys. takich budowli, najbardziej okazały kompleks Su Nuraxi koło Barumini jest wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Naukowcy wciąż toczą spory o przeznaczenie budowli wzniesionych przez tajemniczą starożytną cywilizację. Rozpalają one też wyobraźnię poszukiwaczy zaginionej Atlantydy. Kultura Nuragijczyków, którzy byli pierwszym znanym nam ludem zamieszkującym Sardinie, z pewnością musiała być bardzo rozwinięta, o czym świadczy rozmiar, kształt i technika wznoszonych przez nich obiektów. Co ciekawe, podobne budowle odkryto m.in. na Minorce, Malcie i w Turcji. Tamtejszą tajemniczą osadę Göbekli Tepe datuje się na ponad 20 tys. lat. Zdaniem archeologów sardyńskie kamienne budowle powstały w epoce brązu, jakieś 4 tys. lat temu. Ale wkrótce może się okazać, że są znacznie starsze. Tajemnicza cywilizacja nuragijska nie pozostawiła żadnych źródeł pisanych i dziś większość teorii na jej temat to tylko spekulacje. Nie znamy nawet funkcji kamiennych budowli. Są jednak tak niesamowite i tajemnicze, że obowiązkowo trzeba obejrzeć chociaż kilka z nich.



JEDNA WYSPA, DWA ŚWIATY

Są dwie Sardynie – ta na wybrzeżu i ta w głębi lądu. Na pierwszej kołyszą się na swych jachtach i opalają milionerzy, na drugiej rolnicy hodują owce i uprawiają wino. To dwa różne światy. Ten prawdziwy jest oddalony od wybrzeża zaledwie kilka kilometrów. Tam żyje się skromnie, a wiekowe domy nie przypominają stylizowanych na stare willi na Costa Smeralda. W kurortach jada się langusty, w głębi wyspy pieczone dziki.

Sardyńcy to dumni, uparci ludzie, których kultura wyrosła z tradycji prostego pasterskiego ludu. Mówią dialektem (twierdzą, że językiem) znacznie różniącym się od włoskiego i uważają się za odrębny naród. Naukowcy dowodzą, że pochodzą z hiszpańskiej Katalonii. Sardyńcy mają głęboko zakorzenione poczucie odrębności oraz bardzo pielęgnują swoje zwyczaje i kulturę. Czujemy to szczególnie, gdy wjeżdżamy w głąb wyspy na porośnięte lasem korkowym pasma gór Gennargentu. Nagle znajdujemy się w miejscu, w którym czas płynie jakby wolniej: wąskie drogi, po których z rzadka przejeżdża samochód, gdzie częściej widać pasące się owce niż ludzi. Surowe górskie tereny przez lata były znakomitą kryjówką dla różnej maści odszczepieńców, a także zbiegów i przestępców, m.in. górskie miasteczko Orgosolo. Dzisiaj słynie ono z murali o tematyce społecznej i politycznej wzorowanych na dziełach meksykańskich muralistów, m.in. Diego Rivery. Są wszędzie: na ścianach domów, sklepów, nawet kościołów, co czyni to miejsce największą w Europie galerią sztuki zaangażowanej.

WINO, KTÓRE WYDŁUŻA ŻYCIE

Górskie tereny położone wokół Orgosolo oraz miasteczek Oliena i Dorgali tworzą szlak winny cannonau, szczepu, z którego oprócz czerwonego wytrawnego wina produkuje się także słodki, wzmacniany trunek przypominający porto. Na Sardynii panują doskonałe warunki do uprawy winorośli, dlatego produkuje się tu wino z wielu odmian, m.in. białe: malvasię, moscato czy nuragus, wprowadzone na wyspę przez Fenicjan, którzy przybyli z dzisiejszego Libanu. Jednak winną gwiazdą Sardynii jest endemiczne vermentino di Gallura. Białe wytrawne



ma bardzo mineralny smak z owocowymi świeżymi nutami. To jedyne wino wyspy posiadające najwyższą apelację DOCG. Na degustację warto wybrać się do zjawiskowej winnicy Vigne Surrau koło San Pantaleo, które z kolei słynie z tego, że parafią kierują księża z Polski. Tam też jest kilka wyśmienitych winiarni.

Z białym vermentino najlepiej smakują ryby i owoce morza, których na Sardynii nie brakuje. Są tuńczyki, makrele, sardele, okonie i szczupaki morskie oraz bottarga, czyli sardyński kawior. To ikra tuńczyka lub innej ryby, suszona i formowana w bloki, które potem cienko pokrojone są dodawane do makaronów i sałatek.

Wśród czerwonych win króluje wspomniane cannonau di Sardegna. Ono najbardziej pasuje do ciężkich dań, które pre-

ferują miejscowi. Bo prawdziwa sardyńska kuchnia to ta wiejska, a właściwie góralska. To pieczone na rożnie, doprawiane ziołami mięsa: jagnięcina i dziczyzna, a także kielbasy, salami oraz ser. Najlepszy to owczy pecorino sardo z niepasteryzowanego mleka. Do tego oliwa z oliwek, migdały i pasterski chleb carasau: cienkie, okrągłe, chrupiące placki, które można jeść jeszcze pół roku po upieczeniu.

Wypiek chleba, który składa się z cienkich warstw, to skomplikowany proces. Kiedyś kobiety pomagały sobie, robiąc go wspólnie raz w miesiącu, aby ich mężowie mogli żywić się nim przez długie tygodnie spędzane na wypasie w górach. Choć Sardyńcy nie uważają się za Włochów, chętnie jedzą makarony. Oczywiście mają własne rodzaje pasty, najpopularniejsze to drobny fregola sarda oraz przypominający kluski malloreddus. Najczęściej są podawane z gęstym sosem pomidorowym i obficie posypane pecorino. Zupa numer jeden jest zaś minestrone.

Warto też wiedzieć, że Sardynia jest jednym z pięciu na świecie miejsc zwanych blue zones, czyli niebieskich stref, w których według statystyk występuje największy odsetek stulatków. Statystycznie w górskich wioskach Sardynii żyje najwięcej mężczyzn, którzy mają powyżej 85 lat, a także wielu stuletnich. To jedyne miejsce we Włoszech, a może i w Europie, gdzie faceci żyją dłużej niż kobiety. Naukowcy z Uniwersytetu w Cagliari przypuszczają, że tajemnica tkwi w prostym życiu – pozbawionym chemii wiejskim jedzeniu, świeżym powietrzu, poruszaniu się o własnych nogach, pogodzie ducha oraz... winie cannonau. Jak stwierdzili, zawiera ono więcej dobroczynnych procyanidyn i polifenoli niż inne wina, więc jego picie wydłuża życie.

K

ULTURY

– Ludziom żyjącym w Warszawie wydaje się, że świat kończy się na granicach tego miasta, a Polska za rogatkami jest nie tylko rozległa, lecz także często zupełnie inna – mówi Wiktoria Gorodeckaja. Aktorka gra tytułową profilerkę w serialu, którego emisja rozpocznie się 7 września w TVP1

Daleko: od Warszawy

Fot. Materiały prasowe

Z aktorką *Wiktorią Gorodecką* rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jakie znaczenie miało dla pani, że akcja serialu „Profilarka” rozgrywa się na Pojezierzu Augustowskim?

Wiktoria Gorodeckaja: Przed rozpoczęciem zdjęć nigdy nie byłam w Augustowie. Pochodzę z Litwy i kilka razy w roku mijam Suwałki, jadąc w rodzinne strony na święta czy wakacje. W tamtym rejonie przekraczam granicę, ale wcześniej nie zatrzymywałam się na dłużej w okolicach Augustowa. Ucieszyłam się, że będę mogła poznać to miejsce dzięki serialowi. Po miesiącu zdjęć zrozumiałam, dlaczego wybrano właśnie ten rejon.

Dlaczego?

To moja prywatna opinia; ten serial nie jest zrealizowany z myślą o mieszkańcach stolicy. Ludziom żyjącym w Warszawie nierzadko wydaje się, że świat kończy się na granicach tego miasta, a Polska za rogatkami jest nie tylko rozległa, lecz także często zupełnie inna. Cieszę się, że ten serial jest też o ludziach i dla ludzi z mniejszych miejscowości. Piękna sceneria łączy się tu z międzyludzkimi relacjami, plotkami i powiązaniem – kto z kim, dlaczego... Wszystko to wychodzi podczas przesłuchiwań świadków. Poza tym myślę, że wielu Polaków spędzało wakacje na Pojezierzu Augustowskim. I pojawi się odrobina sentymentu w sercu: „O, to jest ten Augustów, te jeziora...”

Urokliwy Augustów z jednej strony, z drugiej klimat pogranicza, który również wpływa na przedstawianą historię i pani bohaterkę. Kim jest bohaterka i dlaczego – także aktorsko – to taka ciekawa postać?

Julia jest połamana przez swoje życiowe doświadczenia. Wcześniej straciła matkę, wychowywała ją ciotka, siostra ojca, i dlatego jej relacja z nim nie jest najłatwiejsza. W dorosłym życiu całkowicie poświęciła się pracy, przez co rozpadło się jej małżeństwo, a syn został z mężem. Jako mamie dwóch córek trudno mi było zrozumieć tę sytuację. Myślę jednak – i to też jest ciekawe w Julii Wigier – że widzę poznając ją



Wiktoria Gorodeckaja na planie serialu „Profilarka”

Fot. Materiały prasowe

w momencie, kiedy w jej życiu wszystko się zmienia. Staje do góry nogami. Spotyka mężczyznę ze swojej przeszłości [kom. Nadzieję gra Michał Czernecki – przyp. red.]. Przed laty oboje byli w związkach, teraz kto wie, czy nie mogliby być razem. Jednocześnie mają do rozwiązania bardzo trudne sprawy i nawzajem się pilnują, pionizują, by sfera prywatna nie przeszkodziła im w pracy. Julia dostaje również szansę zbudowania nowej relacji z synem, ale to też ma swoją cenę. Odsłanianie skrywanych emocji, wewnętrznej kruchości utrudnia jej pracę.

W pani zawodowym doświadczeniu – docenianej aktorki Teatru Narodowego oraz odtwórczyni wyrazistych ról drugiego planu – główna ekranowa postać to zupełnie nowe zadanie?

Jestem bardzo wdzięczna Monice Jordan-Młodzianowskiej, że wybrała mnie do roli Julii. Dzięki niej zdałam sobie sprawę, jak ogromną przyjemnością jest granie głównej roli. Przyjemnością nie ze względu na skupienie uwagi na tej postaci, ale dlatego, że cały czas jesteś na planie. Kiedy przychodzisz na zdjęcia z zadaniem zbudowania postaci drugoplanowej,

musisz w bardzo krótkim czasie zrozumieć, jak pracuje reżyser (bo nagle wchodzisz w proces, który już trwa), jak pracuje ekipa, na co się umówili z odtwórcą głównej roli. Nie możesz przeszkadzać w ich założeniach, w prowadzeniu głównej postaci, a jednocześnie musisz dać coś od siebie, jak najlepiej się zaprezentować, żeby dopełnić opowiadaną historię.

W „Profilerce” inni dostosowywali się do pani?

Nie do końca. Też musiałam być bardzo uważna i skupiona. W serialu sceny mogą być nagrywane niechronologicznie. Jeśli na początku realizujemy ostatnią scenę, muszę pamiętać, w jakim uczuciowym momencie, w jakich relacjach z innymi jest moja bohaterka. A w kryminale takim jak „Profilarka” poza skomplikowaną sferą psychologiczną czy emocjonalną bohaterki dużo się dzieje także w rozwoju intrygi, w postępowaniu śledztwa. Żeby się nie pogubić, miałam w zeszycie rozpisaną każdą scenę: gdzie się o czym dowiaduję, z kim o tym rozmawiam itd. Dzięki temu wiedziałam, że w danym momencie Julia wie o tym i o tym, ale jeszcze nie o tamtym.

Teraz rozumiem, dlaczego reżyserka mówi, że jest pani tak niezwykle precyzyjna.

[Śmiech.] Dla mnie było to bardzo ważne, żeby sytuacje, reakcje, emocje czy wnioski logicznie po sobie następowały.

Prywatnie lubi pani kryminały?

Nie, nie czytam ich. Ale myślę, że ogromną zaletą „Profilerki” jest wiele pozakryminalnych wątków i niuansów. Jeśli chodzi o lekturę, to ostatnio czytałam „Harry’ego Pottera”, ponieważ obiecałam córce wyjazd do Londynu. Żeby być na bieżąco i wiedzieć, gdzie np. jest peron 9 i 3/4, sięgnęłam po tę książkę. Przyznaję, wciągnęła mnie.

Słyszałam, że ze starszą córką wybrała się też pani do Wilna.

Pojechaliśmy na festiwal tradycyjnej muzyki litewskiej, słynne sutartinės (charakterystyczny dla kultury litewskiej wielogłos). Chciałam pokazać Ninie to, z czego wyrosłam, co mnie kształtowało i nadal we mnie jest.

Kiedy jako 18-latką opuszczała pani rodzinny Poniewież, mówiła pani tylko po litewsku i rosyjsku. Trudno dziś w to uwierzyć.

Jadąc do mamy, która od jakiegoś czasu pracowała w Polsce, nie planowałam dłuższego pobytu, ale zostałam. Na Litwie skończyłam szkołę muzyczną. W Warszawie po różnych perypetiach trafiłam najpierw do Szkoły Aktorskiej Haliny i Jana Machulskich, a potem na Wydział Aktorski warszawskiej Akademii Teatralnej [2009 to rok ukończenia studiów i początek trwającego do dziś angażu w Teatrze Narodowym – przyp. red.]. Żeby nauczyć się mówić po polsku, i to bez akcentu, bardzo długo porozumiewałam się tylko w tym języku. Nawet ze swoją mamą. Teraz kiedy jadę na Litwę, potrzebuję chwili, żeby przełączyć się na litewski.

Dla serialowej Julii Wigier poświęciła pani charakterystyczne rude włosy. Jak się pani z tym czuje?

To był warunek i cieszę się, że powiedziałam „tak”. Sama bym się nie od-

ważyła, a dzięki tej przemianie mam wrażenie, że rozpoczęłam inny etap. Może troszkę złagodniałam. Przede wszystkim jednak seryjny morderca, który zaczął grasować na przepięknym Pojezierzu Augustowskim, gustował w blondynkach, więc nie było zmiłuj.

Poza „Profilerką” możemy panią oglądać w serialowej wersji filmu, który otworzył ubiegło-

roczny festiwal filmowy w Gdyni – „Doppelganger. Sobowtór” Jana Holoubka, a także w walczącej o tegoroczne Złote Lwy „Białej odwadze” Marcina Koszałki. Gdzie jeszcze?

Jesienią na Netfliksie będzie miał premierę film Michała Gazdy „Napad”. Gram w nim policjantkę, która wspólnie z policjantem granym przez Olafa Lubaszenkę próbuje rozwiązać sprawę napadu na bank. 

Pół wieku po „Potopie”

2 września 2024 r. mija pół wieku od prapremiery jednej z największych produkcji w dziejach polskiego kina – nagrodzonego Złotymi Lwami i nominowanego do Oscara (w kategorii film nieanglojęzyczny) „Potopu” Jerzego Hoffmana.

Zdjęcia realizowano przez 535 dni, od 1971 r. do maja 1973 r. Nakręcony materiał liczył ponad 20 godzin. Ekipa przemieszczała się po terenie Polski i ówczesnego Związku Radzieckiego. Od litewskich Wodoktów przez Mińsk i Kijów po Kraków i Zakopane. Zajmowała lokalizacje, o których dziś nikt nie śmiałby marzyć. I tak m.in. Wawel grał zamek w Kiejdanach. Filmowcy dostali też zgodę na wejście do klasztoru na Jasnej Górze.

„W tamtym czasie były dwa rodzaje pieniądza” – wspominał na tegorocznym spotkaniu z widzami reżyser. „Rzeczy osiągalne kupowało się za złotówki. Mogliśmy dostać tysiące statystów i uszyć tysiące kostiumów, zlecić zrobienie kilkudziesięciu armat i setek muszketów. To było za złotówki. Gaże aktorów oczywiście też. Ale taśma i obiektywy były za dewizy. Wszędzie na świecie najtańsza była taśma, a u nas na odwrót: praca ludzka. W związku z powyższym robiło się tzw. montaż wewnętrzzkadowy, czyli długie ujęcia, jazdy kamery. Aktorzy próbowali czasami dzień, dwa. Na trzeci dopiero realizowane były zdjęcia. Jedno ujęcie mogło mieć nawet ponad 200 m, czyli ok. 4 min. To dawało aktorowi możliwość rozegrania sceny, stworzenia plastycznej sytuacji, ale potem ciąć to... na to trzeba było mieć »kocie oko«” – komentował Hoffman, nawiązując do powstania – równo dekadę temu – skróconej do 185 min wersji filmu zatytułowanej „Potop Redivivus”. Montażu pod okiem reżysera dokonał Marcin „Kot” Bastkowski.

Cztery dekady wcześniej do kin trafił podzielony na dwie części ponadpięciogodzinny film. Część pierwsza miała premierę 2 września, druga – 10 października. „Potop” AD 1974 kosztował ponad 100 mln ówczesnych złotych. Rozmach produkcji oszałamiał i budził podejrzliwość. W połowie zdjęć, gdy wydano już 40 mln zł, Jerzy Kawalerowicz, ówczesny szef zespołu Kadr, poprosił o wgląd do materiałów filmowych. Po ich obejrzeniu (bardzo mu się nie spodobały) wymusił na Hoffmannie podpisanie oświadczenia, że bierze on pełną artystyczną i ekonomiczną odpowiedzialność za realizację. „Było wiadomo, że w razie wpadki to będzie moje ostatnie kino w życiu” – wspominał reżyser „Potopu”.

Tymczasem film – z gwiazdorskimi rolami Daniela Olbrychskiego, Małgorzaty Braunek, Tadeusza Łomnickiego, Kazimierza Wichniarza i wielu innych – zebrał znakomite recenzje. W kinach obejrzało go 27,5 mln ludzi. Nikt nie próbował policzyć widzów, do których dotarł dzięki innym nośnikom. (JGZ)



Grzech osoczem kultury

Matka Greta Thunberg: „Moja córka potrafi gołym okiem zobaczyć dwutlenek węgla”. Uwierzyć?

Świat bez religii staje się coraz mniej racjonalny. Co jest przyjmowane ze zdziwieniem przez współczesne areopagi, nie wpływając jednak na zmianę ich głównego, liczącego trzy stulecia planu. Oświeceniowy dogmat głosił, że w miejsce chrześcijaństwa pojawi się nowa, racjonalna, świecka kultura. W rzeczywistości powstał konfliktogenny konglomerat pseudonauki, teorii spiskowych, skomercjalizowanego ezoteryzmu i ideologicznych postmarksistowskich narracji.

Prof. Magdalena Środa: „Nie mamy ani jednej cechy genetycznej ani fizjologicznej, ani medycznej, która by jednoznacznie decydowała, kto jest mężczyzną, a kto kobietą”. Agnieszka Szpila: „Biały heteronormatywny ochrzczonej Polak szkodzi planecie”. Naukowcy Instytutu Matematycznego Rosyjskiej Akademii Nauk: „Słowa o wysokiej vibracji ożywają martwe komórki”.

I nie wiem, co bardziej irracjonalne, kompulsywny panseksualizm, bestializacja człowieka i uczłowieczanie zwierząt czy postmodernistyczne zaprzeczenie istnienia prawdy obiektywnej. A może sakralna koncepcja Matki Ziemi, a tym samym ludzkości jako śmiercionośnej pleśni, której należy się pozbyć, czy też myśl, że na ludzki los można wpłynąć, zmieniając ustawienie mebli?

Co jest trudniejsze do wyobrażenia? Autorytet uniwersytecki, który twierdzi, że niska jakość nauczania bierze się z nieustannego zderzania ucznia z „irytującą kompetencją nauczyciela” czy twierdzenie, iż „poznanie naszego eterycznego sobowtóra daje nam wyjątkową szansę na wyzwolenie się z lęków związanych ze śmiercią”? A może wieść z jednego z portali informacyjnych: „Działacze LGBT

zebrali ponad 5 tys. złotych dla krowy, która czuje się bykiem. Ekspert: Rolnik dobrze zarobił na debilach”.

Skąd ta kapitulacja rozumu? Ten tryumf irracjonalizmu? Najistotniejszą przyczyną nowożytnych procesów kulturowych i społecznych jest instytucjonalizacja grzechu. W czasach renesansu kulturę w miejsce mnichów zaczęli hierarchizować intelektualiści, którzy zamiast Boga siebie uczynili miarą wszystkich rzeczy. Nie krępowani realistycznym kryterium prawdy ani sumieniem nowożytni filozofowie i moralisci zażądali powszechnej akceptacji swoich słabości. Kolejnym krokiem była eliminacja normy, bo ta oskarża.

Egoizm umościł się na tronie. Nic więc dziwnego, że fałszywa oświeceniowa antropologia jest owocem również tego, że twórcy oświeceniowego racjonalizmu nie doświadczali prawdziwego życia rodzinnego. Kartezjusz nie miał dzieci, tak samo główni myśliciele oświecenia: Hobbes, Locke, Spinoza czy Kant. Rousseau miał dzieci, ale wszystkie oddał do adopcji.

W tę samą pułapkę chętnie wpadają dzisiejsi agitatorzy ruchu gender, ideologii LGBT+ i feminizmu trzeciej fali, zachęcający młodych ludzi do oparcia swojego życia na najbardziej niedojrzałych tendencjach i redukcję własnego „ja” do seksualnych zachcianek. Uwielbienie przypadkowego hedonistycznego i egocentrycznego seksu nie jest afirmacją miłości. Nie prowadzi do tworzenia więzi. A bez rodziny nie może istnieć zdrowe społeczeństwo.

Fałszywa oświeceniowa antropologia w XX w. trafiła pod strzechy. Co precyzyjniej może opisywać stan współczesnych społeczeństw jak nie liczba rozwodów? W czołówce Portugalia: 94 proc. i Hiszpania: 85 proc., potem reszta krajów Zachodu, od Luksemburga: 79 proc., przez Finlandię, Belgię, Francję, Szwecję,



ROBERT TEKIELI

Niderlandy, Kanadę, Włochy po Danie: 46 proc., w tej samej grupie trzy najbardziej zniszczone przez komunizm kraje Trzeciego Świata: Rosja, Kuba i Ukraina. Na drugim biegunie Indie: 1 proc., Wietnam: 7 proc., Tadżykistan, Iran i Egipt, państwa, w których religia w dalszym ciągu odgrywa konstytutywną rolę dla społeczeństw.

W Polsce rozpada się tylko 33 proc. małżeństw, więc promotorzy kultury, której grzech jest osoczem, dalej ciężko pracują: „Lubię być kochanką. Rozbiłam trzy rodziny i wcale nie żałuję”. „Przerwa na masturbację w pracy? Niektóre firmy to wprowadzają”. „Nikt mnie nie może zmusić do tego, żebym zajęła się chorą matką”. „Dwa plus psiecko. Nie mają ludzkich dzieci, za to mają »dzieci« psie. Nigdy nie jesteśmy Figą zmęczeni”. A w miejsce moralności jest podsuwana moralność alternatywna: „Czy rodzic dziecko w świecie skazanym na zagładę? W świecie, w którym ślad węglowy stał się codziennością, a jego kalkulatory narzędziem do mierzenia indywidualnej winy?”.

W Polsce politycy walczą z religią oraz z inną formą miłości – patriotyzmem. Historię piszą nam Niemcy, świat płonie, przez przekop „woda z Wisły ucieknie do morza i będzie susza”. A na UW „wykład wygłosił Sybil Grzybowski, student filologii klasycznej Uniwersytetu Wrocławskiego, aktywistę queerowe, członek Rady Języka Neutralnego, autorze Słownika Neutratywów Języka Polskiego”. Nie dajmy się zwieść – to nie głupota, to metoda.

WOJNA

CYWILIZACJI

Warte Tego roku urodził się Pablo Picasso i Władysław Sikorski, w Krakowie powstało Koło Geografów UJ, w Europie uruchomiono pierwszy tramwaj elektryczny, a w Ameryce Północnej pierwsze międzynarodowe połączenie telefoniczne, Mahdi wzniecił pierwsze udane powstanie przeciwko europejskim kolonizatorom, niektórzy chirurdzy zaczęli myć ręce przed operacją, a 14-letni Józef Piłsudski przystępował do konspiracji. Również w 1881 r. w amerykańskim magazynie satyrycznym „Puck” pojawiły się pierwsze emotikony, Pat Garrett zastrzelił Billy’ego Kida, a w O.K. Corral w Tombstone miała miejsce najsłynniejsza strzelanina w dziejach Dzikiego Zachodu.

Sześcioodcinkowy miniseriał „**Wyatt Earp i wojna kowbojów**” jest doskonale zrealizowaną, nieźle wyreżyserowaną aktorską rekonstrukcją wydarzeń, które stały się jednym z kluczowych epizodów amerykańskiej mitologii. W dokumencie świetnie ukazano metody manipulowania opinią publiczną, dzięki którym w jeden dzień stróżowie prawa stawali się mordercami, a bandyci niewinnymi ofiarami. W tle groźba kolejnego starcia dwóch Ameryk, odnowienia konfliktu konfederatów z jankesami – wojna secesyjna zakończyła się ledwie kilkanaście lat wcześniej.

Umiejętnie zarysowano też polityczne i ekonomiczne wątki dramatu: po wygaszeniu konfliktu, który zaowocował słynną na cały świat strzelaniną w Tombstone, J.P. Morgan mógł ogłosić, że w Ameryce da się bezpiecznie robić interesy i zebrał wreszcie inwestorów w Europie, by skupić w swoim ręku całą sieć kolejową w USA, czyniąc ją krwiobiegiem systemu przemysłowego, doprowadzając tym samym do wielkiego skoku zamożności kraju. Nowe linie kolejowe oprócz ludzi i surowców dowoziły na skolonizowane ziemie również prawo i sprawiedliwość. Ochronę państwa dla zwykłego obywatela oraz te same obowiązki i prawa dla wszystkich. To właśnie był koniec Dzikiego Zachodu.

Warte Ukazały się właśnie reżyserskie wersje dwóch części „**Rebel Moon**” Zacka Snydera. To zadziwiające, że reżyserzy są w stanie zgadzać się na tak daleko idącą kastrację swych dzieł, bo niczym innym nie były produkcyjne wersje tej space opery. Napiszę to jasno: nawet mimo komiksowej stylizacji otwierająca sekwencja reżyserskiej wersji pierwszej części „**Rebel Moon**” jest wstrząsająca. Dalej

nie jest już co prawda tak wspaniale, ale dostaliśmy dwa solidne filmy pełne seksu i niczym nieskrępowanej przemocy. By wyrazić się podkreślić, że mamy do czynienia z nową jakością, wersje reżyserskie noszą nowe tytuły – „Czarna krew” oraz „Kłątwa przebaczenia”. Zabierają w sumie sporo, ponad sześć godzin przed ekranem, ale nie żałowałem.

Na pewno pod powiekami zostanie mi powoli odsłaniany potężny obraz ujarzmionego bóstwa. Zgwałconej bogini, która stała się częścią napędu kosmicznego pancernika niosącego w imieniu imperium śmierć po całym wszechświecie. Rozumiem, że to feministyczny, więc fałszywy, symboliczny obraz świata, ale jest to obraz potężny. I potrafię docenić formalną wielkość tego fałszu.

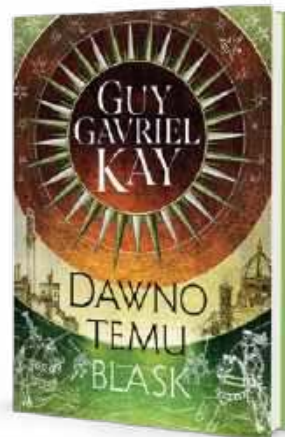
Warte „**Dawno temu. Blask**” to bardzo przyzwoita literatura. Z pełnymi głębi psychologicznej postaciami bardzo zróżnicowanych społecznie i mentalnie bohaterów. Z najlepszym ze znanych mi literackich opisów głupoty. Głupoty uświadomionej i w końcu przezwyciężonej.

Powieść snuje swego rodzaju historię alternatywną. Akcja toczy się w fikcyjnej krainie bardzo podobnej do apenińskiej mozaiki wchodzących w czasy renesansu miast państw. Właśnie upada Miasto Miast, położona daleko na wschodzie siedziba cesarzy zdobyta przez agresywnych innowierców. Realia niby są nam znane, ale religią panującą w tym uniwersum jest kult Słońca, nie chrześcijaństwo. Guy Gavriel Kay, autor, nie wprowadza do swej prozy motywów magicznych, potworów czy smoków. To zwyczajny świat: książęta, kondotierzy, uzdrowiciele, pałace, chaty, domy publiczne i nieustające wojny pełne spisków, zemst, intryg, zdrad i przebiegłości. Głównym bohaterem jest Guidanio Cerra, syn krawca, który ociera się o wielką politykę, a potem w niej uczestniczy.

Pisarz fascynuje się wpływem przypadku na ludzki los czy konsekwencjami decyzji podjętej pod wpływem impulsu, która zmienia całe życie. Najważniejszym polem do refleksji w tej prozie jest kwestia przemijania i pamięci.

Powieść zaczyna się ostro, od morderstwa i kastracji jednego z lokalnych władców, sadysty i zbrodniarza, jednak fabuła wcale nie goni na łeb, na szyję. Autor postawił na klimat, dobrą opowieść, refleksję, a czytelnik absolutnie się nie nudzi.

Robert Tekieli



Burza nad Splitem

Na początku sierpnia Chorwacja świętuje Dzień Zwycięstwa upamiętniający sukces operacji „Oluja” („Burza”), która w 1995 r. doprowadziła do wyparcia wojsk serbskich z Krajiny. Przez wiele lat świętu towarzyszyły wielkie plenerowe koncerty Marka Perkovica „Thompsona”, największej gwiazdy chorwackiej popkultury. On sam jako ochotnik również nosił karabin, stąd jego sceniczny pseudonim nawiązujący do słynnego pistoletu maszynowego.

Byłem kiedyś na jednym z takich koncertów na nadmorskiej promenadzie w Splicie. Poza chóralnymi śpiewami tysięcy ludzi w blasku zapalonych flar i powiewających flag świąteczne widowisko uderzało potężną siłą, radością i poczuciem narodowej wspólnoty. Tym razem zagrał w Imotskim i Dugopolju pod Splitem, a 60 tys. biletów sprzedało się na pniu. Występy te były bowiem bardzo oczekiwane, gdyż ze względu na chorobę syna „Thompson” zamilkł na dwa lata. Jednak zarówno rodzina, jak i publiczność zachęcili go do powrotu, tym bardziej że sytuacja społeczno-kulturowa, w jakiej również znalazła się Chorwacja, wymaga, by przemówił w ich imieniu. „Thompson” z grupą Hrvatske Ruže uczynił to przejmującą i przebojową piosenką „Ako ne znaš šta je bilo” („Jeśli nie wiesz, co się stało”). Młodych Chorwatów, urodzonych w czasach wolności, pyta o to, czy usłyszą „cudze kroki na schodach domu” i dostrzegą moment, gdy ktoś przyjdzie im ją odebrać. Wszystko dopełnia pełen symboliki klip łączący archiwalne zdjęcia z ujęciami w kanionie Čikola czy na cmentarzu w Vukovarze.

Kariera Perkovica, pieśniarza rockmana z medalionem św. Benedykta na szyi, zaczęła się właśnie w Imotskim, gdzie w 1991 r. dał swój pierwszy koncert, śpiewając słynną pieśń „Bojna Čavoglave”. Utwór otwiera głośnie wojenne wezwanie: „Za dom – spremni!”. Sam Perkovic jak wielu ochotników z lat 90. nawiązuje nim do tradycji ustaszków, podobnie jak dziś Ukraińcy odwołują się do UPA i OUN. W Chorwacji ta symbolika jest ścigana prawnie i piętnowana przez establishment chcący raz na zawsze porzucić niewygodne historyczne kostiumy. Na koncert zareagował nawet lewicowy prezydent Milanović, pouczając, że „w dzisiejszej Chorwacji nie powinno być miejsca na ustaszy”, na co ekipa „Thompsona” odpowiedziała, że nie przestanie gloryfikować symboli i bohaterów niepodległości państwa, którego „niestety jest on obecnie prezydentem”. Jak widać, liberalno-lewicową międzynarodówkę w każdym kraju łączy ślepa nienawiść do własnej ojczyzny.



Maciej Walaszczyk

Ta reporterska i intymna biografia Stanisława Ignacego Witkiewicza powstała dopiero na początku lat 90. Wcześniej

niestety nikt nie kwapił się do jej napisania. Teraz otrzymujemy wznowienie tej znakomitej książki uzupełnione o fotografie i kilka nowych rozdziałów. Autorka zebrała w niej relacje ludzi kochanych przez Witkacego, dalszych i bliższych krewnych, znajomych i ich znajomych, układając je w orbitujące wokół jego postaci konstelacje. Uczyniła to w ostatniej chwili, gdy wielu z nich dopadała starość. To m.in. wdowa po Witkacym Jadwiga Witkiewiczowa, jego kuzynki, przyjaciele i kochanki, jak Czesława Okrńska, odratowana towarzyszka samobójczej próby. Co ciekawe, poznali się w mieszkaniu masona Andrzeja Struga, gdzie portretował jego żonę Nelly.

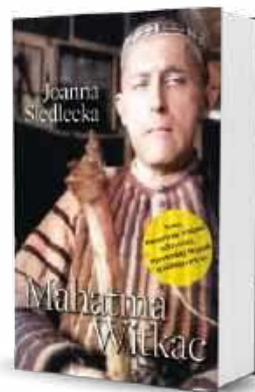
Ten reporterski portret przekracza nieco Witkiewiczowską klasyfikację typu B – jest „charakterystyczny”, „bez cienia karykatury” i „obiektywny”, choć „spotęgowany psychologicznie”. Odsłania bowiem człowieka tragicznego, wrażliwego, cierpiącego i samotnego, bo lekceważonego przez współczesnych i, jak przekonuje autorka, „błazeństwem zagłuszającego swój dramat”. Jego groteskowy teatr wyprzedził przecież Ionesco, poczucie samotności i beznadziejności istnienia, egzystencjalizm Sartre’a i Heideggera, a profetyczne wizje przyszłości Orwella i Huxleya. Portretami, czyli „braniem na aparat” i „wydłubywaniem mord”, udowadniał też

Portret typu B

swoją wyjątkową psychologiczną intuicję. Niestety bliscy nie zauważyli, że mieli obok siebie tak ciekawego człowieka. Niewielu też miało ochotę na jego zdeformowane wizje, co zresztą tłumaczy decyzję niezainteresowanych nimi właścicieli zakopiańskiej Witkiewiczówki, którzy wiele obrazów pozostawili w niej na pastwę losu.

Witkacy wieszczyl zagładę Europy. Przemoc, okrucieństwo, głód i nędzę, które zobaczył w Piotrogradzie podczas rewolucji, władzę tłumy „rozpuszczającą człowieka niczym cukier”, tchnęły w niego absolutny pesymizm. To tam nauczył się brać kokainę, a o tym, co widział, nie chciał rozmawiać. „Gdyby książd znalazł się w piekle i cudem stamtąd wyszedł, czy chciałby potem o tym mówić?” – wyznał kiedyś jednemu z zakopiańskich proboszczów. „Myślałam, że Witkac skończył, jak żył, a teraz widzę, że wcale nie był »szalony«” – stwierdziła po latach Wally Pawlikowska.

Joanna Siedlecka, „Mahatma Witkac”, Fronda 2024



Fot. Boško Čosić, materiały prasowe

Polityka Apokalipsy

Mrzonki o „tysiącletnim królestwie” to stara herezja. Ożywa u chrześcijańskich reformatorów, w lewicowych utopiach czy wierze w postęp naukowo-techniczny. W „Imagine” Lennona tym bardziej

Wyzwolenie ciała z ciężaru doczesności, zbawienie przez postęp naukowo-techniczny, reformy społeczne czy medycynę to czysty materializm. Ale przecież ideę postępu, będącą zsekularyzowaną nadzieją na lepszą przyszłość – jak przypominają redaktorzy pisma „Kronos” – zrodziło chrześcijaństwo, rozciągając ją z czasem na całą ludzkość. „To biblijni prorocy i Ojcowie Kościoła podarowali zachodniej myśli idee sensu historii, jedności rodzaju ludzkiego, postępu i społecznego wymiaru eschatologii” – tłumaczy Rafał Tichy. Opowiada o tym najnowszy numer kwartalnika, przedstawiając myśl poprzedników żyjącego w XII w. Joachima z Fiore. Grunt dla jego doktryny, nazwanej przez Erica Voegelina polityczną gnozą, przygotowali m.in. Rupert z Deutz, Honoriusz z Autun czy Anzelm z Havelbergu, wprowadzając do średniowiecznej myśli załączki tych „wywrotowych” idei.

Joachim podzielił dzieje na trzy epoki: Ojca, Syna i Ducha, i właśnie w tej ostatniej, po zabiciu Antychrysta, ale przed ostatecznym powrotem Chrystusa, ma nastąpić okres doskonałego pokoju i społecznej harmonii, doczesnego i pozytywnego spełnienia dziejów – czas „wytnienia świętych”. Rozwój tej apokaliptycznej idei przybliży Robert E. Lerner, tłumacząc, że w swojej pierwotnej, sybilińskiej formie zaistniała na chrześcijańskim Wschodzie, by potem za sprawą św. Hieronima ujawnić się też Zachodowi. Niestety jego komentarz do Księgi Daniela, mający położyć kres literalnemu odczytywaniu Apokalipsy i mrzonkom o „tysiącletnim królestwie”, nieświadomie otworzył tylne drzwi jego zwolennikom. Poznajemy więc całą panoramę „reformatorów” i kaznodziejów wieszczących nastanie epoki powszechnej szczęśliwości. Najsłynniejszym z nich okazał się Joachim, którego idea postępu obalała pełną pesymizmu koncepcję św. Augustyna, dla którego skażony ludzką egzystencją świat nie ma szans na wyzwolenie się z tego stanu, odrzucając również rozumienie pochodzącej z Apokalipsy wizji tysiącletniego królestwa Chrystusa jako przyszłego królestwa na ziemi. Choć i on dokonywał radykalnej zmiany politycznej.

Upadek Rzymu pod ciosami barbarzyńców skłaniał go do zadawania niestawianych dotąd pytań historyzoficznych. Człowiek przednowożytny postrzegał swoje dzieje jako odnawiający się w kołowym wiecznym cyklu dziejów, nie postrzegając historii jako miejsca przeznaczenia ludzkości. Augustyn rozrywa więc koła wiecznych powrotów, twierdząc, że nigdy nie mogłyby

w nich zajść niepowtarzalne wydarzenia przesądzające o ostatecznym celu człowieka, takie jak przymierze Boga z Abrahamem czy zbawcza męka Chrystusa. Pojawia się także model historyczny – Bóg jest panem dziejów, a jego władza rozciąga się na ich całość.

Myśl millenarystów odżywała jednak w kolejnych wiekach, i to ze zdwojoną siłą. Najpierw u franciszkańskich spirytualistów, dulcynian, husytów czy w chłopskiej rewolcie Thomasa Müntzera, by w końcu zaistnieć na gruncie filozofii nowożytnej w myśli Lessinga, Hegla (także Fukuyamy) i Marksa. Stoi ona też za oświeceniowym projektem wychowania rodzaju ludzkiego, utopiami socjalistycznymi i komunizmem. Dziś odżywa w myśli transhumanistycznej, wieszczącej, że nieuchronny postęp technologiczny doprowadzi ludzkość do przekroczenia biologicznych uwarunkowań jej własnej natury.

Na marginesie pragnę uzupełnić te przykłady. Znana jest nam popularna w Rosji millenarystyczna doktryna Moskwy jako trzeciego Rzymu. Ale jednym z komponentów dzisiejszej polityki Stanów Zjednoczonych jest apokaliptyczny z ducha protestancki syjonizm z sektami premillenarystów, dyspensjonalistów czy armagedonistów. To kopia tej samej Joachimowej wizji, w której Chrystus najpierw zainterweniuje, a potem „porwie” do nieba wybranych „świętych”, po czym Żydzi uwierzą w jego boskość, a narody świata wystąpią przeciw Izraelowi. Wtedy wszystko rozstrzygnie się w apokaliptycznej bitwie na polach Armagedonu, a on powróci, by przez tysiąc lat rządzić światem z tronu Dawida. Miliony ludzi w USA są przekonane, że ich działalność polityczna przybliża taki scenariusz. „Bóg to jest nasz ostatni”, a może, jak chciał Lennon: „Wyobraź sobie wszystkich ludzi żyjących w pokoju”.

„Kronos” 2024, nr 68, Fundacja hr. A. Cieszkowskiego



Bananowiec w Nowej Hucie

Tego lata najbardziej zaskoczył mnie widok bananowca rosnącego w ogrodzie koło domku jednorodzinnego w krakowskiej Nowej Hucie



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Mógłby być to okaz jednoroczny, który wyrósł w ciągu tego sezonu, mogłaby to być roślina wkopana po zimie do ziemi. Być może tak było. Jednak zgłębiając temat bananowców w polskich ogrodach, trafiłem na odmiany, które, przynajmniej w cieplejszych okolicach, mogą rosnąć w Polsce przez cały rok. Mroźniejsza zima, która prędzej czy później się trafi, na pewno wymrozi bananowca. Jednak jest to rzecz zadziwiająca, która do niedawna nie tylko nikomu nie przysłaby do głowy, ale byłaby niemożliwa ze względu na warunki klimatyczne.

Na wstępie zaznaczę, że sprowadzanie gatunków z innych rejonów świata, a przede wszystkim ich rozpowszechnianie i pozostawianie bez kontroli, jest obecnie jednym z głównych zagrożeń

dla różnorodności przyrodniczej na globie. Pamiętajmy: ze 100 zawleczonych gatunków 10 się przyjmie i przeżyje, a 1 stanie się inwazyjnym zagrożeniem niszczącym lokalną przyrodę, niekiedy bezpowrotnie. Bananowiec wydaje się ciekawym egzotem. I póki co nim jest. Tak jak w alpejskich dolinach, tych opadających w kierunku śródziemnomorskim, intrygujące były palmy, dopóki nie zaczęły się rozrastać i utrudniać odnawiania się tamtejszych drzew.

Procesy przyrodnicze, zmiany i wędrówki gatunków zachodzą jednak również bez naszego udziału. Czego możemy się spodziewać w ciągu kilku, kilkunastu lat?

CZERWONAK JAK CZAPLA

Jeszcze do lat 90. XX w. czapla biała była w Polsce absolutną rzadkością. Lęgi tego gatunku w naszym kraju nikomu nie przyszłyby do głowy, samo pojawienie się jej wzbudzało sensację. Zmiany zaszły szybko, raczej skokowo niż stopniowo. Pamiętam pierwsze stadko widziane nad Biebrzą. Był to też pierwszy rok gniazdowania czapli białych w tym parku narodowym.

Obecnie w wielu miejscach w Polsce czaple białe nie tylko regularnie przystępują do lęgów, lecz także lokalnie bywają liczniejsze od czapli siwych, tradycyjnie i od tysiącleci obecnych w naszym ekosystemie.

Podobne procesy zachodzą coraz szybciej. Wielobarwna żółń to ornitologiczny rarytas kopiący nory w lessowych skarpach. Jest gatunkiem południowoeuropejskim, w Polsce pokolenia obserwatorów ptaków знаły kolonie lęgowe, które można było policzyć przy użyciu jednej ręki, i to nie używając wszystkich jej palców. Od kilku lat te piękne ptaki zakładają nory i pojawiają się w nowych rejonach. Wciąż są rzadkie, lecz ich widok i charakterystyczny głos wśród „pól wyłaczanych pszenicą” dziwi coraz mniej. Ten proces widać nie tylko w Polsce. Podczas tegorocznych wakacji, tankując na czeskim Orlenie, przyglądałem się stadku ptaków, które początkowo ze względu na melodyjność głosów wziąłem za szpaki, a które okazały się właśnie żółniami.

Nie wspominam tu o wielu mniejszych gatunkach, ale czy za jakiś czas flaming,

ibis kasztanowaty czy sęp płowy (który notabene kiedyś już gnieździł się w Polsce), żyjące wcale nie tak daleko od naszych południowych granic, nie staną się stałym elementem naszej fauny? Czy karmienie pelikanów różowych nad Wisłą będzie równie naturalne, jak obecnie karmienie łabędzi? Nie jest to nierealne, biorąc pod uwagę, że łabędzie, tak teraz liczne, 100 lat temu były w Polsce niemal niespotykane. A pelikany różowe mają kolonie lęgowe w delcie Dunaju, całkiem blisko nas.

JEŻOZWIERZ W WAŁACH

„Jeżozwierz w wałach” brzmi trochę jak okrzyk z „Trylogii”, ostrzegający przed napastnikiem, który wdarł się do obozu. Jeżozwierz jest gatunkiem afrykańskim, który poszerza swój zasięg w południowej Europie. Bardzo oryginalny, pokryty długimi czarno-białymi kolcami, którymi potrafi strzelać na odległość i które po wbiciu bardzo trudno wyciągnąć.

Jeżozwierze, gryzonie mogące osiągać masę dwudziestu paru kilogramów, kopią nory. Duże nory. Jak opowiadał znajomy Włoch Fabio, w Italii lokalnie są tak liczne, że ich prace powodują rozmywanie i rozpadanie się wałów.

Wiosną br. okazało się, że tajemniczym zwierzęciem grasującym od dwóch lat na Podlasiu jest właśnie jeżozwierz. Żył w zimnym zakątku Polski dzięki głębokiej norze, którą wkopał się w ziemię. Przyszedł najprawdopodobniej z Litwy. Być może uciekł z czyjejś hodowli. Kto wie jednak, czy dopisanie jeżozwierza do listy fauny Polski nie jest kwestią czasu.

Podobnie rzecz ma się z szakalami. O ile inne drapieżniki: północnoamerykańskie szopy pracje i jenoty z dalekiej Azji zostały przywiezione do hodowli w Europie, skąd następnie wymknęły się, o tyle szakale złociste wydają się rozprzestrzeniać samorzutnie.

Szakał złocisty pochodzi z Azji. Wyjątkowo małe populacje występowały też na krańcach południowo-wschodniej Europy, co stanowiło niewątpliwą ciekawostkę zoologiczną i powiew egzotyki. Później pojawiły się informacje o szakalach złocistych, które zasiedliły węgierską pusztę. Z początku, czytając takie notatki, miało się nieodparte wrażenie, że doszło do pomyłki. Szakał, zwierzę, na które

w głębi egipskich pustyń polował Staś Tarkowski, żyje na Węgrzech?

Afryka, Bałkany, Węgry... Aktualnie obserwacje szakali w Polsce, co interesujące, docierających do nas z ominięciem łuku Karpat od północnego zachodu, z Niemiec, są ciekawe, ale już wcale nie zaskakujące.

Być może następna będzie żeneta. To afrykańskie zwierzę należące do łaszowatych (z wyglądu przypomina wielką cętkowaną kotokunę), które już setki lat temu pojawiło się na Półwyspie Iberyjskim i południu Francji, zaczęło przesuwac się na północ.

A może mangusta, nazywana też ichneumonem lub szczurem faraonów, która też już jest obecna na kontynencie europejskim?



CISY, DUDKI ORAZ BLUSZCZ

Zmiany klimatu mogą też skutkować polepszaniem się warunków dla gatunków zawsze obecnych w Polsce, lecz dawniej niezbyt licznych. Np. dla cisów lubiących łagodne zimy. Przyczyną zmniejszenia się ich liczebności w polskich lasach było oczywiście pozyskiwanie ich dla drewna, świetnego na łuki, a także oziębienie, które nastąpiło po średniowiecznym optimum klimatycznym. Teraz może się to zmienić. Takie zjawisko jest od jakiegoś czasu obserwowane u bluszcza pospolitego. Wcale nie tak

dawno temu był on w Polsce rośliną rzadką. Później liczba stanowisk bluszcza wyraźnie wzrosła, jednak nadal tylko wyjątkowo widywało się okazy owocujące. Obecnie nawet one spotykane są wcale nierzadko.

Mroźne, długie zimy były (oprócz ubywania dziuplastych wierzb) czynnikiem limitującym liczebność małych, nakrapianych, żółtookich sów pójdziek. Podobnie jak mokre, deszczowe lata były powodem nierozwijania się zarodków w jajach żółwi błotnych. Te zwierzęta zakopują jaja w piasku, który musi mieć odpowiednią temperaturę w czasie inkubacji, aby młode miały szansę się wylęgnąć. Zimno nie sprzyjało też ciepłolubnym węzom Eskulapa. Czy proces zwiększania się ich liczebności już się rozpoczął?

PLANTACJE OLIVEK

Zmiany klimatu mogą przyczyniać się do zwiększania liczebności gatunków dotychczas rzadkich albo pojawienia nowych. Oba te procesy, oprócz tego, że przyglądanie się im jest zajmujące, mogą być szansą i zagrożeniem. Wymagają obserwacji, badania, poznawania, prognozowania. Już obecnie, przynajmniej w przypadku części lasów, musimy dążyć do zmiany, czy też modyfikacji, ich składu gatunkowego, oczywiście w sposób bardzo przemyślany i zgodny z naszymi warunkowaniami przyrodniczymi, żeby za jakiś czas nie stanąć wobec problemu ich wielkopowierzchniowego zamierania.

Musimy przewidywać, czy pojawienie się papugi aleksandretty obrożnej będzie tylko ciekawostką czy zagrożeniem, jeżeli wypierałaby miejscowe gatunki ptaków lub nadmiernie rozmnożona rzuciłaby się na uprawy. Rolnictwo to zresztą kolejna wielka dziedzina, która wymaga trzymania ręki na pulsie, badań i dostosowywania się do zmian.

Przy okazji – jeżeli ktoś chciałby zainwestować w wyprzedzeniem, może warto zastanowić się nad plantacją oliwek? Skoro niektóre odmiany rosną w Hiszpanii w rejonach, gdzie co roku jest śnieg i temperatury poniżej zera? Może to mrzonka... A co by powiedziano kilkadziesiąt lat temu o pomysle zakładania w Polsce winnic – nie hobbystycznie i na małą skalę w ogródku, lecz o wielkiej powierzchni, nastawionych na coroczne, obfite plony i realny zysk?





MAŁGORZATA OSTROWSKA

WOKALISTKA

Lato zamknięte w słoikach

Trwają nagrania do 6. edycji muzycznego talent show „The Voice Senior”. W nowym trenerskim gronie oprócz Tatiany Okupnik, Roberta Janowskiego i Andrzeja Piasecznego znalazła się też Małgorzata Ostrowska. Charyzmatyczna wokalistka, gwiazda polskiego rocka lat 80., w mediach społecznościowych daje się poznać jako wielbicielka spokojnych

dni spędzonych w domu z ogródkiem, własnym warzywnikiem i spiżarnią wypełnioną przetworami.

Jak zdradziła w jednym z wywiadów, pasja do przygotowywania weków wzięła się z rodzinnej tradycji. Gdy była dzieckiem, jej mama zaopatrywała domową piwnicę w powidła, ogórki i inne specjały. Ona poszła krok dalej. Nie boi się tworzenia nieoczywistych zapasów, np. śliwkowej nutelli, czyli powidła z dodatkiem czekolady. Najlepiej sprawdzają się w tym przepisie dojrzałe, a nawet lekko przejrzałe węgiarki.

Śliwkowa nutella wymaga czasu (minimum czterech godzin) i trochę zachodu. Najpierw owoce (1 kg) trzeba umyć i wydrylować, potem pokroić w ćwiartki, umieścić w garnku z nieprzywierającym dnem i dusić na małym ogniu, mieszając co jakiś czas, aż się całkiem rozpadną. Gdy śliwki zaczną się rozgotowywać, blendujemy je na gładki mus, dodajemy pół tabliczki połamanej czekolady (deserowej lub mlecznej) oraz 8–9 łyżek kakao. Wszystko dokładnie mieszamy i smażymy na małym ogniu jeszcze przez ok. 30 min, aż sok odparuje, a powidła staną się gęste. Na tym etapie trzeba bardzo uważać, by owoce się nie przypaliły. Na koniec mus przekładamy do wyparzonych wcześniej słoików, mocno zakręcamy i odstawiamy do ostygnięcia.

Przepis na powidła pochodzi z wcześniejszych sezonów i wywiadów artystki.

walie, następnie piwonie, a po nich melisa, która zwabiała „wszelkie możliwe zapylacze z okolicy”. Z czasem pojawiły się na niej też ogórki, które w finale filmu trafiły do słoików.

Na innym nagraniu w głównej roli wystąpiły pomidory. „Najwyższa pora zamknąć lato w słoikach” – zachęca Małgorzata Ostrowska. „Tak się przeżyłam na te wszystkie passaty, trzy dni odparowywane. Poco? Skoro jest taka prosta, szybka i łatwa metoda. Na dodatek przypomniałam sobie, że moja mama robiła pomidory w bardzo podobny sposób...”

Jolanta Gajda-Zadzworna

Najprostsze pasteryzowane pomidory

Składniki (na 8 większych słoików – ok. 900 ml): 5 kg mięsistych pomidorów, sól (1 łyżeczka na słoik).

Słoiki dokładnie myjemy i wyparzamy (lub sterylizujemy w piekarniku). Umyte pomidory kroimy na połówki lub na ćwiartki, jeśli trzeba usuwamy ze środka jasną część, układamy ciasno w słoikach. Jeśli będziemy zamykać słoiki bez dodawania wody, tym bardziej staramy się nie zostawiać pustych miejsc między pomidorami (Małgorzata Ostrowska dolewa do słoików wody, wysypuje do każdego po łyżeczkę soli, zakręca i gotuje). Do wodnego pasteryzowania najlepiej nadaje się szeroki garnek wyłożony ścierką lub gazą, by podczas gotowania słoiki nie stuknęły jeden o drugi. Wodę o temperaturze pokojowej wlewamy do $\frac{3}{4}$ wysokości słoików i przykrywamy garnek. Doprowadzamy wodę do wrzenia, gotujemy na małym ogniu ok. 40 min, wyłączamy grzanie i zostawiamy słoiki do ostygnięcia (na ok. 1 godz.). Po tym

czasie wyjmujemy je (uważając, by nie chwycić za zakrętki) i odstawiamy do całkowitego przestudzenia.

Jeśli zdecydujemy się na pasteryzowanie w piekarniku: słoiki wstawiamy do zimnego piekarnika, włączamy grzanie na 110 st. C. Od chwili osiągnięcia tej temperatury, pasteryzujemy przez 40 min, następnie wyłączamy grzanie i zostawiamy słoiki w piekarniku do ostygnięcia.





SŁODKO-SŁONY

Inspiracja z Ustronia

ANNA MONICKA

Śląsk Cieszyński to miejsce, które przyciąga jak magnes. Tym razem podróż okazała się mocno sentymentalna, bo pojechałyśmy razem z siostrą, którą 10 lat temu los rzucił tu do pracy, więc wpadałam do niej z córką o każdej niemal porze roku, gdy tylko udało się wyszarpać kilka dni urlopu. Autostradą jedzie się bardzo wygodnie, chociaż szkoda, że nie dociągnięto jej jeszcze dalej, żeby TIR-y nie rozjeżdżały urokliwych małych miejscowości. Muszą zwalniać, bo ledwo się łamią na mikrorondach, ale przy okazji blokują drogi kompletnie nieprzystosowane do ruchu wielkich ciężarówek. A jeśli jakaś postanowi wgramolić się od strony Miłówki do Koniakowa czy Istebnej – życzę powodzenia tym, którzy jadą z tyłu. Cóż, mają przynajmniej czas, żeby delektować się widokami wielkich stad owiec pasących się na zielonych zboczach gór. Jak my, bo pokonywałyśmy tę trasę wiele razy, jadąc z naszej Węgierskiej Górki.

Domek znalazłyśmy w wąwozie otoczonym górami, z nielicznymi baczkami po sąsiedzku (niektóre bardzo starusieńkie i zabytkowe), dzwonki owiec słyszałyśmy z różnych stron niemal o każdej porze dnia i nocy, a raz nawet welnista i pobekująca gromadka przemaszerowała wąską dróżką przed naszym gankiem, zaganiana przez genialnego pasterskiego psa.

Jak na podróż sentymentalną przystało, ruszyłyśmy szukać miejsc, w których w dawnych czasach można było dobrze zjeść. Nie wszystkie przetrwały pandemię, ale nasza kultowa naleśnikarnia w Ustroniu ma się dobrze. W tym miejscu można się przekonać, jak wszechstronnym daniem jest nadziewany placek. Sery, losoś, różne mięsa, warzywa, orzechy, bezy, owoce świeże, konfitury – w karcie jest kilkadziesiąt propozycji. Delikatne ciasto, podobno na piwie, kryje smakołyki w stylu włoskim, meksykańskim, kubańskim, amerykańskim, greckim, obiadowe i deserowe.

Mój ulubieniec, czyli naleśnik tokański, jest zapiekany pod beszamelem z sosem pomidorowym, czosnkiem i bazylią, a w środku ma farsz z grillowanej cukinii i mozzarelli. W domu oczywiście próbowałam podrobić to danie – bez problemu, bo nie jest skomplikowane. Trzeba tylko usmażyć duże naleśniki (robiłam je z mąki owsianej na jogurcie), a potem zwinięte w rulony i nadziane od serca farszem zapiec w żeliwnej brytfannie. Smakowite! 



WILCZYM OKIEM

Tajemnicza wyspa

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Opisując przygody bohaterów „Tajemniczej wyspy”, Verne przy okazji obdarzył zagubiony na Pacyfiku splachetek lądu wieloma możliwymi i zupełnie nie-możliwymi stworzeniami, które nie tylko nigdzie na świecie nie żyją obok siebie, lecz także nie zamieszkują żadnej pacyficznej wyspy. Wyspa miała też nadnaturalnie zróżnicowaną roślinność, a podstawową cechą zbiorowisk był fakt, że bohaterowie zawsze prędzej czy później znajdowali potrzebną im roślinę. Z punktu widzenia przyrodnika galimatias gatunków zwierząt i roślin jest nieco frustrujący – choć i tak bardzo lubię tę książkę.

Mamy w Polsce wyspę, która jest pozbawiona tego mankamentu, a jej osobiściści przyrodnicze są w pełni zgodne z naturalnym porządkiem rzeczy. To Wolin.

Wolin stanowi dzieło napierającego morza, niosących namuły rzek i lodowców, które pozostawiły po sobie polodowcowe jeziora i zadziwiająco wysokie wzgórza morenowe. Część linii brzegowej jest utworzona przez strome klify opadające 100-metrowymi ścianami prosto do Bałtyku, który każdego roku stałym naporem małych fal i gwałtownymi sztormami zabiera kilkadziesiąt centymetrów lądu.

Środowisko przyrodnicze Wolina jest też kształtowane przez obecność unikalnych ekosystemów: Zalewu Szczecińskiego, który słodko-słonymi wodami przyciąga ryby zarówno z uniwersum morza, jak i rzek, przybrzeżnych wód Bałtyku – morza o zagadkowej historii, czy takiej ciekawostki, jak wsteczna delta Świny.

Sporą część wyspy, na której znajduje się Woliński Park Narodowy, porastają piękna buczyna pomorska o runie tworzoną przez perlówkę jednokwiatową, ciepłolubna buczyna storczykowa oraz sosnowe bory nazywane bażynowymi.

Swoim położeniem na przecięciu szlaków wędrówek i niedostępными wysepkami pływającej roślinności tworzącymi się na wodach zalewu Wolin przyciąga niezliczone tysiące migrujących ptaków. Głęboko w lasach znajduje się natomiast ośrodek hodowlany żubrów, pełniący rolę jednego z centrów ochrony i restytucji gatunku.

Na wyspie znajduje się także wyjątkowy pas nadmorskich wydm. Ich naruszanie albo co gorsza zabudowywanie jest nieodwracalną ingerencją w delikatny ekosystem, której skutki można porównać do niszczenia rafa koralowej. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Próba charakterów

Platforma przegrała ostatnie wybory parlamentarne z PiS, ale wzorem większości europejskich rządów stworzyła koalicję z PSL, Polską 2050 i Nową Lewicą. Do rządu Donalda Tuska dołączyły mniejsze ugrupowania: Nowoczesna, Inicjatywa Polska, Centrum dla Polski, Zieloni, Ruch Społeczny „Agrounia” i Polska Partia Socjalistyczna. Wśród tego konglomeratu partii i partyjek nie ma żadnej konserwatywnej, narodowej ani takiej, która odnosiłaby się nawet tylko sceptycznie do obecnej polityki Unii Europejskiej. Wręcz przeciwnie, wszystkie mają lewicowy, liberalny przechyl, niektóre wręcz komunistyczny. I wszystkie te partie mają co najmniej indyferentny, jeśli nie wrogi stosunek do religii i Kościoła katolickiego w Polsce.

Rządzi KO Donalda Tuska, dla którego głównym celem jest zlikwidowanie jedynej liczącej się partii opozycyjnej, jaką jest PiS. Premier zaliczają do „zorganizowanej grupy przestępczej”, a dowody zbiera podporządkowana mu prokuratura Adama Bodnara. Ten absurdalny zarzut umożliwia prokuraturze wnioskowanie do sądu o przedłużanie aresztu w celu zbierania nowych dowodów.

Do tego wniosku przychylił się ostatnio Sąd Okręgowy w Warszawie w sprawie aresztowanego w marcu br., w Wielki Czwartek, w święto kapłanów, ks. Michała Olszewskiego oraz dwóch niewinnych urzędniczek. Sąd nie musiał przedłużać aresztu o kolejne trzy miesiące, gdyż zdaniem obrońców nie było żadnych nowych dowodów w sprawie, a jednak zrobił to, wpisując się w antykatolickie i antynarodowe działania gabinetu.

Zwykły obywatel nie powinien mieć wątpliwości, czym są rządy koalicji 13 grudnia. Ułatwiają to zresztą najbliżsi współpracownicy Tuska, że przywołam słowa Bartłomieja Sienkiewicza: „Polska to wewnętrzna gospodarka Niemiec”. Ten sam polityk nawet nie wstał, gdy w sejmie na stojąco śpiewano polski hymn. To mogło się podobać tym, dla których polska tradycja, kultura, historia, religia katolicka, etyka i obyczaje nic nie znaczą. Nie zaskakują trafne słowa prof. Andrzeja Nowaka: „Tusk zawarł sojusz z chamstwem i pospolitą hołotą”. To może jeszcze słowa piosenki śpiewanej przez młodzież wspólnie z politykami KO na Campus Polska Przyszłości w Olsztynie: „Miło to już było, ale teraz jest wojna, bando bogobojna, wyp...ać z tego kraju, j...ć PiS, j...ć PiS”.

Bezprawnie przejęte media publiczne oraz wtórujące rządowi media zagrażające budując obraz Polski bezprawia pod rządami poprzedniej władzy. Beneficjentem jest oczywiście Tusk. Fundacja niemieckich dziennikarzy przyznała mu tegoroczną

nagrodę Media Award za „zasługi dla wzmocnienia demokracji”, zaś burmistrz Poczdamu, gdzie odbędzie się uroczystość, dodał, że polski premier zostaje wyróżniony za „niestrudzoną walkę z autokracją”. Tak, Tusk i jego mocodawcy mają pełną świadomość, że nie da się podporządkować naszego kraju niemieckim planom centralizacji Europy bez pacyfikacji wolnego duchowo polskiego społeczeństwa, największej partii opozycyjnej oraz Kościoła katolickiego.

Zwykły polski obywatel musi dostrzegać degradację państwa pod rządami tej władzy i degradację ludzkich sumień. Trwa przymiarka do likwidacji Funduszu Kościelnego, który ustanowiony w 1950 r. miał rekompensować skonfiskowane Kościołowi nieruchomości. Szykuje się usunięcie religii i katechizacji ze szkół. To kolejny jawny dowód łamania konstytucji. Art. 53 wyraźnie stanowi, że „wolność uzewnętrzniania religii może być ograniczona jedynie w drodze ustawy i tylko wtedy, gdy jest to konieczne do ochrony bezpieczeństwa państwa, porządku publicznego, zdrowia, moralności lub wolności i praw innych osób”. Minister edukacji Barbara Nowacka nie zna tego artykułu konstytucji. Trzeba przyznać, że jest to osoba wyjątkowo niedouczona. Żaloszne były jej wymówki, gdy na antenie radiowej nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, kiedy miał miejsce potop szwedzki. Zresztą niebotyczna ignorancja tej tzw. ministrowi idzie w parze z arogancją. Zaczadzona lewacką nienawiścią do Kościoła przywraca nam dawne komunistyczne standardy.

Kolejny zmasowany atak jest szykowany wobec o. Tadeusza Rydzkiego, kapłana szczerze zaangażowanego w podtrzymywanie polskiej kultury narodowej. Wystarczy zobaczyć stworzone przez niego Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. św. Jana Pawła II. Resort kultury, który wpisał je do rejestru instytucji kultury, pod rządami Tuska odmówił dokończenia finansowania tej placówki.

Prof. Feliks Koneczny w swoich „40 tezach o życiu społecznym i politycznym w Polsce” pisanych już 100 lat temu twierdził wprost: „Ze wszystkich spraw publicznych najbardziej publiczną jest religia” i że „Polska albo będzie katolicka, albo jej nie będzie”. Więcej, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, pisząc te słowa: „Cokolwiek zmierza do wyrządzenia szkody Kościołowi katolickiemu, jest zarazem szkodliwe dla Polski”.

Co na to zwykły polski obywatel? Brak oporu tylko umacnia rządzących. Trwa próba charakterów.

www.wojciechreszczyński.pl



OGNIEM NA WPROST

Jeden daje hojnie...

Minęła 33. rocznica odzyskania niepodległości przez Ukrainę. W kijowskich uroczystościach wziął udział prezydent Andrzej Duda. W swoim wystąpieniu wrócił do koncepcji strącania moskiewskich rakiet i bezzalogowców przez państwa NATO nad terytorium Ukrainy (to w związku z dronem Shahed, który spadł u nas). Rzucił też żartem w swoim stylu: „Kiedy Rosjanie będą uciekać z Ukrainy, zadzwonię do prezydenta Zelenskigo z prośbą, żeby ich nie ścigać”. Na co prezydent Zelenski odpowiedział z równą finezją: „A jeśli będę zajęty? I nie będę mógł odebrać? Raz ty nie możesz odebrać, raz ja nie mogę odebrać...”. Było to słodkie nawiązanie do okresu ochłodzenia relacji. Rzecz jasna takiej wymiany zdań nie mogli odpuścić sobie kacapscy blogerzy propagandyści. „K...a. Już otwarcie nas poniżają. A my co? Cierpimy (znosimy to)?” – uzala się jeden z nich. Inne wpisy nie nadają się do cytowania, ponieważ poziomem wulgaryzmów dorównują młodzieży zebranej na Campusie Polska Przyszłości. Tylko tamci to ruska swolocz, a u nas „młodzi, wykształceni z dużych miast”.

Powizycie w Kijowie prezydent Duda udzielił wywiadu Kanałowi Zero, w którym odniósł się m.in. do kwestii dotychczasowej pomocy udzielonej przez Polskę Ukrainie. Liczby, które podał, potwierdzają eksperci z portalu Defence24.pl. Z dotychczasowych informacji wynika, że nasz kraj przekazał siłom zbrojnym Kijowa m.in. ponad 300 czołgów T-72 i PT-91, 14 nowocześniejszych leo-

pardów, a także kilkadziesiąt transporterów opancerzonych Rosomak oraz nieokreśloną liczbę poradzieckich wozów bojowych piechoty BWP-1. Wśród naszego wsparcia znalazły się również poradzieckie myśliwce MiG-29 i śmigłowce szturmowe Mi-24 oraz pojazdy artylerii samobieżnej: polskie moździerze Rak, armatohaubice Krab oraz poradzieckie haubice Goździk, a także wyrzutnie rakiet BM-21 Grad. Zwłaszcza polskie kraby walczące na Ukrainie zyskały rozgłos jako sprzęt skuteczny i niezawodny w walce. Polska przekazała Ukraińcom również dużo pomniejszego wsparcia – od ręcznych wyrzutni przeciwlotniczych Piorun poprzez różnego rodzaju broń ręczną i amunicję różnych kalibrów po wyposażenie indywidualne żołnierzy: hełmy, kamizelki kuloodporne czy zestawy medyczne. Jak mądrze powiada Pismo Święte: „Jeden daje hojnie, lecz jeszcze więcej zyskuje; inny nadmiernie skąpi i staje się tylko uboższy” (Prz 11,24).

Jakob Kepka, Kanadyjczyk polskiego pochodzenia, weteran korpusu US Marines, podjął się wyzwania, które rannym i okaleczonym ukraińskim żołnierzom ma przynieść wsparcie, zarówno moralne, jak i finansowe. Jakob skończył 67 lat. Jako żołnierz piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych ponad 20 lat temu podczas wojny został ranny w nogę. Przeszedł sześć operacji, w 2016 r. lekarze podjęli decyzję o amputacji kończyny. Mężczyzna twierdzi, że nie zmieniło to jego życia na gorsze. „Ma protezę, dzięki której może jeździć na rowerze (ok. 100 km dziennie!),



Andrzej Rafał Potocki

chodzić po górach, a nawet wspinać się po skałach” – informuje „Kurier Galicyjski”, polska gazeta wydawana na Ukrainie. Jego misją jest wsparcie Ukraińców, którzy stracili kończyny, oraz zebranie 100 tys. funtów na protezy i szkolenie ukraińskich protetyków. Postawa Jakoba Kepki pokazuje, że nawet wojna może czasem mieć ludzką twarz.

Aleksander Łukaszenka stwierdził, że otrzymuje sugestie, aby odwrócić się od Rosji i stanąć po stronie Ukrainy. Jak zaznaczył, rady docierają do niego z różnych stron, jednak uznaje je za niemożliwe do przyjęcia. Bat'ka Traktorzysta przyznał, że niektórzy doradzają mu, by „odpuścić Rosję i dołączyć do walki przeciwko niej”. W rozmowach miały paść nawet propozycje wprowadzenia „wojsk NATO pod Smoleńsk”. Polityk nie sprecyzował jednak, kto dokładnie wysuwał takie sugestie ani nie podał żadnych szczegółowych informacji, pozostając przy ogólnych stwierdzeniach. Zachowanie Łukaszenki jako żywo przypomina postawę Kosińskiego-Kamysza. Coś tam się stawia Moskwie niczym Tygrysek Tuskowi, ale w gruncie rzeczy jak przychodzi co do czego, to tkwi wiernie przy kierownictwie Kremla. Bo Bat'ka Traktorzysta to taki tamtejszy Tygrysek z bagien Prypeci.

Współpraca: „Skipper”

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Do jakiej szkoły?

Skończyły się wakacje, kończy się lato. Działka właśnie wraca do szkół. Jak co roku ten sam rytm, te same daty, te same rytuały. Niemal każda placówka przeszła mniej lub bardziej gruntowny remont, dokonała niezbędnych zakupów, przygotowała rozkłady zajęć, obciążenia godzinowe nauczycieli. Tak jest co roku i tym razem nie będzie inaczej.

A jednak nie wiemy, do jakiej szkoły wrócą po wakacjach dzieci i młodzież. Bo przecież władze resortu edukacji nie przestają zaskakiwać i wprowadzając kolejne zmiany, realizują na swoim podwórku szeroki plan niszczenia Polski. Nasz kraj ma nie mieć silnej i mądrej szkoły, tak jak ma nie mieć własnego przemysłu, transportu, energetyki, dróg wodnych czy portów. Szkoła, która pod wieloma względami zasługiwała na rzetelną, przemyślaną i faktyczną reformę, jest na naszych oczach pozbawiana swoich zasadniczych funkcji i resztek możliwości ich realizowania.

Pierwsza to funkcja adaptacyjna. To wchodzenie młodego obywatela w zastany świat, w jego reguły i prawa. To poznawanie rzeczywistości w jej wymiarze teraźniejszym i historycznym. To w końcu nauka patriotyzmu, mądrego umiłowania ojczyzny i jej dziejów.

Druga to funkcja konstrukcyjna szkoły polegająca na przekazywaniu umiejętności tworzenia własnego mikroświata. Zanim powstanie nowa rodzina, młody człowiek uczy się konstruowania relacji międzyludzkich, korzystania z pomocy i niesienia pomocy innym, prowadzenia dialogu, zawierania kompromisów czy ustępstw. Uczy się tego, co niezbędne do życia w społeczeństwie.

Trzecia to funkcja emancypacyjna, czyli ćwiczenie umiejętności bycia sobą, szanowania własnej i cudzej odrębności, korzystania z przysługujących praw, w tym prawa do wolności słowa, wyrażania przekonań, wierności ideałom, dbałości o własną tożsamość.

Temu wszystkiemu ma służyć szkoła, która, dając uporządkowaną i sprawdzoną wiedzę, wychowuje i tworzy fundament do realizacji wszystkich trzech funkcji.

Tymczasem zlikwidowano przedmiot historia i teraźniejszość, odesłano do lamusa znakomity podręcznik prof. Wojciecha Roszkowskiego, starannie przygotowany przez Białego Kruka. To uderzenie w samo centrum pierwszej z funkcji szkoły. Ma dorastać pokolenie historycznych abnegatów, o czym świadczą także okrawanie programów nauczania



**Aleksander
Nalaskowski**

*To wszystko robi wrażenie
jakiegoś koszmarnego
eksperymentu, którego rezultat
i przebieg są nieprzewidywalne*

i spisu obowiązkowych lektur. Firmująca te zmiany minister Nowacka realizuje to, co w innych dziedzinach robią inne psy łańcuchowe Tuska – niszczy jakiś fragment Polski. Dodajmy, że zniszczenia te są bardzo trudno odwracalne.

Druga funkcja zostaje poważnie naruszona poprzez odebranie uczniom narzędzi do uczestniczenia w konstruowaniu świata. Z głupimi nikt nie chce współpracować. Głupich można jedynie wykorzystywać do wykonywania mniej skomplikowanych zadań. Poprzez działania „reformatorskie” mamy więc wychowywać głupków i zbieraczy szparagów. W tej funkcji bardzo ważne jest moralne ukształtowanie młodego człowieka. Dlatego obserwujemy zamach na lekcje religii. Nie da się jej od razu całkowicie

wyrzucić ze szkoły, więc trzeba to robić stopniowo. I to właśnie widzimy. Z jednej strony okrawanie godzin nauczania, a z drugiej postulat, aby lekcje religii były na pierwszych lub ostatnich godzinach zajęć, by pokazać uczniom, że zamiast „reli” można się wyspać albo szybciej pójść do domu. Nie da się niczego wznieść bez stabilnego i mocnego kręgosłupa. Nie da się niczego skonstruować społecznie bez wspólnego silnego wątku

moralnego. Zatem religia precz i „róbta, co chceta”!

W funkcję emancypacyjną szkoła uderza politpoprawnością. Ma otwierać swoje bramy dla różnej maści agitatorów poprawnościowych, eksperymentatorów z tożsamością, ludzi o dewiacyjnej proveniencji. Jak w sytuacji takiego przyzwolenia na wszystko, co zresztą minister Nowacka niedwuznacznie zdaje się sugerować, tworzyć zręby własnej odrębności, własnego zdania, budowania własnego świata?

Pytanie, do jakiej szkoły pošlemy dzisiaj swoje dzieci, swoje córki, synów, wnuki, nie ma jasnej i jednoznacznej odpowiedzi. Sytuacja jest nader rozwojowa i nie wiemy, jakie niespodzianki jeszcze szykuje dla nas edukacyjny resort. To wszystko robi wrażenie jakiegoś koszmarnego eksperymentu, którego rezultat i przebieg są nieprzewidywalne, a dalekosiężne skutki mogą być wręcz nieusuwalne. Gdy uderza się w fundamenty, trzeba się liczyć z zawaleniem całego gmachu. I nie inaczej.

Problem w tym, że skutki zmian dokonywanych w oświacie zaczynamy dostrzegać dopiero po upływie kilku lat. Tak będzie również tym razem. I tylko nieliczni powiążą niekorzystne zmiany z grasowaniem Tuska i jego lokajów w polskiej oświacie.

Michał Korsun prezentuje: **Polskie F-35 będą promować zdjęcia naszego fotografa Andrzeja Wiktora!**



Wycinki z przeszłości

Ciekawy pomysł na użycie starych czy niepotrzebnych szmatek, gałganków i miękkich ciuchów znaleźliśmy w jednym z jesiennych wydań pisma „Matka i dziecko” z 1933 r. To propozycja uszycia miękkiego dywanika, który rozkłada się na podłodze dla dzieci czy wnuków, gdy chcą się pobawić zabawkami lub po prostu pobrykać. „Gałganki, koniecznie miękkie w dotknięciu, należy rozkładać uważnie, aby ciemne i jasne były rozłożone równomiernie na całej płaszczyźnie dywanika. Brzydko potem wyglądają skupienia ciemne w jednym rogu, a jasne w przeciwnym.”

Już ułożone i przyfstrygowane gałganki łączymy zakopiańskim lub dzierganym ściąganiem. Dywanik, żeby był cieplejszy i grubszy, podszewamy ciemną flanelą.”

Pomysł prosty, który może dać dzieciom dużo radości, wykonawcom satysfakcję, jesienią ciepło. W razie potrzeby może przecież posłużyć także jako koc czy pled.

(mk)



DYWANIKI Z GAŁGANKÓW

Przeznaczony jest ten dywanik dla małych, mieszkających samotnie swoje gospodarstwo domowe, to jest dziecko najlepiej bawić się na podłodze. Zastanawiając się, dlaczego nie ma dywanika przed naszymi domami. Nie zawsze można znaleźć odpowiedni dywanik do swojego domowego pokoju. To, które są w sklepach są albo brzydkie, albo bardzo drogie. Dlatego dywanik taki zrobisz ty.



Z WOLEJA

Berlin i Moskwa: wspólnota „koku”



Ryszard Czarnecki

Od 48 lat nie pobito rekordu Polski w pchnięciu kulą kobiet. Jego autorką jest Ludwika Chewińska (niech nikt nie pomyli z Ireną Szewińską!), była wicemistrzyni Europy w hali. Za dwa lata będzie półwiecze tego najstarszego rekordu w historii polskiej lekkoatletyki. Najbliżej była Paulina Guba, nasza mistrzyni Europy sprzed sześciu lat, która wywalczyła złoty medal ME, pchając na odległość 19,33 m. Po roku poprawiła się o 5 cm, ale do rekordu zabrakło 20 cm.

Jestem przekonany, że Chewińska swoje rekordy, a także 16 tytułów mistrzyni Polski w hali i na stadionie zdobywała bez „koku”. Jednak tak samo jestem przekonany, że na dopingu była aktualna rekordzistka świata w tej konkurencji – reprezentująca ZSRR zawodniczka o polskim nazwisku: Natalia Lisowska. Jej rekord jest aż o 3 m i 5 cm lepszy niż Chewińskiej. Cudów nie ma, musiała być na dopingu, tak jak chyba cała kadra lekkoatletyczna i pływacka, zarówno Związek Sowieckiego, jak i komunistycznej NRD.

Można by długo pisać o państwowym systemie faszerowania dopingiem, zwłaszcza kobiet, w dawnych NRD i Sowietach. Zawodniczki płaciły za to zdrowiem i nieodwracalnymi zmianami w organizmie, ale klasyfikacja medalowa każdych igrzysk olimpijskich była po myśli Moskwy i Berlina. W ostatnich kilkunastu latach komunizmu niedozwolony doping był cnotą.

Żeby jednak było jasne, doping na masową skalę to nie tylko domena krajów bloku komunistycznego, ze szczególnym uwzględnieniem sowiecko-wschodnoniemieckiego tandemu. Krążą legendy o tym, że przebadanie koszykarzy z amerykańskiego Dream Teamu podczas igrzysk w Barcelonie 1992 r. było w praktyce niemożliwe. Międzynarodowy Komitet Olimpijski był tak szczęśliwy, że po raz pierwszy w historii na IO wystąpili gwiazdorzy NBA, że nie chciał widzieć, iż Amerykanie w ogóle nie wpuszczali kontrolerów od dopingu. Byli na specjalnych prawach, każdy mecz wygrywali różnicą średnio 44 pkt (półfinał z Litwą z przewagą 51, a finał z Chorwacją z przewagą 32 pkt). Też trzymałem za nich kciuki, bo asystentem trenera Dream Teamu był nasz rodak z USA Mike Krzyżewski.

Jednak każdy, kto zna się na sporcie, wie, że kontrole dopingowe w zawodowych ligach USA, takich jak NHL, NBA, baseballu są *de facto* fikcją. Stąd zresztą atak Amerykanów na polskiego szefa WADA – Światowej Agencji Antydopingowej, który nie chciał, aby byli „równi” i „równiejsi”.

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przewoju w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Na ulicy Szerokiej w Toruniu

Właśnie tam w ciepły dzień sierpnia 2024 r. podszedł do mnie sympatyczny starszy pan (w moim wieku? trochę młodszy?), przekazał słowa życzliwości i spytał: „Jak pan sądzi, kiedy nasz naród się obudzi?”. Po krótki namyśle odpowiedziałem: „Obawiam się, że się nie obudzi”.

Wcale nie chciałem zasiał defetyzmu. Moja reakcja wynikała z socjologicznego, chyba realistycznego oglądu obecnej sytuacji. Chodzi o konteksty polityczne, gospodarcze, kulturowe, ale dziś najbardziej może technologiczne. Ciz czytelników, którzy co jakiś czas zerkają do moich tekstów, wiedzą, jak wielką rolę w zepsuciu naszych zachowań i wyobrażeń przypisuję cyfrowej rewolucji form społecznego komunikowania się.

Internet, a zwłaszcza media społecznościowe, wywierają wielki – choć często jeszcze niedostrzegany – wpływ na stan naszego narodowego dziedzictwa. Na to, co dziś znaczy ono dla różnych pokoleń, a zwłaszcza na to, jak potrafimy z tego dziedzictwa korzystać.

A zatem: co się porobiło z kulturowym podglebiem naszych wyobrażeń o Polsce i polskości? Skąd mój pesymizm?

CO ZNACZY PRZEBUDZENIE?

Mam wrażenie, że ze wspomnianym rozmówcą z ul. Szerokiej łączy mnie pewne wspólne rozumienie tego, czym jest nasz naród i co dziś może znaczyć metafora przebudzenia. Oczywiście idzie o silniejszą niż obecna tożsamość narodową oraz ducha patriotyzmu. Idzie o otrząśnięcie się z licznych, w tym nie tylko absurdalnych, lecz także częściowo sztucznie nakręconych konfliktów, jakie nazbyt głęboko nas różnicują. Omal zamieniają w głupie, rozhisteryzowane istoty plemienne. Powinniśmy na co dzień odróżniać rzeczy strategicznie ważne dla Polski, np. wzmocnienie wojska i budowa



Przyszły wzrost świadomości narodowej może być wynikiem kryzysów, które zmobilizują społeczeństwo do działania i współpracy

wielkich projektów strukturalnych, od cynicznych prowokacji i zagrywek pod publiczność typu 100 konkretów.

Tak – powinniśmy postępować inaczej. Ale...

DZIŚ TECHNOLOGIE DEMONTUJĄ WSPÓLNOTĘ

By naród ewentualnie mógł się przebudzić, musi on – w jakiejś uśpionej postaci – istnieć. Tymczasem infozgiełk przyniesiony przez medialny hiperpluralizm, agresywne wulgaryzmy przedstawiane w roli manifestów niemądrych ideologii oraz – nie można tego pominąć – związane ze wzrostem dobrobytu osłabianie religijności spowodowały, że podstawowy kanon naszej narodowej wspólnoty został znacząco nadwątlony. Wtargnięcie smartfonów w umysły młodych ludzi niemal pozabiło już autorytetu nie tylko nauczycieli, lecz także rodziców. Mamy

daleko posunięte zerwanie trwającego od tysiącleci procesu tzw. transmisji kulturowej – gdy młode pokolenie w „naturalny” sposób, tj. spontanicznie, przejmowało wyobrażenia i wartości swoich dziadków oraz rodziców.

A wszystko dzieje się w warunkach lawinowo przyrastającej złożoności struktur społecznych. To są obiektywne, na szczęście częściowo jeszcze odwracalne procesy, na które nie można się obrażać, a tym bardziej ich nie dostrzegać.

Nie potrzeba przecież naukowych badań (choć one istnieją), by widzieć, że dzisiejsze społeczeństwo Rzeczypospolitej ma zróżnicowaną tożsamość. To zaś niestety wpływa na naszą zdolność do działania jako spójnej wspólnoty.

Przyszły wzrost świadomości narodowej może być wynikiem kryzysów, które zmobilizują społeczeństwo do działania i współpracy. Tyle że nie jest z góry powiedziane, że będziemy potrafili przezwyciężyć podziały i współpracować dla wspólnego dobra. Środowisko prawicowo-patriotyczne powinno zaś rozstać się już z wizją uzyskania jakiegoś „pakietu kontrolnego” nad Polską.

BEZ ZBAWCZEGO WSTRZĄSU

Nie liczymy na to, że „obudzenie narodowe” będzie jakimś zbawczym wydarzeniem punktowym. Polska stale ewoluje, napędzana przez działania różnych sił, jak i milionów ludzi w różnych sferach życia: polityki, kultury, gospodarki, nauki. Miast oczekiwać magicznego momentu, budujemy instytucje przełamujące podziały.

Stare schematy myślowe nie pomogą nam obronić starych, sprawdzonych, moim zdaniem nadal aktualnych wartości. Potrzebne jest codzienne rysowanie pozytywnej wizji przyszłości, w której polskość odsłoni się młodym jako przygoda prowadząca do dobrych życiowych sukcesów.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

CODZIENNIE CZYTAJ WIĘCEJ NIŻ INNI



WYBIERZ SUBSKRYPCJĘ 50% TANIEJ!

- **wszystkie zamknięte artykuły na wpolityce.pl**, również te w sekcji Premium+ – to ok. 1 300 tekstów rocznie!
- **pełne e-wydanie tygodnika [SIECI](#)** wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00 – to kolejne ok. 1 700 tekstów rocznie!
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na

www.siec.wpolityce.pl/oferta



ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

